



SIRI HUSTVEDT

Lato
bez mężczyzn

Zabawna, poruszająca i błyskotliwa, niczym
współczesna Jane Austen.

„Daily Mail”

Świat Książki

SIRI HUSTVEDT

Lato
bez mężczyzn

Z angielskiego przełożyła
Joanna Hryniewska


Świat Książki

Dla Frances Cohen

Lucy (Irene Dunne): Wszystko ci się pomieszało, co?

Jerry (Cary Grant): No tak. A tobie nie?

Lucy (Irene Dunne): Nie.

Jerry (Cary Grant): A powinno, bo nie masz racji, jeśli chodzi o kwestię różnic, sprawy mają się różnie. Różnie, ale w inny sposób. Ty jesteś cały czas taka sama, to ja byłem głupcem. Ale teraz już nie jestem. A więc skoro się zmieniłem, to nie uważasz, że wszystko mogłoby znowu być po staremu? Tylko trochę inaczej.

Naga prawda,
reżyseria Leo McCarey,
scenariusz Viña Delmar

Jakiś czas po tym, jak wymówił słowo „przerwa”, oszalałam i wylądowałam w szpitalu. Nie powiedział: „Nie chcę cię więcej widzieć” ani „To koniec”, ale po trzydziestu latach małżeństwa „przerwa” wystarczyła, żebym zmieniła się w wariatkę, której myśli eksplodują, rykoszetują i zderzają się ze sobą niczym ziarnka popcornu w torebce włożonej do mikrofalówki. Te przygnębiające obserwacje poczyniłam, leżąc na Oddziale Południowym, przesiąknięta Haldolem do tego stopnia, że znenawidziłam ruch. Paskudne rytmiczne głosy złagodniały, lecz nie zniknęły, a kiedy zamykałam oczy, widziałam postaci z kreskówek pędzące przez różowe wzgórza i rozplływające się w błękitnych lasach. Ostatecznie doktor P. rozpoznał u mnie epizod psychotyczny, znany również pod nazwą krótkotrwałej psychozy reaktywnej, co oznacza, że stajesz się naprawdę szalony, ale na krótko. Jeżeli stan ten utrzymuje się dłużej niż miesiąc, potrzebujesz kolejnej etykiety. Najwyraźniej przy tym szczególnym typie obłąkania często występuje jakiś wyzwalacz lub, w żargonie psychiatrycznym, stresor. W moim przypadku był to Boris, a raczej fakt, że go nie było, że zrobił sobie przerwę. Trzymali mnie tam półtora tygodnia, a potem wypuścili. Przez jakiś czas leczyłam się ambulatoryjnie, aż w końcu znalazłam doktor S. o niskim, melodyjnym głosie i powściągliwym uśmiechu, z drygiem do poezji. To ona mnie naprostowała, a właściwie nadal to robi.

Nie lubię wspominać tej wariatki. Zawstydzila mnie. Przez długi czas wzbraniałam się przed przeczytaniem tego, co zapisała w czarno-białym notatniku podczas pobytu na oddziale. Wiedziałam, że na wierzchu nagryzmołono – pismem zupełnie niepodobnym do mojego – „Skrawki umysłu”, lecz nie chciałam go otwierać. Daisy, moja dziewczynka, podczas wizyt ukrywała niepokój. Nie wiem, co dokładnie zobaczyła, ale mogę zgadywać: kobietę wymizerowaną z powodu niejedzenia, nadal dezorientowaną, o ciele odrętwiałym od leków; osobę, która nie umiała zareagować właściwie na słowa swojej córki, nie mogła przytulić własnego dziecka. Kiedy wyszła, usłyszałam, jak skarży się pielęgniarce głosem stłumionym przez szloch:

– Tak jakby to nie była moja mama.

Wtedy tkwiłam pogrążona we własnym świecie, ale teraz wspomnienie tych słów to tortura. Nie wybaczam sobie.

Przerwa okazała się Francuzką o cienkich, lecz lśniących brązowych włosach. Miała okazały biust – prawdziwy, nie sztuczny – okulary w wąskich, prostokątnych oprawkach i wybitny umysł. Była oczywiście młoda, młodsza ode mnie o dwadzieścia lat; podejrzewam, że Boris pragnął swojej współpracownicy przez jakiś czas, zanim rzucił się na pewne partie jej ciała. Wyobrażałam to sobie raz za razem. Boris, ze śnieżnobiałymi lokami opadającymi na czoło, miętosi piersi rzeczonyj Przerwy tuż obok klatek z genetycznie zmodyfikowanymi szczurami. Zawsze widzę tę scenę w laboratorium, chociaż prawdopodobnie nie mam racji. Rzadko przebywali tam tylko we dwoje, a „zespół” zauważyłby hałaśliwe mocowanie się tuż obok. Być może ukrywali się w kabinie toalety, gdzie mój Boris wbijał się w swoją znajomą panią naukowiec, a jego oczy obracały się w oczodołach ku górze, gdy zbliżał się do szczytowania. Znałam to na wylot. Tysiące razy widziałam, jak przewraca oczami. Banalność tej historii – każdego dnia, do znudzenia, robią to mężczyźni nagle lub stopniowo odkrywający, że to, co jest, nie musi być, i usiłujący się uwolnić od starzejących się kobiet, które całymi latami opiekowały się nimi i ich dziećmi – nie tłumi cierpienia, zazdrości i poczucia upokorzenia, które spadają na porzucone. Kobiety wzgardzone. Zawodziłam, wrzeszczałam i waliłam pięściami w ścianę. Przerazałam go. Chciał, żeby zostawić go w spokoju, pozwolić mu odejść własną drogą z dobrze wychowaną neurobiolog z jego snów, kobietą, z którą nie dzielił przeszłości, ładunku cierpień, żalu ani konfliktu. A jednak powiedział „przerwa”, a nie „koniec”, żeby narracja mogła się dalej toczyć, gdyby zmienił zdanie. Okrutny skrawek nadziei. Boris, ten Mur. Boris, który nigdy nie podnosi głosu. Boris na sofie, potrząsający głową z konsternacją. Boris, człowiek od szczurów, który w roku 1979 poślubił poetkę. Borisie, dlaczego mnie porzuciłeś?

Musiałam opuścić mieszkanie, ponieważ to tam mnie zraniono. Pokoje i meble, odgłosy z ulicy, światło, które wpadało do mojego

gabinetu, szczoteczki do zębów na półce w łazience, szafa w sypialni z brakującą gałką – każdy z tych elementów stał się rwącą kością, stawem, zębem lub kręgami wyartykułowanej anatomii wspólnej pamięci; wszystkie znajome rzeczy, powleczone nagromadzonymi w czasie znaczeniami, wydawały się ciążyć na moim własnym ciele i poczułam, że nie mogę ich znieść. Opuściłam Brooklyn i wróciłam na lato do domu, do położonego na dawnych preriach Minnesoty prowincjonalnego miasteczka, w którym dorastałam. Doktor S. się nie sprzeciwiała. Miałyśmy przeprowadzać sesje telefoniczne raz w tygodniu, z wyjątkiem sierpnia, gdy zwyczajowo brała urlop. Uniwersytet okazał wobec mojego załamania zrozumienie, do nauczania wróciłam we wrześniu. To miała być Nudna Pustka pomiędzy Oszalałą Zimą a Poczytalną Jesienią, cicha wolna przestrzeń do wypełnienia wierszami. Miałam spędzać czas z matką i zanosić kwiaty na grób ojca. Moja siostra i Daisy miały przyjeżdżać w odwiedziny, a mnie zatrudniono do prowadzenia warsztatów poetyckich dla dzieciaków z miejscowej Gildii Sztuk. Nagłówek w „Bonden News” głosił: *Nagradzana poetka samouk proponuje warsztaty*. Mało znana nagroda poetycka imienia Doris P. Zimmer spadła na mnie znikąd, przyznawano ją wyłącznie kobietom, których wiersze zaliczały się do kategorii „eksperymentalnych”. Przyjęłam ten wątpliwy zaszczyt oraz czek, który do niego wspaniałomyślnie dodano, pełna zastrzeżeń, po czym odkryłam, że jakakolwiek nagroda jest lepsza niż żadna, a określenie „nagradzany” nadaje użytecznego, nawet jeżeli tylko dekoracyjnego, koloru poecie, który żyje w świecie niemającym o poezji pojęcia. Jak powiedział kiedyś John Ashbery: „Bycie sławnym poetą to nie to samo, co bycie sławnym”. A ja nie jestem sławną poetką.

Wynajęłam niewielki domek na obrzeżach miasta, w pobliżu mieszkania mojej matki, znajdującego się w budynku przeznaczonym wyłącznie dla ludzi starych i bardzo starych. Matka mieszkała w strefie niezależnej. Mimo artretyzmu i różnych innych dolegliwości, między innymi sporadycznych niebezpiecznych skoków ciśnienia, w wieku osiemdziesięciu siedmiu lat zachowała zadziwiającą żwawość i jasność umysłu. W skład kompleksu wchodziły jeszcze dwie odrębne strefy –

„życie ze wsparciem” dla potrzebujących pomocy i „centrum opieki”, koniec drogi. Mój ojciec zmarł tam sześć lat wcześniej; chociaż kiedyś poczułam potrzebę powrotu i ponownego spojrzenia na to miejsce, to jednak udało mi się dotrzeć zaledwie do wejścia, a już zawróciłam i uciekłam przed duchem ojca.

– Nikomu stąd nie mówiłam o twoim pobycie w szpitalu – oznajmiła matka zaniepokojonym głosem, a jej intensywnie zielone oczy wpatrywały się w moje. – Nikt nie musi wiedzieć.

Zapomnę kroplę tej Udręki, która
Parzy mnie teraz – parzy mnie w tej chwili!

Emily Dickinson numer 193 przybywa na ratunek. Adres: Amherst. Przez całe lato do mojej głowy zlatywały się wersy i frazy. „Gdy pojawia się myśl bez myślącego – powiedział Wilfred Bion – może to być «myśl zabłąkana», myśl z wypisanym nazwiskiem i adresem właściciela lub «myśl dzika». Kiedy coś takiego się dzieje, powstaje pytanie, co z tą myślą zrobić”.

Po obu stronach mojego wynajętego lokum stały domy – nowo wzniesione budynki – lecz nic nie przesłaniało widoku z okna na tyłach. W małym ogródku za domem znajdowały się huśtawki, dalej pole kukurydzy, a za nim łąny lucerny. W oddali widoczny był zagajnik, zarysy stodoły, silos, a ponad nimi bezkresny, niespokojny nieboskłon. Widok mi się podobał, ale wewnątrz domu niepokoiło mnie; nie było brzydkie, lecz aż gęsto było od życia jego właścicieli, młodej profesorskiej pary, która skorzystała z jakiegoś grantu badawczego i wraz z dwojgiem dzieci uciekła na lato do Genewy. Kiedy odstawiłam torbę i pudła z książkami, rozejrzałam się wokół i zaczęłam się zastanawiać, jak wpasuję się w to miejsce, pełne rodzinnych fotografii, dekoracyjnych azjatyckich poduch nieznannej proveniencji, szeregów książek o rządach, sądach świata i dyplomacji, pudeł zabawek i wiszącej w powietrzu woni kotów, szczęśliwie nieobecnych. Przyszła mi do głowy ponura myśl, że rzadko kiedy znajdowałam miejsce moje i dla mnie, że byłam pisarzyną na wykradzonej przestrzeni. W pierwszych dniach życia Daisy pracowałam przy kuchennym stole i biegłam do niej, gdy budziła się z drzemki. Nauczanie i twórczość moich studentów – poematy bez niecierpliwości, wiersze ozdobione „literackimi” esami-floresami i zakrętasami – przeminęły z niezliczonymi godzinami. Wtedy jednak nie walczyłam o siebie, a raczej nie robiłam tego we właściwy sposób. Niektórzy ludzie po prostu zajmują miejsce, którego potrzebują, wypychają intruzów, żeby objąć jakąś przestrzeń w posiadanie. Boris potrafił to zrobić, nie ruszając małym palcem. Po prostu sobie stał, cichy jak myszka. Ja byłam hałaśliwą myszą, jedną z tych, które skrobią w ściany i robią mnóstwo zamieszania, a i tak niczego to nie zmienia. Magia autorytetu, pieniędzy, penisu.

Ostrożnie włożyłam wszystkie oprawione fotografie do pudełka, a na małym kawałku taśmy zapisałam, gdzie każda z nich stała. Zwinełam kilka dywaników i schowałam je wraz z prawie dwudziestoma zbędnymi poduszkami i dziecięcymi grami, a następnie metodycznie wysprzątałam dom, wydobywając kłaczki kurzu, do których przyłgnęły spinacze do papieru, nadpalone zapalki, ziarna żwirku dla kotów, kilka zmiażdżonych drażetek M&M’s i inne niezidentyfikowane resztki. Potraktowałam odkażaczem trzy umywalki, dwie toalety, wannę i kabinę

prysznicową. Wyszorowałam podłogę w kuchni, odkurzyłam i umyłam lepiące się od brudu lampy sufitowe. Sprzątanie trwało dwa dni i kosztowało mnie obolałe kończyny oraz kilka zacięć na dłoniach, ale moja brutalna działalność nadała pomieszczeniom wyrazistość. Zapuszczone, nieokreślone krawędzie wszystkich przedmiotów w moim polu widzenia nabrały wyrazu i jasności, które mnie cieszyły, przynajmniej chwilowo. Rozpakowałam książki, ulokowałam się w pomieszczeniu, które najprawdopodobniej służyło panu domu za gabinet (wskazówka: akcesoria fajczarza), usiadłam i napisałam:

Strata.

Uświadomiona nieobecność.

Gdyby się jej nie uświadomiło,

byłaby niczym,

oczywiście

innego rodzaju niczym,

odczuwanym dotkliwie jak pęcherz,

ale także kłębowisko

w okolicach serca i płuc,

pustka o imieniu: Ty.

Moja matka i jej przyjaciółki były wdowami. Ich mężowie w większości zmarli wiele lat temu, lecz one żyły nadal i w ciągu tego życia nie zapomniały o nich, chociaż nie wyglądało też na to, że czepiają się wspomnień o swoich pogrzebanych małżonkach. Tak naprawdę z czasem te starsze panie stały się onieśmielające. W duchu nazywałam je Pięcioma Łabędzicami, elitą Wschodniego Rolling Meadows; były to kobiety, które zapracowały na swoją pozycję nie zwykłą wytrzymałością czy brakiem dolegliwości fizycznych (każdą z nich trapiło to czy owo), lecz tym, że wszystkie pięć cechowały mentalna siła i autonomia, które dawały im pozory godnej pozazdrosczenia wolności. Najstarsza, George (Georgiana), przyznawała, że Łabędzice miały szczęście.

– Jak do tej pory mamy wszystkie klepki na miejscu – zażartowała.
– Oczywiście, kto wie: zawsze mawiamy, że w każdej chwili wszystko może się zdarzyć.

Kobieta oderwała prawą dłoń od balkoniku i strzeliła palcami. Tarcie było jednak na tyle słabe, że nie wytworzyło żadnego dźwięku, z czym zdawała się godzić, ponieważ jej twarz zmarszczyła się w asymetrycznym uśmiechu.

Nie powiedziałam George, że straciłam swoje klepki i odzyskałam je, że ich utrata śmiertelnie mnie przeraziła i że kiedy tak stałam w długim korytarzu i gawędziłam z nią, powrócił do mnie wers innego George'a, Georga Trakla: In kühlen Zimmern ohne Sinn, W chłodnych pokojach bez poczucia sensu. W zimnych bezsensownych pokojach.

– Wiesz, ile mam lat? – mówiła dalej. – Sto dwa.

Przeżyła całe stulecie.

– A ty, Mio, ile masz lat?

– Pięćdziesiąt pięć.

– Jeszcze dziecko.

Jeszcze dziecko.

Regina miała osiemdziesiąt osiem lat. Dorastała w Bonden, ale uciekła z prowincji i poślubiła dyplomatę. Mieszkała w kilku krajach, a jej dykcja miała w sobie coś rażącego – może nadmierną poprawność – co mogło być efektem krótkich pobytów w obcojęzycznych środowiskach i, jak przypuszczam, pretensjonalności; ta wstydliva cecha starzała się wraz z mówiącą, aż w końcu nie dałoby się jej już oddzielić od warg, języka czy zębów. Regina roztaczała teatralną aurę bezbronności i uroku. Po śmierci męża brała ślub jeszcze dwukrotnie – obaj panowie padli trupem – a potem kilkakrotnie angażowała się w związki z mężczyznami, między innymi z młodszym o dziesięć lat dziarskim Anglikiem. Regina polegała na mojej matce jako powiernicze i współuczestnicze lokalnych wydarzeń kulturalnych – koncertów, pokazów artystycznych i okolicznościowych spektakli. Osiemdziesięcioczeroletnia Peg urodziła się i dorastała w Lee, miasteczku mniejszym nawet od Bonden; męża poznała w liceum, urodziła mu sześcioro dzieci i zyskała chmarę wnucząt, których życie udawało jej się śledzić w najdrobniejszych szczegółach, co było oznaką zdumiewającej kondycji jej komórek nerwowych. I na koniec Abigail, lat dziewięćdziesiąt cztery. Kiedyś była wysoka, lecz jej kręgosłup poddał się osteoporozie i kobieta zaczęła się okropnie garbić.

Dodatkowo była niemal całkowicie głucha, ale ja podziwiałam ją od pierwszego spotkania. Nosiła schludne spodnie i wydziergane własnoręcznie swetry z aplikacjami lub haftami przedstawiającymi jabłka, konie i tańczące dzieci. Po jej mężu od dawna nie było śladu – niektórzy mówili, że umarł, inni utrzymywali, że chodziło o rozwód. Cokolwiek to było, Osobisty Ogrodnik zniknął podczas drugiej wojny światowej albo tuż po jej zakończeniu, a rozwódka lub wdowa po nim zdobyła wykształcenie pedagogiczne i została nauczycielką plastyki w szkole podstawowej.

– Pokrzywiona i głucha, ale nie durna – oznajmiła stanowczo podczas naszego pierwszego spotkania. – Przychodź śmiało. Lubię towarzystwo. Numer trzy-dwa-zero-cztery. Powtórz: trzy-dwa-zero-cztery.

Cała piątka oddawała się lekturom; raz w miesiącu spotykały się z kilkoma innymi kobietami w klubie książki; z różnych źródeł dowiedziałam się, że zebrania te cechowała pewna rywalizacja. Od kiedy moja matka zamieszkała w Rolling Meadows, wiele postaci z teatru jej codziennego życia zeszło ze sceny i udało się do „centrum opieki”, by już nigdy nie powrócić. Matka powiedziała mi otwarcie, że kiedy jakaś kobieta opuszczała strefę niezależną, równało się to zniknięciu w „czarnej dziurze”. Żal był minimalny. Piątka żyła w srogiej terażniejszości, ponieważ, w przeciwieństwie do młodych, którzy ostateczność postrzegają jako odległą i filozoficzną, te kobiety wiedziały, że śmierć nie jest abstrakcją.

Gdyby ukrycie przed matką mojej szpetnej dezintegracji było możliwe, zrobiłabym to, ale kiedy któryś z członków rodziny zbacza z kursu i trzeba go zamknąć za kratami, reszta rzuca się ze swoją troską i współczuciem. To, co strasznie chciałam ukryć przed mamą, mogłam swobodnie wyjawic mojej siostrze Beatrice. Kiedy wiadomość do niej dotarła, dwa dni po tym, jak przyjęto mnie na Oddział Południowy, wskoczyła do samolotu do Nowego Jorku. Nie widziałam, jak otwierano przed nią szklane drzwi. Musiałam się na chwilę rozproszyć, bo przecież czekałam na jej przyjazd i wyglądałam go. Myślę, że wypatrzyła mnie natychmiast, ponieważ spojrzałam w górę, gdy usłyszałam pewny stukot

jej obcasów, z którym maszerowała w moją stronę; usiadła na dziwnie śliskiej sofie w sali spotkań i otoczyła mnie ramionami. Gdy tylko poczułam jej palce ściskające moje ramiona, dławiąca suchość otaczającego mnie kokonu środków psychotropowych rozpadła się na kawałki i głośno załkałam. Bea kołysała mnie i głaskała po włosach. Mia, powiedziała, moja Mia. Kiedy Daisy odwiedziła mnie po raz drugi, odzyskałam już zmysły. Ruinę odbudowano przynajmniej częściowo, nie lamentowałam w obecności córki.

Histerie, wycie, wrzaski i śmiechy absolutnie nie były na oddziale czymś niezwykłym i zazwyczaj przechodziły niezauważone. Szaleństwo to stan głębokiego egocentryzmu. Potrzeba wielkiego wysiłku, żeby przynajmniej nie stracić kontaktu z samym sobą; zwrot ku zdrowieniu następuje w momencie, gdy pozwalamy okrucinowi świata wnikać znowu do środka, gdy człowiek lub przedmiot zdoła przejść przez wrota. Twarz Bei. Twarz mojej siostry.

Moje załamanie bolało Beę, obawiałam się jednak, że matkę zabije. Nie zabiło.

Siedząc naprzeciwko niej w małym mieszkanku, pomyślałam, że moja matka jest dla mnie zarówno osobą, jak i miejscem. Wiktorianański dom rodzinny na rogu Moon Street, w którym moi rodzice przeżyli ponad czterdzieści lat, mieścił przestronne salony i labirynt sypialń na piętrze. Został sprzedany po śmierci ojca, a kiedy koło niego przechodziłam, strata bolała mnie tak, jakbym nadal była dzieckiem, które nie może zrozumieć, dlaczego jakiś parweniusz zajmuje jego dawne ulubione miejsca. A jednak to do samej matki wróciłam jak do domu. Nie da się żyć bez oparcia, bez poczucia przestrzeni, która jest nie tylko zewnętrzną, ale i wewnętrzną – obszaru w umyśle. Dla mnie obłęd był zawieszeniem. Gdy Boris raptownie zabrał swoje ciało i głos, zaczęłam dryfować. Pewnego dnia wyskoczył z tą swoją potrzebą „przerwy” i to było wszystko. Bez wątpienia rozmyślał nad decyzją, lecz ja nie miałam udziału w jego przemyśleniach. Mężczyzna wychodzi na papierosa i nigdy nie wraca. Mężczyzna mówi żonie, że idzie się przejść, i nie wraca do domu na kolację – kolejny raz. Pewnego zimowego dnia mężczyzna zwyczajnie wstał i wyszedł. Boris nie wyartykułował

swojego niezadowolenia, nigdy mi nie powiedział, że mnie nie chce. To go po prostu ogarnęło. Kim są ci mężczyźni? Kiedy „z profesjonalną pomocą” zebrałam się w sobie, powróciłam na dawne, niezawodne terytorium, na Ziemię M.

To prawda, że świat mamy się skurczył, a wraz z nim skurczyła się ona sama. Uważałam, że za mało je. Pozostawiona sama sobie, gromadziła na ogromnym talerzu surową marchew, paprykę i ogórki, czasem tylko z maleńkim kawałeczkiem ryby, szynki czy sera. Ta kobieta całymi latami gotowała i piekła jak dla pułku wojska, a zapasy przechowywała w gigantycznej zamrażarce w piwnicy. Szyła nam sukienki, cerowała nasze wełniane pończochy, polerowała miedziane i mosiężne elementy, aż błyszczały jasno i twardo. Rzeźbiła masło na przyjęcia, układała kwiaty, rozwieszała i prasowała prześcieradła, które pachniały czystym słońcem, gdy się na nich zasypiało. Śpiewała nam wieczorami, podsuwała pouczające lektury, cenzurowała filmy i broniła swoje córki przed bezmyślnymi nauczycielami. A kiedy chorowałyśmy, przygotowywała dla nas legowisko na podłodze, tuż obok miejsca, w którym zajmowała się pracami domowymi. Uwielbiałam chorować przy mamie, może nie wymiotować czy czuć się naprawdę okropnie, ale stopniowo powracać do zdrowia. Kochałam leżeć na specjalnym pościeliu i czuć na czole dłoń mamy, którą potem wsuwała w moje mokre od potu włosy, żeby sprawdzić gorączkę. Uwielbiałam wyczuwać ruchy jej nóg wokół mnie, nasłuchiwać jej głosu, któremu nadawała specjalną intonację, melodyjną i delikatną; przez nią chciałam pozostać chora, już zawsze tam leżeć, blada, romantyczna i budząca współczucie, na poły ja, na poły omdlewająca aktorka, zawsze bezpieczna przy matce.

Teraz jej dłonie czasami drżały i talerz lub łyżka lądowały nagle na kuchennej podłodze. W sukience pozostała elegancka i nieskazitelna, ale strasznie zamartwiała się plamkami i zagnieceniami oraz niedokładnie wypastowanymi butami; było to coś, czego nie pamiętałam z młodości. Myślę, że zamknęła w sobie lśniący dom, który zastąpiła nienaganna garderoba. Czasami szwankowała jej pamięć, ale tylko w przypadku niedawnych wydarzeń i dopiero co wypowiedzianych zdań. Wcześniejsze etapy życia zachowały ostrość, która robiła wrażenie niemal nadnaturalnej. Kiedy zaczęła się starzeć, ja robiłam coraz więcej,

a ona coraz mniej, lecz ta zmiana wydała się mało ważna dla naszych dobrych stosunków. Zniknęła, co prawda, niestrudzona mistrzyni obowiązków domowych, ale kobieta, która szykowała posłanie, żeby mieć chore dzieci blisko siebie, siedziała naprzeciwko mnie niezwyknięta.

– Zawsze uważałam, że czujesz zbyt wiele – stwierdziła, powtarzając znany refren. – Że jesteś nadwrażliwa, księżniczka na ziarnku grochu, a teraz ta sprawa z Borisem... – Rysy twarzy matki stężyły. – Jak on mógł? Przekroczył sześćdziesiątkę. Chyba zwariował... – Zerknęła na mnie i zakryła usta dłonią.

Zaśmiałam się.

– Nadal jesteś piękna – powiedziała matka.

– Dzięki, mamó.

Ten komentarz był bez wątpienia przeznaczony dla Borisa. Jak mogłeś opuścić „nadal piękną”?

– Chcę, żebyś wiedziała – dodałam w odpowiedzi na ciszę – że lekarze naprawdę mówią, że wyzdrowiałam, że to się może przytrafić, a potem już nigdy się nie zdarzyć. Uważają, że wróciłam do siebie: mało znaczące zaburzenie psychiczne, nic więcej.

– Myślę, że uczenie tej grupki dobrze ci zrobi. A czy ty w ogóle na to czekasz? – Jej głos załamał się z emocji: nadzieja przemieszana z obawą.

– Tak – odparłam. – Chociaż nigdy nie uczyłam dzieci.

Matka milczała, a potem zapytała:

– Myślisz, że Borisowi to przejdzie?

Tak naprawdę „to” było „nią”, ale doceniłam matczyne takt. Nie będziemy tego nazywać.

– Nie wiem – odpowiedziałam. – Nie wiem, co się dzieje w jego głowie. Nigdy nie wiedziałam.

Matka pokiwała smutno głową, jakby znała te sprawy na wylot, jakby ten zakręt w moim małżeństwie był scenariuszem świata, do którego zajrzała dawno temu. Mama, Mędrzec. Echa odczutego znaczenia przebiegły jak iskra elektryczna przez jej drobne ciało. To się nie zmieniło.

Idąc korytarzem Wschodniego Rolling Meadows, zaczęłam nucić,

a potem cicho podśpiewywać:

Mrugnij, mrugnij nietoperzu,
gdzie się dziś podziewasz, zwierzu?
On po niebie lata sobie,
klejnot świata ku ozdobie.

Przebrnęłam przez poranki tego pierwszego tygodnia, pracując cicho przy pożyczonym biurku, następnie czytając przez kilka godzin aż do popołudniowych odwiedzin i długich rozmów z matką. Słuchałam jej opowieści o Bostonie i moich dziadkach, idyllicznych wyliczanek ustalonych zajęć z dzieciństwa wśród przedstawicieli klasy średniej, przerywanych od czasu do czasu przez jej brata Harry'ego, urwisa, nie rewolucjonistę, który zmarł na polio w dwunastym roku życia i tym samym odmienił świat mojej wówczas dziewięcioletniej matki. Tego grudniowego dnia powiedziała sobie, że musi spisać wszystko, co pamięta o Harrym, i zajmowała się tym miesiącami. „Harry nie potrafił spokojnie usiedzieć na miejscu. Przy śniadaniu zawsze kopał w nogi krzesła”. „Harry miał na łokciu znamię, które wyglądało jak mała myszka”. „Pamiętam, że raz Harry schował się w ubikacji, żeby nie zobaczyła go płaczącego”.

Wieczorami najczęściej gotowałam mamie kolację u mnie lub u niej; karmiłam ją do syta mięsem, ziemniakami i makaronem, a potem przechodziłam po wilgotnej trawie do wynajętego domu, żeby samotnie wpaść w szal. Burza i szal. Czyja to była sztuka? Friedricha von Klingera. Kling. Klang. Bang. Mia Fredricksen w buncie przeciwko Stresorowi. Burza i stres. Łzy. Bicie w poduszkę. Kobieta potwór wybucha w przestrzeni i rozpada się na drobinki, które opadają i osiadają na małym miasteczku Bonden. Teatr ogromny Mii Fredricksen w męczarniach, gdzie za widownię ma tylko mury, nie jej Mur, nie Borisa Izcovicha, zdrajcę, kreaturę, ukochanego. Nie Jego. Nie B.I. Brak snu, tylko farmakologia i jej pozbawiona marzeń nicość.

– Noce są ciężkie – powiedziałam. – Cały czas myślę o małżeństwie.

Słyszałam oddech doktor S.

– Jakie to myśli?

– Furia, nienawiść i miłość.

– Zwięźle – stwierdziła.

Wyobraziłam sobie jej uśmiech, ale dodałam:

– Nienawidzę go. Dostałam maila: „Jak się miewasz, Mio? Boris”.

Miałam ochotę wysłać mu sporą dawkę plwociny.

– Prawdopodobnie Boris czuje się winny, nie sądzisz? I martwi się. Zgaduję, że jest także zdezorientowany, a z tego, co mi mówiłaś, Daisy jest na niego strasznie wściekła, i to musiało go głęboko zranić. To oczywiste, że nie jest człowiekiem, który dobrze sobie radzi w sytuacjach konfliktowych. Ma to swoje przyczyny, Mio. Pomyśl o jego rodzinie, o bracie. Pomyśl o samobójstwie Stefana.

Nie odpowiedziałam. Przypomniałam sobie głuchy głos Borisa w słuchawce telefonicznej, oznajmiający, że znalazł Stefana martwego. Pamiętam żółtą karteczkę przyklejoną do ściany w kuchni, na której napisano „zadzwoń po hydraulika”; każda litera tego przypomnienia wyglądała obco, jakby słowa nie były angielskie. To nie miało żadnego sensu, ale głos w mojej głowie rozbrzmiewał jasno i rzeczowo: Musisz zadzwonić na policję i do niego pojechać. Żadnego zamętu, żadnej paniki, lecz świadomość, że stała się straszna rzecz i że odczuwam ją boleśnie. To się stało, to jest prawda. Teraz musisz działać. Na szybie taksówki osiadały krople deszczu, nagle zamienione w cienkie strumyczki, zza których mogłam dostrzec osnute mgłą budynki śródmieścia, a potem tabliczkę z nazwą ulicy N. Moor, taką zwyczajną, tak znajomą. Zimne, szare panele w windzie, niski, brzęczący dźwięk na trzecim piętrze. Wiszący Stefan. Słowo: Nie. I jeszcze raz. Nie. Boris wymiotujący w łazience. Moja dłoń głaszcząca jego głowę, obejmująca mocno jego ramiona. Nie łkał; stękał w moich objęciach jak zranione zwierzę.

– To było straszne – powiedziałam bezbarwnym głosem.

– Tak.

– Zaopiekowałam się nim. Podtrzymywałam go na duchu. Jak by sobie beze mnie poradził? Jak może o tym nie pamiętać? Zamienił się w kamień. Karmiłam go. Mówiłam do niego. Znosiłam jego milczenie.

Odmawiał przyjęcia pomocy. Szedł do laboratorium, przeprowadzał eksperymenty, wracał do domu i znowu przemieniał się w głaz. Czasami boję się, że spalę się w gniewie. Po prostu wybuchnę. Znowu się załamie.

– Wybuch to nie to samo, co załamanie; poza tym, jak już wcześniej ustaliliśmy, nawet załamanie może mieć jakiś cel, jakieś znaczenie. Przez długi czas trzymałaś się twardo, ale akceptacja załamania to część bycia zdrowym i żywym. Myślę, że ci to wychodzi. Wydaje mi się, że już się tak bardzo nie boisz samej siebie.

– Uwielbiam panią, doktor S.

– Miło mi to słyszeć.

Usłyszałam tę dziewczynkę, zanim ją zobaczyłam: cienki głosik, który dobiegł zza kępy krzaków.

– Zostawiam was w ogródku, o tak, i macie nie rozrabiać... Absolutnie! Klapnijcie sobie tutaj. O proszę, pagórek. Mlecze. I troszkę wiatorku. Dobra, ludzie, jest i dom.

Czytałam wyciągnięta na leżaku; z mojej pozycji dostrzegłam parę krótkich gołych nóżek, które postąpiły dwa kroki, a potem opadły na kolana na ziemi. Częściowo widoczne dziecko trzymało zielone plastikowe wiadro, którego zawartość wyrzuciło na trawę. Zobaczyłam różowy domek dla lalek i mnóstwo figurek, plastikowych i wypchanych, różnych rozmiarów, a następnie głowę dziewczynki, która mnie przestraszyła, zanim zdałam sobie sprawę, że założyła jakąś nastroszoną perukę; sterczące z niej platynowe elementy przywiodły mi na myśl straconego na krześle elektrycznym Harpo Marxa. Monolog rozbrzmiał ponownie.

– Możesz wejść, Szczurku, i ty też, Misiu. Patrzcie, rozmawiacie sobie. A teraz coś do jedzenia.

Szybkie zejście ze sceny, błyskawiczny powrót, powódź wysypywanych na trawę maleńkich filiżanek i talerzyków. Gorączkowe przygotowania, a potem odgłosy żucia, cmokanie i udawane beknięcia.

– Niegrzecznie jest bekać przy stole. Zobaczcie, kto idzie, to Żyrafka. Zmieścisz się? Ścieśnijcie się trochę.

Żyrafka się nie mieściła, więc animatorka zadowolona się

umieszczeniem w domku tylko jej głowy i szyi, korpus pozostawiając na zewnątrz.

Powróciłam do książki, ale głos dziecka co chwilę odrywał mnie od treści cichymi okrzykami i głośniejszym podśpiewywaniem. Po krótkim okresie ciszy nastąpił nagły wybuch żalu:

– Szkoda, że jestem prawdziwa, nie mogę wejść do mojego małego domku i w nim zamieszkać!

Pamiętałam, pamiętałam ten próg krainy Niemal, gdzie marzenia były prawie rzeczywiste. Czy to możliwe, żeby moje lalki budziły się nocą? Czy łyżka przesunęła się sama z siebie o ułamek cala? Czy to moja nadzieja ją zaczarowała? Prawdziwe i nieprawdziwe jak lustrzane bliźnięta, tak blisko siebie, że dzieliły ten sam żywy oddech. Także trochę strachu. Ocierałeś się o to niepokojące uczucie, że sny wydarły się z aresztu podświadomości i wpadły w sam środek dnia. „Nie chciałabyś – zapytała Bea – żeby sufit był podłogą? Nie chciałabyś, żebyśmy mogły...”.

Dziewczynka stała jakieś pięć stóp dalej i wpatrywała się we mnie poważnie, okrągła, przysadzista, trzy- lub czteroletnia osóbką o pyzatej buzi i ogromnych oczach zerkających spod groteskowej peruki. W dłoni ścisnęła szyję Żyrafki, okaleczonego w walkach stworzenia, które sprawiało wrażenie potrzebującego hospitalizacji.

– Cześć – powiedziałam. – Jak masz na imię?

Energicznie pokręciła głową, wyduła policzki, nagle zawróciła i odbiegła.

Szkoda, że jestem prawdziwa, pomyślałam.

Przypląw zdenerwowania przed spotkaniem z siedmioma dojrzewającymi dziewczętami, uczestniczkami moich warsztatów poetyckich, wydał mi się nedorzeczny, a jednak czułam ucisk w płucach i słyszałam swój płytki oddech, małe obłoczki niepokoju. Przemawiałam do siebie surowo. Od lat uczysz pisanie studentów, a to są tylko dzieci. Powinnaś też wiedzieć, że żaden szanujący się chłopak z Bonden nie zapisałby się na warsztaty poetyckie, że tutaj, na prowincji, poezja oznacza słabeuszy, lalki i matrony. Dlaczego miałabyś oczekiwać, że przyciągniesz kogoś poza kilkoma dziewczętami z mglistymi i zapewne

sentymantalnymi marzeniami o pisaniu wierszy? Kim ja w ogóle byłam? Miałam swoją nagrodę Doris, doktorat z literatury porównawczej i pracę na Uniwersytecie Columbia, okruchy poważania na dowód, że moja klęska nie jest całkowita. Mój problem polegał na tym, że wewnętrzne dotknęło zewnętrznego. Po rozpadnięciu się na kawałki straciłam tę dziarską pewność siebie w trybach mojego umysłu, świadomość, którą zyskałam tuż przed pięćdziesiątką, że mogę być ignorowana, ale potrafię rozłożyć każdego na czynniki pierwsze, że wielkie odczytanie zmieniło mój mózg w syntetyczną maszynę gromadzącą na tym samym wdechu filozofię, naukę i literaturę. Pobudzałam się listą szalonych (w mniejszym lub większym stopniu) poetów: Torquato Tasso, John Clare, Christopher Smart, Friedrich Hölderlin, Antonin Artaud, Paul Celan, Randall Jarrell, Edna St. Vincent Millay, Ezra Pound, Robert Fergusson, Weliimir Chlebnikow, Georg Trakl, Gustaf Fröding, Hugh MacDiarmid, Gérard de Nerval, Edgar Allan Poe, Burns Singer, Anne Sexton, Robert Lowell, Theodore Roethke, Laura Riding, Sara Teasdale, Vachel Lindsay, John Berryman, James Schuyler, Sylvia Plath, Delmore Schwarz... Podniesiona na duchu przez moich znajomych maniaków, cierpiących na depresję i nasłuchujących głosów, wskoczyłam na rower i ruszyłam na spotkanie siedmiu poetyckich kwiatów Bonden.

Kiedy sponad stołu spojrzałam na moje uczennice, trochę się uspokoiłam. To naprawdę były dzieci. Te stojące u progu dorosłości dziewczęta natychmiast zaznaczyły swój autorytet w sposób niedorzeczny, lecz przejmujący, a moja sympatia do nich niemal odebrała mi mowę. Wyższa ode mnie o kilka cali Peyton Berg, bardzo szczupła, bez biustu, stale poprawiała ułożenie rąk i nóg, jakby stanowiły obce kończyny. Jessica Lorquat była drobna, ale obdarzona dorosłym ciałem. Otaczała ją aura fałszywej kobiecości, która manifestowała się przede wszystkim w pewnej pretensjonalności – ckliwym, dziecięcym głosiku. Ashley Larsen o lśniących, brązowych włosach i nieco wylupiastych oczach poruszała się i siedziała świadoma wywoływanego przez siebie wrażenia, które wypływa z nowo odkrytych stref erogennych – trzymała się prosto, prezentując rosnące piersi. Emma Hartley ukryła się za welonem jasnych włosów i uśmiechała nieśmiało.

Nikki Borud i Joan Kavacek, obie pulchne i hałaśliwe, robiły wrażenie działających w tandemie, jak jedna chichocząca, afektowana postać. Ładna Alice Wright z aparatem na dużych zębach czytała cicho, gdy weszłam, i nie przestała aż do rozpoczęcia zajęć. Kiedy zamknęła książkę, dostrzegłam, że były to Dziwne losy Jane Eyre, i przez moment poczułam zazdrość, zazdrość o nowe odkrycie.

Co najmniej jedna z nich się perfumowała; w ciepły czerwcowy dzień zapach perfum mieszał się z zalegającym w pomieszczeniu kurzem, co sprawiło, że dwa razy kichnęłam. Jessica, Ashley, Nikki i Joan były ubrane jak na jakąś inną okazję, nie na warsztaty poetyckie. Ozdobione wiszącymi kolczykami, błyszczącym do ust, cieniami do powiek, w koszulkach z napisami, które odsłaniały ich nagie brzuchy różnych kształtów i rozmiarów, raczej wkroczyły, niż weszły do sali. Banda Czworoga, pomyślałam. Komfort, bezpieczeństwo, grupa.

Potem zaczęłam wykład.

– Nie ma zasad – wyjaśniłam im. – Przez półtora miesiąca, trzy razy w tygodniu, będziemy tańczyć, tańczyć ze słowami. Nic nie jest zakazane, żadna myśl, żaden temat. Dozwolone są wszelkie bzdury, głupstwa, nedorzeczności. Nieważne są gramatyka ani pisownia, przynajmniej na początku. Będziemy czytać poematy, ale wasze wiersze nie muszą być do nich podobne.

Siódemka milczała.

– Ma pani na myśli, że możemy pisać o wszystkim – wypaliła Nikki. – Nawet o wstrętnych rzeczach.

– Jeżeli tak chcecie – potwierdziłam. – A zatem wykorzystajmy słowo „wstrętny” jako wyzwalacz.

Po krótkim wyjaśnieniu zasad pisania automatycznego, poprosiłam je o napisanie odpowiedzi na „wstrętny”, cokolwiek im przyjdzie do głowy w ciągu dziesięciu minut. Pod kilkoma ołówkami natychmiast pojawiły się „kupa, siki, smarki i wymiociny”. Joan dodała „brud związany z miesiączką”, co wywołało chichoty i westchnienia, a ja zastanowiłam się, ile z nich przekroczyło już ten próg. Peyton rozprawiała o krowich plackach. Wydawało się, że Emma nie jest w stanie się rozluźnić; utknęła na spleśniałych pomarańczach i cytrynach. Alice, która najwyraźniej zamieszkiwała królestwo

nieuleczalnych moli książkowych, napisała: „przeszywający, okrutny, uszczypliwy, jak kłujące noże w moim miękkim ciele”; w odpowiedzi na ten wers Nikki przewróciła oczami i zerknęła na Joan w poszukiwaniu potwierdzenia, które nadeszło szybko w postaci uśmiešku.

To wspólne spojrzenie pełne lekceważenia zapadło w moją pierś niczym szybkie ukłucie igłą; zauważyłam głośno, że „wstrętny” jest słowem, które zawiera w sobie więcej niż obiekty budzące odrazę, że istnieją wstrętne uwagi, wstrętne myśli i wstrętne ludzie. Moje stwierdzenie zostało przyjęte bez sprzeciwów; zwolniłam grupę po dalszej części wykładu, pełnych skrępowania chichotach, pytaniach, poleceniu, żeby korzystały z jednego notatnika i zadaniu do domu spisania szybkich reakcji na słowo „zimny”.

Banda Czworoga parła do wyjścia, wiedziona przez Peyton i Emmę, stąpające pewnie na obcasach. Alice zwlekała przy ławce, starannie i nieśmiało pakując książkę do dużej płóciennej torby. Potem usłyszałam, jak Ashley woła do Alice jasnym, łamiącym się głosem:

– Alice, czy ty nie idziesz z?

(W języku Minnesoty przyimek „z” może występować samotnie, bez rzeczownika lub zaimka). Spojrzałam na Alice i zobaczyłam zmianę na jej twarzy. Uśmiechała się przez moment, a potem, zabrawszy z ławki notatnik, pobiegła skwapliwie ku pozostałym. Nieskrywana radość Alice w połączeniu z tonem Ashley już drugi raz w ciągu godziny trafiły w czuły punkt w moim wnętrzu, raczej fizyczny niż umysłowy. Powróciłam do młodej i beznadziejnie poważnej mnie, dziewczyny pozbawionej ironicznego dystansu czy daru ukrywania swoich emocji. Jesteś nadwrażliwa. Ukradkowe spojrzenia między dziewczętami tkwiły w moim mózgu aż do wieczora, jak stara, irytująca melodia, której nie chciałam już nigdy słyszeć od nowa.

Dziewczyny i ich rozkwitające ciała mogły stać się pośrednim katalizatorem przedsięwzięcia, które rozpoczęłam tego samego wieczoru. Stanowiło ono sposób na metodyczne odpieranie demonów, które przybywały każdej nocy, wszystkie o imieniu Boris, wszystkie dzierżące noże różnej długości. Fakt, że spędziłam z tym mężczyzną ponad połowę życia, nie oznaczał, że nie było żadnego okresu Przed Borisem (który od teraz będę określać jako P.B.). W tej dawno utraconej

erze był także seks, zmysłowy, brudny, słodki i smutny. Postanowiłam skatalogować moje udane i nieudane przygody cielesne w nieskazitelnym notatniku, zbeczczyć jego strony moją własną pornograficzną historią i w miarę możliwości zachować go wolnym od męża. Miałam nadzieję, że Inni oderwą moje myśli od Niego.

Wpis nr 1. Miałam sześć czy siedem lat? Raczej sześć, ale to nie jest pewne. Dom wujostwa w Tidyville. Mój kuzyn Rufus rozsiadł się na sofie. Jeżeli ja miałam sześć lat, to on dwanaście. Pamiętam, że inni członkowie rodziny byli w pobliżu, wchodzili i wychodzili z pokoju. Było lato. Słońce wpadało przez okno, widać było drobinki kurzu, w rogu pracował wiatrak. Kiedy mijałam sofę, Rufus przyciągnął mnie do siebie, nie było w tym nic niezwykłego. Byliśmy kuzynostwem. Zaczął mnie pocierać czy raczej ugniatać między nogami, jakbym była ciastem; pojawiło się dziwne, ciepłe wrażenie, mieszanka przyćmionego podniecenia i uczucie, że to nie do końca w porządku. Położyłam dłonie na jego kolanach, odepchnęłam się, wylądowałam na podłodze i odeszłam. Muszę uznać te przypadkowe macanki za moje pierwsze doświadczenie seksualne. Nigdy go nie zapomniałam. Chociaż nie było w najmniejszym stopniu traumatyczne, stanowiło nowość, ciekawostkę, która odcisnęła określone piętno na moim umyśle. Mój ogląd tego wydarzenia, o którym nie powiedziałam nikomu oprócz Borisa, z pewnością kwalifikuje się do kategorii, którą Freud (a raczej James Strachey) określał mianem „działania odroczonego” – wczesne wspomnienia nabierające różnych znaczeń, kiedy człowiek robi się coraz starszy. Gdybym nie uciekła tak szybko, gdybym nie zachowała poczucia własnej woli, molestowanie mogłoby mnie przestraszyć. Dzisiaj uznano by je za sprawę kryminalną, a gdyby zostało odkryte, chłopiec pokroju Rufusa mógłby trafić do więzienia lub na terapię dla przestępców seksualnych. Rufus został dentystą, specjalizuje się w implantach. Kiedy ostatni raz go widziałam, miał przy sobie periodyk o tytule „Implantologia”.

Wpis nr 2. Lucy Pumper oznajmia mi w autobusie szkolnym:

– Wiem, że muszą to robić, żeby mieć dzieci, ale czy muszą zdejmować wszystkie ubrania?

Lucy była katoliczką – egzotyka: kadzidła, szaty, krucyfiksy, różańce (wszystko upragnione) – i miała ośmioro rodzeństwa. Chyliłam czoło przed jej rozległą wiedzą. Ja sama zaglądałam w to konkretne zwierciadło z ponurą miną i nie miałam nic do powiedzenia w temacie. Byłam dziewięciolatką i świetnie rozumiałam, że odkryłabym jakieś odbicie, gdybym przyjrzała się wystarczająco dokładnie, ale kiedy patrzyłam przed siebie, nie miałam pojęcia, co widzę. Wszystkie ubrania?

Wpis na marginesie. Obiecałam, że tego nie zrobię, ale nie mogę się powstrzymać. Miał wtedy ciemne włosy, prawie czarne, a z podbródka nie zwisała mu miękka, luźna skóra. Siedział naprzeciwko mnie przy stoliku w cukierni Węgierskiej; powoli, klarownie objaśniał mi swoje badania, długopisem Bic naszkicował na serwetce model. Pochyliłam się, żeby mu się przyjrzeć, powiodłam palcem po jednej z linii, które narysował, i podniosłam na niego wzrok. Naelektryzowane powietrze. Położył dłoń na mojej i przycisnął moje palce do stołu, a ja poczułam to między nogami. Czułam, jak moja szczęka się rozluźnia, usta otwierają. To było wspaniałe, kochany, czyż nie? Czyż nie?

Wrzeszczę. Przez te wszystkie lata to ty byłeś na pierwszym miejscu! Ty, nigdy ja! Kto godzinami sprzątał, wykonywał prace domowe, taszczył zakupy? Może ty? Przeklęty władca wszechświata! Falliczny Übermensch wyrusza na konferencję. Korelaty nerwowe świadomości! Rzygać mi się od tego chce!

Dlaczego zawsze jesteś taka wściekła? Gdzie twoje poczucie humoru? Dlaczego przerabiasz nasze życie?

Pamiętam fragmenty, części,
krzesło bez pokoju,
przypadkowe zdanie, okrzyk, zamgloną scenę,
szaleństwa hipokampu

wzywają Davida Hume'a,
jego ja równie blade, mizerne i widmowe
jak moje.

Droga Mamo,

myślę o Tobie codziennie. Jak miewa się Babcia? Zawieszamy spektakle w sierpniu, wtedy przyjadę z wizytą na cały tydzień. Uwielbiam grać Muriel. Jest wyjątkowa – wspaniała rola, no i wreszcie komedia! Ludzie zrywają boki ze śmiechu. Powiedziałam Freddy'emu, że scenariusze są okropne, ale on ciągle wysyłał mnie na te koszmarne filmy w stylu „torturuj ją i zabij”. Fuj! Teatr próbuje zbierać fundusze, ale nie jest to łatwe tu, na prowincji zabitej dechami. U Jasona wszystko w porządku, tylko klnie na mój grafik.

Spotkałam się z Tatą na lunchu, ale nie poszło zbyt dobrze. Mamo, bardzo się o Ciebie martwię. Czy wszystko w porządku? Tak bardzo Cię kocham.

Twoja Daisy

Wysłałam mojej Daisy uspokajającą wiadomość.

Emily Dickinson, *100 wierszy*, przeł. Stanisław Barańczak, Kraków 1990, s. 35. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

* * *

– Nie był łatwym mężczyzną do małżeństwa ten twój ojciec – powiedziała matka.

– Nie – odparłam. – Wiem o tym.

Matka siedziała w fotelu, obejmując rękami chude kolana. Pomyślałam, że z wiekiem się skurczyła, ale zrobiła się także intensywniejsza, jakby brak dodatkowego czasu odarł ją całkowicie z tłuszczu – fizycznie i mentalnie.

– Golf, prawo, krzyżówki, martini.

– W tej kolejności? – Uśmiechnęłam się do niej.

– Możliwe. – Matka westchnęła i pochyliła się, żeby podnieść uschnięty liść rośliny doniczkowej stojącej na stoliku obok. – Nigdy ci tego nie mówiłam – dodała – ale kiedy byłaś jeszcze mała, twój ojciec chyba się w kimś zakochał.

Wciągnęłam powietrze.

– Miał romans?

Matka potrząsnęła głową.

– Nie, wydaje mi się, że nie było tam seksu. Był niezwykle prawym człowiekiem, ale pojawiło się uczucie.

– Powiedział ci?

– Nie. Domyśliłam się.

Tak zawile okazały się drogi życia małżeńskiego, przynajmniej między moimi rodzicami. Jakikolwiek bezpośrednie konfrontacje stanowiły absolutną rzadkość.

– Ale się przyznał.

– Nie, nie potwierdził ani nie zaprzeczył. – Matka zacisnęła usta. – Wiesz, jemu było bardzo trudno rozmawiać ze mną o bolesnych sprawach. Mówił wtedy: „Proszę, nie mogę. Nie mogę”.

Gdy mówiła, w moim umyśle pojawił się nagle mentalny obraz ojca. Siedział tyłem do mnie, w milczeniu obserwując ogień, u jego stóp leżała książeczka z szaradami. Potem zobaczyłam go na szpitalnym łóżku, długą, wychudzoną sylwetkę, odurzonego morfiną, już pozbawionego świadomości. Pamiętam, jak matka dotykała jego twarzy. Z początku robiła to jednym palcem, jakby wpisywała jego rysy twarzy

bezpośrednio w ciało, niemy szkic oblicza męża. Potem jednak przycisnęła dłonie do jego czoła, policzków, oczu, nosa i karku, uciskała jego ciało mocno, jak niewidoma usiłująca desperacko zapamiętać czyjąś twarz. Moja matka, twarda, lecz złamana, z zaciśniętymi ustami, o oczach szeroko rozwartych z niepokoju, zaczęła chwytać go za barki, ramiona i klatkę piersiową. Odwróciłam się od tego osobistego błagania wysłanego mężczyźnie, tej zaborczej deklaracji spędzonego wspólnie czasu, i wyszłam z pokoju. Kiedy wróciłam, ojciec już nie żył. Po śmierci wyglądał młodziej, gładki i niepojęty. Siedziała w ciemnościach, trzymając ręce na podołku. Wąskie smugi przenikającego przez żaluzje światła igrały na jej czole i policzku; w tamtej chwili czułam podziw, tylko podziw.

W odpowiedzi na moje milczenie matka ciągnęła dalej:

– Mówię ci to teraz – oznajmiła – ponieważ czasami chciałam, żeby zaryzykował, żeby do niej uderzył. Mógł oczywiście z nią uciec, ale równie dobrze mógł się tym zmęczyć... – Głośno odetchnęła; długi, drżący wydech. – Wrócił do mnie, mam na myśli emocjonalnie, do takiego stopnia, do jakiego to było dla niego możliwe. To trwało przez kilka lat, ten dystans, a potem chyba już więcej o niej nie myślał, a jeżeli myślał, to nie miała już nad nim władzy.

– Rozumiem – odpowiedziałam.

Naprawdę rozumiałam. Przerwa. Ze wszystkich sił próbowałam sobie przypomnieć sonet sto dwudziesty dziewiąty. Zaczynał się od „Trwonieniem ducha i hańbą plugawą...”, potem wersy o pożądaniu, „wybuchu żądy”. Gdzieś tam słowa „wiarołomna, mordercza i krwawa...”.

Dość ją nasycić, a niezwłocznie brzydzi.

Coś tam dalej... a potem:

W szale dopędza i w szale posiada.

Miała, czy chce mieć, czy ma – rozpasana.

Rozkosz – gdy rośnie, żałość – gdy opada;

Wcześniej – uciecha, a sen – gdy doznana.

Świat wie to. Jednak rzecz to niedociekła,
Jak wzgardzić niebem wiodącym do piekła?

- Kim ona była, mammo?
- Czy to ważne?
- Nie, może i nie – skłamałam.
- Nie żyje – powiedziała matka. – Nie żyje od dwunastu lat.

Tego wieczoru, gdy przekręciłam klucz w zamku, poczułam po drugiej stronie drzwi czyjaś obecność, ciężką, groźną istotę, namacalną, żywą, trwającą tam, jak i ja trwałam, z uniesioną dłonią. Stałam na stopniu, słuchając swojego oddechu, czułam chłodną noc na nagich ramionach, słyszałam, jak niedaleko uruchomiono silnik samotnego pojazdu, ale się nie poruszyłam. Ono też nie. W oczach wezbrały mi głupie łzy. Wiele lat temu wyczułam to samo ciężkie ciało u stóp schodów w domu, oczekujące Odbicie. Policzyłam do dwudziestu, odczekałam dwadzieścia uderzeń serca, a potem mocno pchnęłam drzwi i przekręciłam włącznik światła; stanęłam przed sensowną pustką zabłoconego holu. Zniknęło. To nie był zabobon czy mglista obawa, ale absolutna pewność. Dlaczego powróciło? Duchy, demony i sobowtóry. Pamiętam, że opowiedziałam Borisowi o tej wyczekującej obecności, niewidzialnej, lecz gęstej, a jego oczy zabłyśły zainteresowaniem. To było jeszcze w czasach, kiedy mnie lubił, zanim jego wzrok stał się otepiały, przed śmiercią Stefana, młodszego braciszka, takiego rozdokazywanego, bystrego; mój Boże, młody filozof, który nokautował adwersarzy z Princeton, wstrząsał nimi, uwielbiał ze mną rozmawiać, ze mną, nie tylko z Borisem, czytał moje wiersze, trzymał mnie za rękę, umarł, zanim mógłby odwiedzić mnie w szpitalu, w którym on też wylądował w czasie swoich podróży do nieba i upadków w piekielne czeluście. Nienawidzę cię za to, co zrobiłeś, Stefanie. Wiedziałeś, że cię znajdzie. Musiałeś wiedzieć, że cię znajdzie. I musiałeś wiedzieć, że do mnie zadzwoni, a ja do niego pojadę. Przez ułamek sekundy przed oczami stanęła mi kałuża moczu na podłodze, zmieszanego z rzadkimi odchodami plamiącymi parkiet. Nie.

Przestań o tym myśleć. Nie myśl o tym. Wracaj do obecności.

Boris opowiadał mi o obecnościach. Karl Jaspers, wunder Mensch, nazywał to zjawisko leibhaftige Bewusstheit, a ktoś inny, bez wątpienia jakiś Francuz – hallucination du compagnon. Czy już jako dziewczyna byłam wariatką? Stuknięta przez rok? Nie, nie przez cały rok, miesiącami, miesiącami okrucieństw, gdy czułam, że to Coś czeka u stóp schodów.

– Niekoniecznie wariatką – powiedział Boris głosem niskim od wypalonych cygar, a potem się uśmiechnął.

Obecności wyczuwają pacjenci zarówno oddziałów psychiatrycznych, jak i neurologicznych, zwykli ludzie zresztą też. Tak, tłumy niezdiagnozowanych niewiniątek, jak ty, drogi czytelniku; twój umysł nie jest szalony, rozregulowany czy rozszczepiony, ma jedynie skłonność do drobnych dziwactw.

Leżąc wtedy na sofie, z całych sił próbowałam przypomnieć sobie chwile wolne od obecności, żeby odkryć odległe okrucieństwa szóstej klasy, „spokojnie i obiektywnie”, jak to określają w telewizji i w kiepskiej literaturze. Był spisek albo kilka spisków – górnolotne określenie czynów małych dziewczynek – ale czy wiek sprawców lub miejsce akcji naprawdę mają znaczenie? Plac zabaw czy dwór królewski? Czyż doznania ludzkie nie są jednakowe?

Jak to się zaczęło? Na piżamowej imprezie. Same urywki. Jedno jest pewne: Nie chciałam się zaciągać do omdlenia, wdychać, aż popchną mnie i położą na materacu. To było głupie, a zbielała twarz Lucy mnie przestraszyła.

– Nie bądź tchórzem, Mia. Dawaj, dawaj. – Skomlenie o współludział.

Nie. Nie chciałam. Kto chciałby zemdleć? Czułam się zbyt bezbronna. Nie lubiłam zawrotów głowy.

Dziewczyny szepczą obok mnie. Tak, słyszę je, ale nie rozumiem. Mój śpiwór jest niebieski, a podszewkę ozdabia wzór w szkocką kratę. To pamiętam wyraźnie. Jestem zmęczona, strasznie zmęczona. Mówią coś o celu, celowaniu w kogoś, celowaniu nożem. Dowcipny kalambur.

Śmieję się z nimi, ponieważ nie chcę być wykluczona, a dziewczyny śmieją się jeszcze donośniej. Julia, moja przyjaciółka, zaśmiewa się najgłośniej. Potem zasypiam. Zdezorientowana,

nieświadoma dziewczynka.

Liścik w klasie: „AIM, brudne paznokcie i przetłuszczone rude włosy. Umyj się, prosiaku”. Nagle zobaczyłam moje imię odwrócone. Aim zamiast Mia.

– Mam czyste paznokcie, włosy też.

Huragan śmiechu. Głośny rechot grupy powala mnie i spycha w przepaść. Nic nie mów. Udawaj, że nic nie widzisz ani nie słyszysz.

Uszczypnięcie na schodach.

– Nie szczyp mnie.

Twarz Julii pozostaje bez wyrazu.

– Co z tobą? Nawet cię nie dotknęłam. Wariatka.

Jeszcze więcej ukradkowych uszczypnięć, moja „wyobraźnia” w szatni dla dziewczynek.

Łzy w kabinie toalety.

Potem zazwyczaj nie istnieję.

Odrzucić, wykluczyć, zignorować, ekskomunikować, wygnać, wypchnąć. Zimna dłoń. Powitanie milczeniem. Więzienna izolotka. Czas dobiegł końca.

W Atenach sformalizowano ostracyzm, żeby pozbyć się tych, których podejrzewano o zgromadzenie zbyt dużej władzy; od wyrazu ostrakon, „skorupa”. Spisywano imiona podejrzanych na glinianych skorupach. Okruchy słów. Pakistańscy Pasztuni skazują renegatów na wygnanie z plemienia i zsyłają ich na pyliste bezdroża. Apacze ignorują wdowy. Obawiają się paroksyzmów żalu i udają, że ulegające im kobiety nie istnieją. Szympany, lwy i wilki także wypracowały swoje formy ostracyzmu, odrzucają te spośród siebie, które są zbyt słabe lub zbyt agresywne, by grupa mogła je tolerować. Naukowcy opisują to jako „wrodzoną i adaptacyjną” metodę kontroli społecznej. Szympan Lester pożył niedostępnej dla siebie władzy i próbował posuwać samice, u których nie miał szans. Nie znał swojego miejsca i w końcu go odrzucono. Osamotniony padł z głodu. Badacze znaleźli jego wyniszczone zwłoki pod drzewem. Amisze nazywają to meidung. Kiedy członek wspólnoty złamie prawo, pozostali zaczynają od niego stronić. Ustają wszelkie kontakty i ten, przeciwko któremu się zwrócono, popada w ubóstwo lub kończy jeszcze gorzej. Pewien mężczyzna kupił

samochód, żeby zawieźć chore dziecko do lekarza, lecz amiszom nie wolno prowadzić samochodu. Po tym pogwałceniu zasad władze obłożyły go klątwą. Nikt go nie poznawał. Starzy przyjaciele i sąsiedzi go nie zauważali. Nie żył już między nimi i zamknął się we własnym świecie. Wzdrygał się na widok obojętnych twarzy. Zmieniła się jego sylwetka, skurczył się, nie mógł jeść. Wzrok miał rozbiegany, zdał sobie sprawę, że nie mówi, ale szepcze do syna. Znalazł adwokata i pozwał starszyznę do sądu. Niedługo potem zmarł jego syn. Miesiąc później on także nie żył. Meidung znane jest również jako „powolna śmierć”. Zmarło też dwóch członków starszyzny, którzy zatwierdzili meidung. Na scenie zaroilo się od ciała.

W tamtym okresie wydawało mi się, że padłam ofiarą czarnej magii, której źródeł nie można odnaleźć, można było tylko spekulować, ponieważ zbrodnie były drobne i zazwyczaj ukrywane: uszczyplenia, które nie miały miejsca, raniące karteczki, których nikt nie napisał: „Jesteś jedną wielką sztuczością”, tajemnicze zniszczenie mojej pracy z angielskiego, rysunku, który zostawiłam na ławce i znalazłam pomazany, drwiny i szept, anonimowe telefony, odpowiadanie milczeniem. Odnajdujemy się w cudzych twarzach; przez jakiś czas każde lustro ukazywało mi cudzoziemkę, wzgardzoną obcą, która nie zasługuje na to, by żyć. Mia. Jestem. Pisałam to raz za razem w notatniku. Ja jestem. Ja jestem Mia. Pośród książek matki znalazłam antologię poezji, a w niej wiersz Johna Clare’a Jestem.

Jestem: lecz czym, o to nikt nie dba i nie wie
Przyjaciele zepchnęli mnie w zapomnienie
Samotnie raczę się swoją niedolą –
Przemykają obojętnym zastępem
Niczym cienie w szalonej, dławiącej gorączce
miłości –
A jednak jestem i żyję – jak mgiełka

Pośród nicości pogardy i zgiełku...

Nie miałam pojęcia, co oznacza „samotne raczenie się niedolą”. To

mogłoby pomóc. Trochę ironii, dziecko, odrobina dystansu, szczypta poczucia humoru, ciut obojętności. Obojętność była lekarstwem, ale nie mogłam jej w sobie odnaleźć. Prawdziwym lekarstwem okazała się ucieczka. Ta najprostsza. Moja matka to załatwiła. Akademia St. John's w St. Paul, szkoła z internatem. Tam spotkały mnie uśmiechy, docenienie, przyjaźnie. Tam znalazłam Ritę, konspiratorkę z długimi, czarnymi warkoczami i czasopismem „Mad”, fankę Elli Fitzgerald, Edith Piaf i Toma Lehrera. Leżąc na piętrowym łóżku, nuciłyśmy w niepewnej harmonii wszystkie wersy Trucia gołębi w parku. (Tak naprawdę współczułam fikcyjnym gołębiom, ale cudowne towarzystwo Rity wynagradzało zawiązką ukłucie litości). Jej jasnobrązowe nogi. Moje białe, z rzadkimi piegami. Moje kiepskie wiersze. Jej dobre komiksy.

Pamiętam, jak moja matka pierwszego dnia stała w drzwiach naszego pokoju. Była o tyle młodsza, że nie potrafię precyzyjnie odtworzyć ówczesnych rysów jej twarzy. Zapamiętałam natomiast pełne obawy, lecz i nadziei spojrzenie, którym obdarzyła mnie przed wyjściem; pamiętam, że przytuliłam się do niej, wcisnęłam twarz w rękaw jej żakietu i nakazałam sobie wdychać. Chciałam zatrzymać przy sobie jej zapach – mieszankę sypkiego pudru, perfum Shalimar i wełny.

Nie da się pojąć opowieści, którą się właśnie przeżywa, jest bezkształtna; nieokreślony pochod słów i rzeczy; i bądźmy szczerzy: nigdy nie odzyskamy tego, co było. Większość znika. A jednak gdy siedzę tu, przy biurku, i usiłuję przywołać wszystko, to nie tak dawne lato, zdaję sobie sprawę, że zdarzyły się zwroty akcji, które wpłynęły na przyszłe wydarzenia. Niektóre były wyraźne jak wyniosłości na mapie plastycznej, ale wtedy nie umiałam ich dostrzec, ponieważ zagubiłam ogląd rzeczy w nieodróżnianej nijakości przeżywania jednej chwili po drugiej. Czas nie istnieje na zewnątrz, lecz w nas. Tylko my żyjemy z przeszłością, teraźniejszością i przyszłością, a teraźniejszość i tak jest zbyt ulotna, by jej doświadczyć; zatrzymujemy ją w umyśle, a później albo ją kodujemy, albo spychamy w niepamięć. Świadomość to wytwór odroczenia. Jakoś na początku czerwca, podczas drugiego tygodnia mojego pobytu, nieświadomie wykonałam mały zwrot; myślę, że zaczęło

się od sekretnych przyjemności.

Abigail chciała pokazać mi swoje rękodzieła. Jej mieszkanie było mniejsze od tego, które zajmowała moja matka; w pierwszej chwili poczułam się przytłoczona półkami pełnymi maleńkich szklanych figurek, haftowanymi poduszkami, haselkami na ścianach („Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej”) i wielobarwnymi narzutami okrywającymi meble. Różnorodne dzieła sztuki zakrywały większą część ścian oraz samą Abigail, przyodzianą w długą, luźną suknię ozdobioną wizerunkami aligatora i innych stworzeń. Mimo przeładowania, świeżo odkurzone pomieszczenie emanowało schludnością i dumą, których spodziewałam się po Łabędzicach z Rolling Meadows. Abigail nie mogła już stać prosto, ale za pomocą balkoniku przemieszczała się sprawnie, zgięta wpół. Otworzyła drzwi, przechyliła głowę, żeby móc mnie zobaczyć i, manipulując wolną ręką przy jednym z aparatów słuchowych, spojrzała bacznie w moim kierunku. Aparaty różniły się od tego mojej matki, były znacznie większe i sterczały z jej uszu jak wielkie szare kwiaty. Zwisały z nich grube przewody; zastanawiałam się, czy to wspaniała technologia przeznaczona dla osób całkowicie głuchych, czy też relikwiny minionej epoki. Urządzenie skojarzyło mi się z trąbkami akustycznymi używanymi w XIX wieku, chociaż absolutnie nie dorównywało im rozmiarami. Usadziła mnie na krześle i poczęstowała ciasteczkami oraz szklanką mleka, jakbym miała siedem lat; potem, bez zbędnych wstępów, zaprezentowała dwa dzieła, które wybrała dla mnie do obejrzenia – ułożyła jedno na drugim na moim kolanie. Następnie powoli przemieściła się w okolice zielonej sofy i ostrożnie ulokowała się w pozycji, która wywoływała ból już od samego patrzenia, lecz pogodny, otwarty wyraz jej twarzy złagodził moje skrepowanie na tyle, że uniosłam pracę leżącą na wierzchu.

– Ta jest stara – powiedziała. – Nie przeszkadza mi. To najlepsze, co mogę o niej powiedzieć. Przynajmniej ta mi nie przeszkadza. Kiedy je wywieszam, niektóre zaczynają mi przeszkadzać, wtedy muszę je schować, idą prosto do szafy. No i co o niej sądzisz?

Po wyjęciu okularów do czytania spojrzałam na misternie dopracowaną scenkę, która wydała mi się banalna: na pierwszym planie

cherubinkowy blondynek wycięty z filcu tańczył z niedźwiedziem, a w tle umieszczono zabawne wzory kwiatowe. Nad chłopcem unosiło się żółte słoneczko z uśmiechniętą buzią. Wesolutko, pomyślałam. To drwiące określenie zapożyczyłam od Bei. Potem jednak zauważyłam, że za nudnym chłopczykiem znalazła się, prawie ukryta za liściastym wzorkiem, maleńka dziewczynka wyhaftowana na materiale; jej sylwetkę oddano nićmi o stonowanych barwach. Dzierżąc niczym broń rozwarte nożyce nadnaturalnych rozmiarów, szczyrzyła się złowrogo do śpiącego kota. Następnie dostrzegłam nad nią szarozielony klucz uniwersalny oraz parę bladoróżowych uskrzydłonych protez dentystycznych, które na pierwszy rzut oka można było wziąć za płatki kwiatów. Po bliższym zbadaniu kształtów w listowiu, ujrzałam coś, co wyglądało jak para nagich piersi w maleńkim okienku, a potem jakieś wyrazy; litery były tak małe, że aby móc je odczytać, musiałam odsunąć dzieło od oczu: „Lecz pamiętaj, że moje życie to wiatr”. Wiedziałam, że gdzieś już te słowa czytałam, ale nie pamiętałam gdzie.

Kiedy podniosłam wzrok, Abigail uśmiechnęła się.

– Nie jest tym, czym wydaje się z początku – krzyknęłam w jej kierunku. – Ta dziewczynka. I zęby. Skąd pochodzi ten cytat?

– Krzyczenie nie pomaga – oznajmiła głośno. – Mocny, donośny głos załatwi kwestię. Sprawę. „Lecz, pamiętaj, że moje życie to wiatr, moje oko nie ujrzy już dobra”.

Milczałam.

– Wiesz, ludzie tego nie widzą. – Abigail skubnęła przewód, przechylając głowę. – Większość. Widzą tylko to, co spodziewają się zobaczyć, miód, a nie dziegieć, jeżeli pojmujesz, co mam na myśli. Nawet twojej matce zauważenie ich zajęło sporo czasu. Oczywiście wokół tych elementów nie ma wiele do oglądania. Zaczęłam nad tym pracować... ho, ho, to było całe lata temu, w kole rękodzielniczym, ale nie mogłam tak z tym wyskoczyć, rozumiesz, tak otwarcie, więc zajęłam się, jak je nazywam, „prywatnymi przyjemnościami”, scenkami w scenach, sekretnymi negliżami, jeżeli mnie rozumiesz. Rzuć okiem na kolejną. Są w niej drzwi.

Ułożyłam na kolanie mały kocyk i spojrzałam na haftowane róże, żółte i różowe, na czarnym tle, o liściach w różnych odcieniach zieleni.

Wykonanie było doskonałe. W motyw kwiatowy wszyto tu i ówdzie guziczki w pastelowych barwach. Żadnych drzwi.

– Otwiera je jeden z guzików, Mio – powiedziała.

Gdy mówiła, jej głos drżał, mogłam wyczuć płynące od niej podniecenie.

Pogmerawszy przy kilku guzikach, podniosłam wzrok i zobaczyłam, że Abigail chwyta balkonik, dwukrotnie usiłuje się podnieść, wreszcie wstaje z miejsca i rusza powoli w moją stronę – stuknięcie, krok, stuknięcie, krok. Kiedy do mnie dotarła, jej pochyłona głowa zawisała tuż nad moją, a dłoń wskazała żółty guzik.

– To ten. Potem pociągnij.

Przecisnęłam guzik przez pętelkę i pociągnęłam. Pod różnym wzorem ukazał się inny widok. Leżące na moim kolanie dzieło było również haftem, lecz ten zdominował ogromny, szaroniebieski odkurzacz, uzupełniony widniejącą na jego boku etykietką firmy Electrolux. Urządzenie nie stało na ziemi, ale unosiło się w powietrzu; latająca maszyna pilotowana przez nieproporcjonalnie drobną, prawie nagą kobietę – miała tylko buty na wysokich obcasach – która płynęła obok po błękitnym niebie, manipulując długą rurą. Odkurzacz właśnie zasysał leżące pod nim miniaturowe miasteczko. Przyjrzałam się uważnie nogom maleńkiego mężczyzny, które wystawały z nakładki na końcówce rury, i włosom innego facecika, ciągniętego w przestworza z ustami rozdziawionymi z przerażenia. Wygłodniała rura porывała z ziemi krowy, świnie, kurczaki i budynek kościoła – już niebawem miała to wszystko strawić. Abigail ciężko pracowała nad obrazem katastrofy zassania; każda postać i każdy budynek były oddane drobnymi, precyzyjnymi ściegami. Potem zauważyłam miniaturową tabliczkę z napisem „Bonden”, wirującą tuż przy otworze odkurzacza. Pomyślałam o wielogodzinnej pracy i przyjemności, która musiała pchać ją naprzód, sekretnej przyjemności, naznaczonej wściekłością, zemstą, a przynajmniej radością z wyimaginowanego dzieła zniszczenia. Stworzenie tego „drugiego dna” zajęło wiele dni, może nawet miesięcy.

Z mojego gardła wydobył się niski dźwięk, ale chyba go nie usłyszała. Spojrzałam na nią, skinęłam głową, uśmiechnęłam się z uznaniem i powiedziałam, uważając, żeby nie krzyczeć:

– Jest znakomity.

Abigail wróciła powoli na sofę. Przeczekałam stukanie i kroki oraz rytuał zasiadania, który rozpoczął się zaciśnięciem obu pięści na balkoniku, a zakończył chwiejnym upadkiem na poduszkę.

– Zrobiłam go w pięćdziesiątym siódmym – oznajmiła. – Teraz to już dla mnie zbyt wiele. Palce nie chcą współpracować, to zbyt misterna robota.

– Musiałaś go ukrywać?

Pokiwała głową, a potem się uśmiechnęła.

– Prawie wtedy zwariowałam. To mi trochę pomagało.

Abigail nie rozwijała tematu, a ja czułam się zbyt obca, żeby naciskać. Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu. Patrzyłam, jak stara Łabędzica dokładnie przeżuwa ciastko, uważnie ścierając haftowaną chusteczką kilka okruszków, które osiadły jej w kącikach ust. Po paru minutach powiedziałam, że muszę już iść, a kiedy sięgnęła po balkonik, dodałam, że nie musi mnie odprowadzać. A potem, w przypiływie zachwytu, pochyliłam się, odnalazłam jej policzek i ucałowałam go gorąco.

Co tak naprawdę wiemy o ludziach? – pomyślałam. Co my, do diabła, wiemy o kimkolwiek?

Zaledwie po tygodniu zajęć siedem moich dziewcząt wyłoniło się zza swych młodocianych garderób i tików, a ja zauważyłam, że budzą we mnie ciekawość. Ashley i Alice, dwie dziewczyny na A, przyjaźniły się. Obie bystre, czytały książki, nawet niektórych poetów, i rywalizowały w czasie warsztatów o moją uwagę. W przeciwieństwie jednak do Alice, Ashley cechowała pewność siebie. Alice była skryta. Kilka razy, pracując w klasie nad wierszem, w roztargnieniu dłubała w nosie. Ciągnęło ją do koturnowych wyobrażeń romantyzmu – bagien, łez szaleństwa i rozplamionych serc – co dowodziło jej zanurzenia w prozie sióstr Brontë, ale często brzmiało po prostu głupiutko, gdy odczytywała swoje dzieła emocjonalnym tonem, od którego jej krajanki aż skręcało z zażenowania. Mimo tej pretensjonalności, pisała gramatycznie i w sposób o wiele bardziej wyszukany niż pozostałe dziewczęta; stworzyła kilka wersów, które naprawdę mi się spodobały:

„Cisza to dobra sąsiadka” czy „Patrzyłam, jak moje chmurne ja odchodzi”. Ashley z kolei świetnie wyczuwała, co kupią inni. Cenila rymy i wpływy muzyki rap; robiła na koleżankach wrażenie zwinnością, z jaką łączyła wyrazy, dajmy na to, „kret” z „internet” czy „plater” z „nieszczery”. Ta dziewczyna miała fantastyczne wyczucie zasad panujących na warsztatach, a swoje rówieśniczki wspaniałomyślnie obdarzała dawkami pochwał, pocieszenia i delikatnej krytyki. Emma straciła nieco ze swej nieśmiałości, odgarnęła włosy z twarzy i ujawniła poczucie humoru:

– Nigdy nie umieszczaj w wierszu tęczy. Nigdy nie rymuj ty z ły, ale już jedliny i rzygowiny może być.

Po kilku zajęciach Peyton rozluźniła się do tego stopnia, że przystawiła sobie drugie krzesło, żeby ułożyć na nim swoje długie nogi. Ciało Peyton, podobnie jak Alice, nie nadażęło za innymi dziewczętami. Nie było żadnych oznak, że zaczęła w niej szaleć hormonalna burza dojrzewania; chociaż jestem pewna, że ją to smuciło, nie mogłam powstrzymać się od myśli, że opóźnienie w tej kwestii ma swoje zalety. W każdym razie tak odbierałam plamy z trawy na jej szortach i fakt, że do swoich wierszy nadal zapraszała konie, a nie chłopców. Jessie wyglądała już na młodą kobietkę, ale czułam, że toczy ze sobą wewnętrzną wojnę. Jej ciało musiało dojrzeć zbyt szybko. Pachnąca piżmem część jej osobowości powitała je z dumą, zaś druga kazała jej przywdziewać obszerne koszulki, żeby zamaskować obfity biust, który co tydzień zdawał się większy. Cokolwiek jeszcze znajdowało się wewnątrz Jessie, pozostało ukryte za komunałami. Skrajna głupota fraz w stylu: „Po prostu uwierz w siebie” czy „Nigdy się nie poddawaj” powracała bezustannie i wkrótce pojęłam, że nie były to wyrażenia płynące z lenistwa myślowego, lecz dogmatyczne dyktaty, których nie umiałaby wykorzenić bez walki. Po jej pierwszych wysiłkach, bacznie obserwując jej twarz, delikatnie zasugerowałam, żeby przemyślała dobór sformułowań.

– Ale to prawda – odparła monotonnym głosem.

Dałam za wygraną. Jakie to ma znaczenie? – zapytałam samą siebie. Zapewne potrzebowała tych sloganów, żeby móc zakończyć swoją wojnę. Nikki i Joan pozostały drużyną, chociaż zauważyłam, że

z tych dwóch to Nikki zajmowała pozycję dominującą. Pewnego dnia obie przybyły z kredowobiałymi twarzami, mocno umalowanymi oczami i czarną szminką na ustach; postanowiłam zignorować ten eksperyment. Dziwaczny makijaż, odpowiedni na Halloween, nie wpłynął mimo wszystko na ich zachowanie; dalej trajkotały jak najęte. Chichotały bez przerwy, ponadto czerpały ogromną przyjemność z wierszy o pierdzeniu, która zazwyczaj okazywała się zaraźliwa; ciepło powitały mój krótki wykład o nurcie skatologicznym w literaturze. Rabelais. Swift. Beckett.

Nie łudziłam się, że wiem, co dzieje się w życiu tej siódemki. Po zajęciach w dłoniach dziewczyn nagle pojawiały się telefony, a ja patrzyłam, jak ich kciuki prędko wystukują wiadomości; wyglądało na to, że połowa z nich przeznaczona jest dla znajomych po drugiej stronie sali. Po wtorkowej lekcji dostałam e-mail od Ashley.

*Droga Pani Fredricksen,
muszę Pani napisać, że warsztaty są super. Moja mama powiedziała, że mi się spodobają, ale jej nie uwierzyłam. Miała rację. Pani naprawdę różni się od innych nauczycieli, jak przyjaciółka. Nie, jak anioł. Dużo się uczę. Chyba musiałam to napisać. Poza tym ma Pani świetne włosy.*

*Pani oddana uczennica
Ashley*

I jeszcze jedna wiadomość, z adresu, którego nie znałam.

*Wiem o tobie wszystko. Jesteś Walnięta, Świruska, Wariatka.
Pan Nikt*

Poczułam się, jakby ktoś napluł mi w twarz. Przypomniałam sobie hasło Narodowego Sojuszu na rzecz Walki z Chorobami Psychicznymi na ścianie małej biblioteki oddziału szpitalnego: „Walczymy ze stygmatem choroby psychicznej”. Stigmatos, zaznaczony ostrym narzędziem, ślad rany. Dużo później, może w XV wieku, słowo to zaczęło oznaczać również symptomy zhańbienia. Rany Chrystusa, święci i histerycy broczący krwią z dłoni i stóp. Stygmaty. Zastanawiałam się,

kto chciałby mnie anonimowo podręczyć – i w jakim celu? Zapewne wielu ludzi wiedziało, że trafiłam do szpitala, ale nie mogłam sobie wyobrazić, kto chciałby przysłać mi takie słowa. Próbowałam sobie przypomnieć, czy podałam swój adres mailowy jakiejś innej pacjentce, na przykład Laurie, smutnej, najsmutniejszej Laurie, która powłóczyła nogami w kapciach, z pamiętnikiem przyciśniętym do piersi, wydając ciche, jękliwe dźwięki. To było możliwe, ale mało prawdopodobne.

Gdy leżałam w łóżku tamtej nocy, jak zwykle dręczona przez swoje demony – notka Stefana: „To zbyt trudne”, Przerwa w laboratorium podaje mi rękę i uśmiecha się, wspomnienie Borisa w łóżku i ciężar snu w jego ciele, potem jego zmęczona twarz, gdy oznajmia mi swoją decyzję, i Daisy, zalana łzami, dźwięk jej drżących oddechów i pociągnięcie nosem; lka, że jej ojciec opuszcza jej matkę, a ja myślę o namiętności mojego własnego nieprzeniknionego ojca do kogoś innego – powróciło do mnie słowo „wariatka”, a ja je odepchnęłam, a potem na ekranie moich zamkniętych powiek pojawił się na chwilę wyraz, który Ashley zapisała w wiadomości dużymi literami, anioł. Pomyślałam o niebiańskich gościach Blake’a, legendzie o nadprzyrodzonym darze Rilkego, pierwszych słowach Elegii duinejskich, a potem o Leonardzie, moim współlokatorze na Oddziale Południowym. Ogłosił się Prorokiem Niczego. Perorował, rozprawiał i najwyraźniej uwielbiał stentorowe tony swojego basowego głosu, grzmiącego do każdego, kto znalazł się w pobliżu. Nikt go jednak nie słuchał, ani pozostali pacjenci, ani personel. Nawet jego psychiatra, siedzący naprzeciwko niego w czasie sesji, którą podpatrzyłam przez jedno z ogromnych okien, wyglądał na zubożonego. Mnie mimo wszystko zainteresował, a jego górnolotne wypowiedzi wydawały się autentycznie błyskotliwe. Tego ranka, gdy miałam opuścić szpital, siedziałam z nim w pokoju spotkań. Z łysiejącą czaszką okoloną siwiejącymi kędziorami, które opadały mu aż poniżej ramion, Leonard idealnie pasował do roli. Odwrócił się do mnie i zaczął recytować swoje proroctwa. Mówił o Mistrzu Eckharcie jako posłańcu Niczego, który wpłynął na Schellinga, Hegla i Heideggera. Powiedział mi, że Kierkegaardowski lęk był zetknięciem z Niczym i że żyjemy w czasach urzeczywistnionej Nicości, co jest kluczowe i mistyczne.

– Byłoby dobrze – oznajmił, grożąc palcem wskazującym – gdybyśmy otworzyli się na prawdę, że Nic jest pierwotnym podglebiem tego świata.

Leonard mógł być szalony, ale jego umysł nie był nawet w połowie tak przyćmiony, jak to zakładały władze szpitala. W dalszej części swojej oracji wyjaśnił, że wszystko to ma związek z wyższymi poziomami buddyzmu, a kiedy wyszłam na spotkanie Daisy, która stanęła w drzwiach i czekała, żeby zabrać mnie do domu, przeszedł do Fausta Goethego, zstąpienia do królestwa Matek i zjednoczenia z Niczym, i to było ostatnie, co usłyszałam.

Samotny człowiek. Nie mógł być Panem Nikt, a może? Po opuszczeniu szpitala pożałowałam, że nie dałam mu jasno do zrozumienia, iż starałam się nadać przynajmniej za częścią podejmowanych przez niego kwestii, ale wtedy potrafiłam myśleć tylko o twarzy mojej córki. Tylko ona się liczyła.

Ona wspomina mnie,
chwiejną w pomieszczeniach
białych jak jajka.
Cięciwy tuneli –
te brutalne linie
czegoś, co zwano
sercem, już utraconym dla moich
zgorzkniałych ust.
„Płatanina”, powiedział.

Nie, supły.
Nie te czy tamte.
Była realna,
jak sędzę. Na półeczce.
Odstaw ją.
Martwy przedmiot.
Odstaw ją,
niech się chwieje.

Droga Mio – pisał Boris – cokolwiek działałoby się między nami, dla mnie bardzo ważne jest, żeby wiedzieć, jak się miewasz. Także przez wzgląd na Daisy musimy się komunikować. Proszę, odpowiedz, gdy otrzymasz tę wiadomość.

Jakież to wyważone, pomyślałam, co za sztywne sformułowanie: „komunikować się”. Chciałam rozszarpać coś zębami. Najwyraźniej się niepokoił. Widział mnie w dzień po przyjęciu do szpitala, kiedy mój stan był poważny, ulegałam urojeniom i halucynacjom, bouffée délirante, i byłam przekonana, że ukradnie mi mieszkanie i wyrzuci mnie na ulicę, że uknuł spisek z Przerwą i pozostałymi naukowcami z laboratorium, a kiedy usiedli z doktorem P. naprzeciwko mnie, jakiś głos powiedział:

– To oczywiste, że on cię nienawidzi. Wszyscy cię nienawidzą. Nie da się z tobą żyć.

A potem:

– Skończysz jak Stefan.

– Nie! – wrzasnęłam.

Sanitariusz mnie odciągnął i wstrzyknęli mi więcej Haldolu, a ja wiedziałam, że oni też są w to zamieszani.

Jego brat wraz z żoną. Słyszałam, jak powtarzają: „Biedny Boris”. Biedny Boris, otoczony wariatami. Pamiętam, że bełkotałam do Felicii, która przyszła posprzątać. Pamiętam, że zerwałam zasłonę prysznicową, próbowałam wytłumaczyć kwestię spisku, krzyczałam. Pamiętam to świetnie, ale teraz wydaje mi się, że byłam kimś innym, jakbym patrzyła na siebie z odległości. Wszystko to odeszło po przyjeździe Bei. Zdążyłam jednak przerazić Borisa, a na kolejne wizyty na oddziale nie chciano mu zezwolić, ponieważ spowodował moje „wzburzenie”. Długo wpatrywałam się w wiadomość, zanim odpisałam: „Już nie jestem szalona. Jestem zraniona”. Te słowa wydawały się prawdziwe, lecz kiedy próbowałam je rozwinąć, dalsze komentarze wydały mi się jedynie ozdobnikami. Cóż więcej miałam do zakomunikowania? I prawie nie byłam w stanie znieść ironii faktu, że Boris chce się komunikować.

„Nie chcę o tym rozmawiać”. „Budzę się. Pozwól mi dopić herbatę”. „Porozmawiamy później”. „Nie mogę o tym mówić”. Przerabialiśmy to tysiące razy. Ile razy wypowiadał te zdania?

Powtórzenia, powtórzenia, a nie identyczność. Nie da się niczego powtórzyć tak samo, nawet słów, ponieważ coś zmieniło się i w mówiącym, i w słuchaczu, ponieważ wypowiedane raz po raz powtórzenie samo w sobie odmienia słowa. Przemierzam w tę i z powrotem tę samą podłogę. Śpiewam tę samą piosenkę. Jestem poślubiona temu samemu mężczyźnie. Nie, tak naprawdę to nie. Ile razy odbierał w środku nocy telefony od Stefana? Całe lata telefonów, ratunków, lekarzy i traktat, który miał zmienić filozofię na zawsze. A potem milczenie. Dziesięć lat bez Stefana. W chwili śmierci miał czterdzieści siedem lat. Boris był o pięć lat starszy i raz, jeden jedyny raz, starszy brat wyszeptał do mnie po dwóch szkockich, że najgorsza w tym wszystkim była ulga, że samobójstwo jego ukochanego brata wywołało w nim także ulgę. A potem, kiedy zmarła jego matka – ekstrawagancka, skomplikowana, rozczulająca się nad sobą Dora – został tylko Boris. Ojciec zmarł nagle na serce, gdy chłopcy byli jeszcze mali. Boris nie rozpaczał ostentacyjnie. Zamiast tego oddalił się. Jak to powiedział mój ojciec? „Nie mogę. Nie mogę”. Pragnęłam odnaleźć obu tych mężczyzn, czyż nie? Mojego ojca i mojego męża, obu skłonnych do długich dyskusji o deliktach lub genach, a tak uparcie milczących o swoim cierpieniu.

– Twój ojciec i twój mąż mieli kilka cech wspólnych – powiedziała doktor S.

Czas przeszły: mieli. Spojrzałam na wiadomość. „Jestem zraniona”. Boris też był zraniony. „Kocham Cię. Mia”, dopisałam.

William Shakespeare, *Sonety*, przeł. Maciej Słomczyński, Kraków 1997, s. 135.

Aim (ang.) – cel, celować.

* * *

Pamiętnik seksualny nie przynosił mi ulgi, na którą miałam nadzieję. Opisy moich wczesnych, sekretnych wypraw masturbacyjnych na górę, która nagle okazała się czymś, na co trzeba się wspiąć; pocałunki z języczkiem z M.B., po których rano bolały mnie usta, ponieważ ani ja, ani wymieniony młodzieniec nie mieliśmy odwagi zapuścić się na terytoria położone dalej na południe; późniejsze śmiałe poczynania J.Q., który wdzierał się pod biustonosze i do dzinsów, nie ustając w wysiłkach mimo – z czasem wprawdzie słabnącego – oporu kolonialnego, wypełniły mnie trudnym do zignorowania poczuciem trywialności. Kogo to obchodzi? – myślałam. Czemu jednak dojrzała kobieta spoglądała wstecz, na dziewczynę, z takim chłodem, z takim brakiem sympatii? Dlaczego starzejąca się osobowość przyjmowała oczekiwania z ironią? Czyż nie wzdychałam, nie zмагаłam się, nie tęskniłam, nie łkałam? Czyż nie straciłam dziewictwa rozemocjonowana, lecz i zdezorientowana, nadal, mimo przygód z M.B. i J.Q., nieświadoma, jak dokładnie to wszystko działa? Pamiętam drewniane schody wiodące na piętro, skotłowane prześcieradła i koce, ale żadnych kolorów ani szczegółów. Tylko przyćmione światło wpadające przez okno; gałęzie drzewa poruszały się na zewnątrz, a światło wędrowało wraz z nimi. Trochę bólu, ale żadnej krwi i brak orgazmu.

Druga wiadomość była prosta:

Pomyłona.

Pan Ktoś

Chociaż było to niepokojące, postanowiłam się nie martwić. Te listy miały w sobie coś infantylnego, poza tym jak mogły mi tak naprawdę zaszkodzić? Jeżeli nie będę odpowiadać, to nadawca zmęczy się i zniknie z powrotem w mgławicy, z której się wyłonił. Nie był groźniejszy niż obecność za drzwiami – nic poza odczuwalną nieobecnością.

Od czasu do czasu sąsiedzi po lewej, rodzice maleńkiej Harpo, która pojawiła się na moim skrawku trawnika, głośno się kłócili. Treści tych sporów zazwyczaj nie dawało się zrozumieć. Do moich włości docierał gniew: jej krzyk, który zmieniał rejestr, gdy załamywał się i przechodził w szloch, i jego gromki tenor – oba przerywane okazjonalnymi łomotami. Te łoskoty mnie przerażały; wpatrywałam się wtedy uważnie w dom i jego mieszkańców. Byli młodą, różową, pulchną parą. Jego widywałam rzadko. Rankami wyjeżdżał toyotą do jakiejś pracy i czasami nie było go przez kilka dni; młody mężczyzna, który musiał jeździć służbowo tu i tam. Młoda kobieta zostawała w domu z bratem Marx i niemowlęciem, które nie mogło mieć więcej niż półtora miesiąca – człowieczkiem bezwładnym, olśnionym bodźcami wizualnymi, ssącym pierś, wymachującym rączką i stopą, chrząkającym w tej rozgrymaszonej fazie życia. Jakże kochałam ten etap na drodze stawania się mojej Daisy. Pewnego popołudnia, gdy siedziałam na zewnątrz, na rozchwierutanymszezlongu, który stał się moim miejscem do czytania, przez prześwit w zaroślach dostrzegłam matkę. Trzymała w ramionach wiercące się, krzyczące niemowlę i pochylając się nad trzylatką w peruce, pograżyła się w zażartych, raczej niekontrolowanych negocjacjach na temat sztucznej czupryny:

– Nie możesz nosić tego cały czas. Głowa na pewno ci się poci. A co z twoimi własnymi włosami? Już prawie nie pamiętam, jak wyglądają.

– Wcale się nie poci! Wcale się nie poci!

Odłożyłam egzemplarz Powtórzenia, które czytałam po raz szósty, i podeszłam kilka metrów, żeby zaoferować pomoc.

Moja interwencja sprawiła, że straszna peruka pozostała na młodej główce. Matka miała na imię Lola, Harpo w rzeczywistości nazywała się Flora, a osobnikiem w pieluszce okazał się Simon, z którym przeprowadziłam niezwykle satysfakcjonującą rozmowę złożoną z gruchania, kiwania głową i uśmiechów. Nasza czwórka wylądowała ostatecznie w ogródku profesorostwa, ze szklankami lemoniady; dowiedziałam się, że Lola specjalizuje się w sztukach pięknych w Swedenborg College i wytwarza biżuterię na sprzedaż, a jej mąż Pete pracuje w firmie w Minneapolis, która stale obcina etaty, co Lola uważa

za „trochę przerażające”, faktycznie dużo podróżuje, a Lola jest zmęczona. Nie powiedziała, że jest zmęczona, ale wyczerpanie wyraźnie malowało się na jej delikatnej, okrągłej, dwudziestosześcioletniej twarzy. Kiedy tak razem siedziałyśmy, z łatwością i zjawstwem zajmowała się Simonem i odpierała powodowane fałszywą troską ataki Flory, które groziły odseparowaniem ust synka od jej sutka. Próbowałam odwrócić uwagę Flory, zadając jej pytania. Początkowo nie chciała odpowiadać. Mówiłam do jej pleców i peruki, lecz po namowach i kilku pytaniach zmieniła taktykę i przydzieliła mi rolę widza jej pełnego paplaniny, śpiewu i tańca spektaklu.

– Patrz na moje stopy! Zobacz, jak skaczę! Simon nie umie skakać. Zobacz, mam. Patrz na mnie! Patrz, mam!

Lola patrzyła z bladym uśmiechem, a oczka jej łysego niemowlęcia otwierały się i zamykały, otwierały i zamykały, drążące rączki sięgały w pustkę, aż w końcu dziecko zapadło w sen przy jej piersi.

Boris odpisał:

Dziękuję, że odpowiedziałaś, Mio. W lipcu mam konferencję w Sydney. Będę Cię o wszystkim informował.

Boris

Żadnej miłości w odpowiedzi na moją miłość. Wywnioskowałam, że ma nadzieję przesunąć nasze relacje na cywilizowaną, lecz chłodną płaszczyznę dla dobra wspólnej ukochanej potomkini, a ja wyobraziłam sobie przelotnie, jak wpadam do laboratorium między niego i Przerwę i miotam się od klatki do klatki. Mia, Furia odwiecznego gniewu, uwalnia wszystkie udręczone szczury z więzienia i patrzy ze złośliwą satysfakcją na ich mlecznobiałe ciała przemykające po podłodze.

Rozpoczął się drugi tydzień warsztatów; kiedy nasza ósemka zasiadała wokół stołu, żeby pisać i rozmawiać, zaczęłam wyczuwać między dziewczętami niewidzialne emocje, które mnie zaniepokoiły. Wiedziałam, że ich prawdziwa siła ujawnia się przed zajęciami i po nich, podczas godzin ich życia, które nie miały ze mną nic wspólnego, że ich

dynamika jest częścią nieodzownej tajemniczości i sojuszy wczesnego okresu dojrzewania. Wymieniały między sobą spojrzenia i ledwo dostrzegalne skinięcia głową; czasami wydawało mi się, że oglądam sztukę, która rozgrywa się za matowym ekranem. Urywki ich rozmów, które do mnie docierały, były stereotypowe do bólu: żarciki naszpikowane słówkami „jaki” i „jejku”, stosowanymi przede wszystkim do zasygnalizowania akceptacji lub sprzeciwu.

- Jejku, ale po co? Jakie to debile.
- No, a nie? Boże, wiesz, jaki to kwas?
- Widziałas brata Frannie? Jejku, jak on mnie kręci!
- Nie, głupia, on ma piętnaście lat, nie szesnaście.
- Widziałas jej torbę? Jejku, jaka beznadzieja.
- Nazwałaś mnie lesbijką! To chore. O Boże.

Często słuchając mimowolnie ich rozmów na kilka minut przed rozpoczęciem warsztatów i po ich zakończeniu, doznawałam uczucia, że język dziewcząt jest wymienny, absolutnie wyprany z indywidualności, że jest mową stada, którą wszystkie przyjęły; wyjątek stanowiła Alice, w jej wypowiedziach nie załęgło się aż tyle „jakich” i „jejku”, ale nawet ona weszła w przedziwny, dumny dialekt Wczesnej Kobiety. Kiedy jednak wszystkie dziewczynki usiadły, nagle każda odróżniała się od reszty, jakby czar prysł i mogła mówić we własnym imieniu. Stopniowo odsłaniały przede mną fragmenty swoich historii rodzinnych, a ja zaczynałam patrzeć na nie inaczej. Odkryłam, że Ashley ma czworo rodzeństwa, a jej rodzice rozwiedli się, gdy miała trzy lata, że młodsza siostra Emmy cierpi na dystrofię mięśni, a ojciec Peyton mieszka w Kalifornii. Miała odwiedzić go pod koniec sierpnia, jak każdego lata. To on hodował konie. Alice była w Bonden zaledwie od dwóch lat. Przedtem mieszkała w Chicago, a jej ciągle wzmianki o tej utraconej metropolii nieodmiennie wywoływały wśród pozostałych epidemię znaczących spojrzeń. Joan i Nikki zaprzyjaźniły się mocno w trzeciej klasie. Rodzice Jessiki byli zagorzałymi wyznawcami jakiegoś odłamu chrześcijaństwa, być może któregoś z nowszych nurtów, mieszających uproszczoną psychologię z religią, ale nie byłam tego pewna.

Żeby dostać się do ich wewnętrznych światów, które wydawały mi się równie realne, jak ich historie, zaczęłyśmy pracować nad wierszami

o „sekretnym ja”. Opowiedziałam o rozziwieniu między postrzeganiem z zewnątrz a naszym własnym poczuciem wewnętrznej rzeczywistości, o nieporozumieniach, które mogą czasami kształtować nasze relacje z innymi ludźmi, o tym, że większość nas ma poczucie istnienia ukrytego ja, że ja społeczne różni się od ja indywidualnego, i tak dalej. Podkreśliłam, że nie chodzi o „Prawdę czy wyzwanie”, grę, którą pamiętałam z własnej młodości, ani też o ćwiczenie się w spowiedzi czy zdradzaniu tajemnic, które chcemy zatrzymać dla siebie. Zaproponowałam skonstrastowanie dwóch fraz: „Myślicie, że jestem...” i „A ja w rzeczywistości...”. Dyskutowaliśmy o metaforach, możliwości użycia zwierzęcia lub obiektu zamiast przymiotnika.

Pochwaliłam wersy Joan.

Myślicie: jaka nijaka i głupia dziewczuszka,
a ja w środku jestem jak ognista czuszka.

Emma porównała swoje wewnętrzne ja do błota, lecz to Peyton stworzyła zdumiewający obraz. Napisała, że w środku jest „odłupanym fragmentem drzwi, który wygląda jak wyspa na mapie”. Gdy Peyton odczytywała te słowa, na jej szczupłej, wąskiej twarzy odmalowały się melancholia i napięcie. Zawahała się, a potem wyjaśniła. Powiedziała nam, że pewnego wieczoru, kiedy miała osiem lat i leżała już w łóżku, jej rodzice okropnie się pokłócili. Ojciec wyszedł wściekły z domu i trzasnął drzwiami tak mocno, że odpadł z nich kawałek drewna. Następnego ranka Peyton znalazła ten fragment i zachowała go. Przez kilka sekund milczaliśmy. Potem powiedziałam, że czasami drobna rzecz, nawet jakiś śmieć, może stać się symbolem całego świata uczuć.

– Potem już nic nie było takie samo – dodała cichutko.

Kiedy po zajęciach skierowałam się ku otwartym drzwiom, zauważyłam, że Ashley i Alice stoją na schodach przed budynkiem, pogrążone w rozmowie. Widziałam, że Alice kiwa głową i uśmiecha się, a następnie podaje koleżance książkę albo notatnik. Potem Ashley odsunęła się na bok i zaczęła jak szalona wystukiwać wiadomość na klawiaturze telefonu. Kiedy ją mijałam, podniosła głowę i uśmiechnęła się do mnie.

- Naprawdę świetne warsztaty.
- Dzięki, Ashley – odparłam.

Tamtej nocy, gdy leżałam w łóżku, nad miasteczkiem przetoczyła się czerwcową nawałnica; rozlegały się donośne grzmoty, przypominające serie wybuchów, głośnie huki mieszały się z odbijanymi przez echo, potężnymi łoskotami, rozbrzmiewającymi nade mną. Zaraz potem dał się słyszeć nagłący dźwięk dużych, ciężkich kropli deszczu. Wspomniałam porywiste wiatry z mojego dzieciństwa, wspomniałam sobie wstawanie o poranku i widok gałęzi rozrzuconych po całej ulicy. Pamiętam czarowny bezruch, który poprzedzał nadejście tornada lub burzy, jakby cała ziemia wstrzymała oddech, i zabarwione przedziwną zielenią niebo. Pamiętam bezmiar świata.

Doktor S. powiedziała:

- Twój głos brzmi, jakbyś się dobrze bawiła.

Byłam zszokowana. Jak mogłabym się bawić? Kobieta, którą opuścił mąż, która dostała bzika, choćby i „przejściowo”; jak ona mogłaby się bawić?

– Chyba trafiłaś we właściwą strunę ze swoimi młodymi poetkami.
– Usłyszałam dźwięk wydawany przez strunę gitary – metafory często tak na mnie działają, nawet te najbardziej wyświechtane. – Wydaje mi się, że lubisz przebywać ze swoją matką. Abigail robi wrażenie interesującej osoby. Poznałaś sąsiadów. Dobrze ci się pisze. Odpowiedziałaś na e-mail od Borisa. – Przerwała na chwilę. – Słyszę to w twoim głosie.

Poczułam w sobie opór i wydałam dźwięk świadczący o lekceważeniu.

Doktor S. czekała.

Pomyślałam: Czy ona może mieć rację? Przyczepiłam się do idei niedoli, a potajemnie dobrze się bawię? Sekretne przyjemności. Nieuświadomiona wiedza. Była sobie mała dziewczynka z maleńkim loczkiem na samym środku czoła. Bywała bardzo, bardzo grzeczna...

- Może to i racja.

Słyszałam, jak oddycha.

- Ostatniej nocy była burza – powiedziałam. – Gwałtowna.

Podobała mi się. – Odchodziłam od tematu, ale to było dobre, luźne skojarzenie. – Jakbym słuchała własnej wściekłości, ale takiej z prawdziwą siłą, przemożnej, męskiej, boskiej, apodyktycznej, ojcowskich łomotów w niebiosach, takiej dzikiej wściekłości, od której sługusy aż podskakują, barytonowego ryku, który wstrząsa niebem. Prawie czułam, jak miasteczko się porusza.

– Myślisz, że gdyby twój gniew miał siłę, ojcowską moc, mogłabyś kształtować rzeczy w swoim życiu bardziej pod swój gust. O to ci chodzi?

Czy o to mi chodziło?

– Nie wiem.

– A może czułaś, że emocje twojego ojca rządziły rodziną, miały władzę nad twoją matką, twoją siostrą i nad tobą, zawsze pochylałaś się nad jego uczuciami, starałaś się go nie martwić. W swoim małżeństwie czułaś to samo, może odtwarzałaś tę samą historię i robiłaś się coraz bardziej wściekła?

Dobry Boże, ta kobieta jest naprawdę przenikliwa, pomyślałam.

– Tak – odpowiedziałam krótko i potulnie.

Próba kolejnego opisu seksualnego:

Zaczęło się od Kanta w bibliotece. Biblioteki są fabrykami fantazji erotycznych. Wywołuje je rozleniwienie. Ciało musi znaleźć właściwą pozycję – skrzyżowane nogi, oparta dłoń, wyprostowane plecy – ale ciało donikąd nie zmierza. Wywołuje je czytanie i podnoszenie oczu znad lektury; umysł odrywa się od książki i podkrada się do uda lub łokcia, prawdziwego albo wyobrażonego. Wywołuje je mrok regałów ze swoją obietnicą ukrytego. Wywołuje je sucha woń papieru i opraw, a wielce prawdopodobne, że i zapach starego kleju. To nie był trudny Kant – *Krytyka praktycznego rozumu* – znacznie łatwiejszy od *Czystego rozumu*, ale miałam dwadzieścia lat, *Praktyczny rozum* był jednak dość ciężki, a on pochylił się nade mną, żeby zobaczyć, co to za książka. Jego ciepły oddech, zarost, bardzo blisko. Profesor B. w białej koszuli, jego ramię oddalone od mojego o cal. Cała zeszywniałam i nie powiedziałam ani słowa. Potem zaczął czytać niskim głosem, ale zapamiętałam tylko

jeden wyraz: „nauczanie”. Wypowiedział je powoli, podkreślając każdą sylabę, i już mnie miał. Jak to mawiają, kimkolwiek by byli, skończyło się źle, lecz jego oczy patrzące, jak się rozbieram – „Nie, najpierw bluzka. Teraz spódnica. Powoli” – jego długie palce rozgarniające moje włosy łonowe, a potem wycofujące się, drażnienie, uśmiechy, doprowadzanie do desperacji – te rozpustne przyjemności w bibliotece po jej zamknięciu są bezpieczne w mojej pamięci.

– George nie żyje – powiedziała matka i na chwilę przycisnęła palec wskazujący do warg. – Znaleźli ją dziś rano na podłodze w łazience.

– Biedna George – dodała Regina. Zasznurowała usta. – Wątpię, żebym dociągnęła do stu dwóch lat, to naprawdę niezwykle, jak to rozważyć, nawet przez moment.

Czy da się rozważyć przez moment?

– Nie z moją nogą – mówiła dalej. – W życiu nie słyszałam o takiej chorobie, wiesz. Lekarz powiedział mi, że jeżeli nie będę uważać, to pewnego dnia to idzie do mózgu, płuc czy gdzie tam jeszcze i człowiek pada trupem, natychmiast. – Jej oczy były wilgotne. – Jeśli zapomnę wziąć warfarynę, to, no cóż, już po mnie.

– Uwielbiała mówić ludziom, ile ma lat. – Abigail zachowywała równowagę zgarbionego ciała, trzymając jedną dłoń na krawędzi stołu. Odwróciła głowę w moją stronę. – Nigdy nie miała dość. Jej najstarsza córka ma siedemdziesiąt dziewięć lat. – Wciągnęła powietrze. – Wygląda na to, że codziennie ktoś odchodzi. W jednej chwili żywy. W następnej już martwy.

Peg przyglądała się swoim opartym na stole rękoma. Były całe w plamach, pokrywała je wyraźna sieć wypukłych żył.

– Jest ze swoim Stwórcą. – W głosie Peg słychać było prawdziwy ptasi zaśpiew, jakby gardłowe gruchanie gołębia. – I z Alvinem – dodała.

– Jeżeli w niebie go nie odmieniło, to niech Bóg ją uchroni od Alvina – powiedziała z mocą Abigail. – Najbardziej pedantyczny mały tyran, z jakim kiedykolwiek miałam do czynienia. Długopisy musiały leżeć dokładnie tak, w calowych odstępach, kołnierzyki miały być wyprasowane na blachę, płasko jak deska. A łóżko, dobry Boże, to łóżko

i jego brzegi. George miała szczęście, że się od niego uwolniła. Dwadzieścia siedem błogosławionych lat bez tego łysego, wstrętnego małego despoty.

– Abigail, nie powinno się tak mówić o zmarłych – oznajmiła Peg słodko śpiewnym głosem.

Abigail jej nie słuchała. Pod stołem wciskała mi w rękę kawałek papieru. Zamknęłam go w dłoni i wetknęłam do kieszeni.

Matka potrząsnęła głową.

– Ale też nigdy nie uważałam, że po śmierci powinno się zmieniać ludzi we wzory cnót.

Wymruczałam poparcie.

– Nie ma nic złego w skupieniu się na pozytywach. – Przy ostatnim słowie głos Peg podniósł się o całą oktawę. Uśmiechnęła się.

– Ależ skąd – odparła Regina ze swoim dziwacznym akcentem. – Z tą moją nogą muszę myśleć pozytywnie i być optymistką. Cóż mi pozostało? Jak to wybuchnie, pójdzie prosto do mózgu albo serca, padnę trupem w jednej chwili.

Siedziałyśmy w świetlicy, wokół stolika do brydza. Letnie słońce zaglądało przez okno; wyjrzałam przez nie i zobaczyłam chmury, jedna z nich dryfowała ku górze niczym kóleczo z dymu papierosowego. Słyszałam odgłos pracy suszarki do ubrań dobiegający gdzieś z korytarza i niski dźwięk skutera, nic więcej.

Cztery Łabędzice.

Mio,

chcę Ci pokazać więcej. Czy czwartek będzie odpowiedni?

Twoja

Abigail

Każde słowo składało się z drżącej plątaniny starannie nagryzmoonych liter. Przypomniałam sobie, co kiedyś powiedziała moja matka:

– Starzenie się jest w porządku. Jedyne kłopot z nim jest taki, że twoje ciało się rozpada.

Mój anonimowy dręczyciel napisał:

Twoje wiersze są powalone. Nikt ich nie rozumie. Nikt nie życzy sobie takiego pokręconego gówna. Za kogo ty się masz?!

Pan Nikt

Przeczytałam wiadomość kilkakrotnie. Im dłużej się w nią wczytywałam, tym bardziej osobliwa mi się wydawała. Powtarzanie słowa „Nikt”, a potem dodanie pseudonimu „Nikt” brzmiało tak, jakby to właśnie on, Nikt, nie rozumiał i nie chciał „pokręconego gówna”. „Za kogo ty się masz?”. To kolejne ważne w tej sprawie pytanie. Pomieszane znaczenia. Było mało prawdopodobne, żeby widmo ironizowało, pozwalało sobie na wyrafinowany żart o novis dictum „przystępnej” poezji czy bawiło się słowami „pokręcone gówno” i „powalony”. Chyba że to wypuszczony z Oddziału Południowego Leonard niepokoił mnie z jakichś niedorzecznych przyczyn. To prawda, że całymi latami harowałam, z rzadka pożądana czy rozumiana, że moja izolacja stawała się coraz boleśniejsza, że katowałam Borisa diatrybami na temat naszej płytkiej, zubożonej, napastliwej wobec intelektualizmu kultury, która składa hołdy mierności i pogardza swoimi poetami. Gdzie w Nowym Jorku znajduje się ulica Whitmana? Utyskiwałam na poetów piszących dla zmniejszającej się grupki Amerykanów o niewyszukanych gustach, którym chciało się rzucić okiem na marny wers czy dwa w „New Yorkerze”; zadowalali się faktem, że właśnie zakosztowali odrobiny „wyrafinowanej” poezji czy satyry na temat trawników, starych czasomierzy lub wina, bo przecież to w końcu było w czasopiśmie. Poczucie odrzucenia narasta, pływa w żołądku niczym poczerniała żółć, wypluwana w postaci elaboratów, czczych peror rudowłosej pani poetki, wymierzonych w nieuków, swoich chłopów i twórców kultury, którzy jej nie docenili. Biedny Boris żył z jej/moimi wrzaskliwymi lamentami; Boris, dla którego wszelkie konflikty były przekleństwem, mężczyzna, dla którego podniesiony głos, płomienny okrzyk były jak ocieranie duszy papierem ściernym. Za odrzuceniem podąża paranoja. Czyż nie reagowałam paranoicznie podczas mojego całkowitego obłądu klinicznego? „Oni” knuli przeciwko mnie. A teraz te słowa na ekranie, słowa Nikogo, zajęły miejsce oskarżycielskich głosów w mojej głowie. Wszyscy cię nienawidzą. Jesteś niczym. Nic dziwnego, że cię zostawił.

Jakby Pan Nikt pojmował, jakby wiedział, gdzie uderzyć. Pomyślałam o George, leżącej tego poranka bez życia na podłodze łazienki, i nagle przyszłość objawiła mi się bezkresna i jałowa; i wątpliwość, ta stała deformująca obawa – że moje wiersze są gównem, odpadkami, że czytanie nie prowadzi mnie do wiedzy, lecz w nieprzeniknioną nicość, że to przeze mnie, a nie przez Borisa, pojawiła się Przerwa, że moje prawdziwie wielkie dzieło, Daisy, jest poza mną – wydała mi się całkowicie rzeczywista. Obecnie byłam w okresie przekwitania, porzucona, osamotniona i zapomniana; nic mi nie zostało. Złożyłam głowę na biurku, pomyślałam z goryczą, że nawet nie jest moje, i zapłakałam.

Po kilku minutach rozpaczliwego łkania poczułam na ramieniu czyjś ciepły oddech i aż się wzdrygnęłam. Flora z Żyrafką stały bardzo blisko mnie. Oczy dziecka zrobiły się okrągłe od bacznej obserwacji. Kosmyk jej własnych jasnobrązowych włosów wymknął się spod peruki, a skórę wokół ust upstrzyła jakaś nieznana różowa substancja. Popatrzyłyśmy na siebie. Żadna z nas nic nie powiedziała, czułam jednak, że obserwuje mnie chłodnym okiem naukowca, może zoologa. Jej poważne spojrzenie przetrawiało zwierzę jako całość, rozważało jego zachowanie, a potem, nadal bez słowa, dziewczynka zadziałała. Podniosła Żyrafkę i wyciągnęła ją w moją stronę. Intencje stojące za tym gestem nie były wcale oczywiste, więc zamiast ją przyjąć, otarłam oczy wierzchem dłoni i poklepałam przybrudzone stworzenie po łebku.

Chwilę później usłyszałam, jak Lola głośno i ponagląco woła córkę; wzięłam Florę za rękę, co przyjęła łatwo i naturalnie, i przeszłam z nią do drugiego pokoju, żeby przywitać się z Lolą i Simonem (w nosidełku) przez otwarte drzwi siatkowe. Widziałam, że Lola przyjrzała się mojej twarzy; nie mam pojęcia, jak wyglądała – zapewne jak czerwono-szara papka z łez i tuszu do rzęs – ale jej brew zmarszczyła się na ułamek sekundy w wyrazie współczucia. Młoda matka wyglądała w tym momencie nieporządnie, niemal niechlujnie; miała na sobie dżinsowe spodnie i różową bluzkę na ramiączkach, a z uszu zwisały jej kolczyki własnego wyrobu, dwie złote klatki dla ptaków. Utlenione włosy ściągnęła do tyłu, zauważyłam, że na nosie ma lekkie oparzenie słoneczne. Zapamiętałam te szczegóły, ponieważ nagle zrozumiałam, jak

bardzo cieszę się, że ją widzę, i to uczucie utrwaliło detale naszego spotkania. Było mniej więcej wpół do ósmej wieczorem. Pete znowu wyjechał, a ona starała się położyć dzieci, potem zaś, oznajmiła z szerokim uśmiechem, miała zamiar otworzyć butelkę wina i zjeść quiche, który przyrządziła tego dnia, i bardzo chciałyby, żebym do niej dołączyła; zgodziłam się z entuzjazmem, który zakłopotałby mnie w prawie każdej innej sytuacji, ale w tym przypadku wydawał się całkowicie „normalny”. Moja matka była w klubie książki, gdzie przy desce serów dyskutowała o Emmie Jane Austen, nie miałam też żadnych innych zobowiązań.

Tego wieczoru wspólnie stawiliśmy czoło podwójnemu rytuałowi usypiania dzieci. Z mojej strony wiązał się on ze skomplikowaną strategią kołysania, tulenia i sporadycznego potrząsania dopiero co nakarmionego Simona, który, jak się zdawało, cierpiał na kolkę. Mały poczerwieniały człowieczek wił się od dolegliwości, ułał mleko na moje ramię, a następnie, prężąc się z całych sił, zwycięsko wydalil kremowożółtą kupę; radośnie usunęłam pieluszkę, oglądając jego maleńkiego, uroczonego penisa i zaskakująco wydatne jądra, po czym otuliłam mu pupkę pieluchą, znalazłam fotel bujany, na którym się umościliśmy, aż wreszcie kołysaniem i śpiewem odesłałam najmłodszego członka rodziny w objęcia, a raczej na kolana Morfeusza. W tym samym czasie Lola prowadziła podobne zmagania z paplającą, jeszcze nie czteroletnią, rozszalałą Florą, która marudziła, kręciła i targowała się na swojej drodze ku temu, co sir Thomas Browne nazwał niegdyś „Bratem Śmierci”. Jakże mężnie opierała się utracie przytomności, stosując wszystkie możliwe wybiegi: opowieści na dobranoc, szklanki wody i jeszcze tylko jedna piosenka, aż w końcu ją także wyczerpały trudy walki; osłabła, knykciec jej zgiętego palca wskazującego powędrował do ust, druga ręka zwiesiła się luźno z kapy, na której wyobrażono ogromnego fioletowego dinozaura, zaś Żyrafka i jej towarzyszka, tleniona bestia zdjęta ukradkiem z głowy uspięonej wojowniczkii, czuwały wespół na szafce nocnej.

Zjadłyśmy z Lolą quiche i przez następne kilka godzin powoli się zalewałyśmy. Lola leżała na kanapie, światło odbijało się w klatkach dla ptaków, wyciągnęła przed siebie opalone pulchne nogi. Od czasu do

czasu poruszała nagimi stopami o brudnawych piętach, jakby przypominała samej sobie, że są nadal przytwierdzone do jej kostek. Koło jedenastej dowiedziałam się, że Pete stanowi problem, „choć go kocham”. Poinformowałam Lolę o fiasku mojego małżeństwa i z naszych nosów spłynęło kilka łez. Potem także śmiałyśmy się z naszych Problemów, rechotałyśmy głośno z ich wspólnej skłonności do wonnych skarpetek, które sztywniały od jakiejś nieznanej męskiej wydzieliny, szczególnie zimą. Dziewczyna miała wspaniały śmiech, gromki i zaskakujący, wydobywający się jakby z miejsca poniżej płuc, i bezpośredni sposób mówienia, który mnie oczarował. Nie dla tej córki Minnesoty zawołany dyskurs Kierkegaardowskiej ironii.

– Chciałabym wiedzieć to, co ty – oznajmiła w pewnej chwili. – Powinnam była więcej się uczyć. Teraz, przy dwojgu dzieciach, nie mam czasu.

W odpowiedzi wymamrotałam jakiś frazes, ale tak naprawdę treść naszej rozmowy miała tamtej nocy niewielkie znaczenie. Liczył się sojusz, który zawarłyśmy, poczucie koleżeństwa, na którego trwanie obie miałyśmy nadzieję. Wieczór zdominowało to, co niewypowiedziane. Na pożegnanie przytuliłyśmy się, a ja, w przypiływie czułości wzmocnionej alkoholem, objęłam jej okrągłą twarz dłońmi i serdecznie podziękowałam jej za wszystko.

Przemijalność ludzkich uczuć to czysta niedorzeczność. Przez moją nieustanną zmienność w ciągu jednego wieczoru poczułam się tak, jakby mój charakter ulepiono z gumy do żucia. Zapadłam się w paskudną głębię rozczulania się nad sobą, dziedzinę położoną tuż ponad jeszcze okropniejszymi nizinami rozpacz. Już wkrótce jednak ja, cymbał, którego uwagę tak łatwo rozproszyć, znalazłam się na wyżynach uczuć macierzyńskich; praktycznie omdlewałam z radości, pielęgnując i pieszcząc pożyczonego od sąsiadki homunkulusa. Dobrze zjadłam, wypiłam za dużo wina i objęłam młodą kobietę, której prawie nie znałam. Jednym słowem, świetnie się bawiłam i miałam silne postanowienie, że zrobię to ponownie.

Może w ogóle cię nie zdziwi, że nasze mózgi wcale tak bardzo nie różnią się od mózgów naszych kuzynów ssaków, czyli szczurów. Mój własny szczurzy mąż spędził życie na bronieniu w obrębie gatunku swojego podkorowego pierwotnego afektywnego ja, zwiastującego wspólne nam obszary mózgu i procesów neurochemicznych. Dopiero w późniejszych latach zaczął łączyć ten kluczowy punkt z zagadką wyższych poziomów refleksji, naśladownictwa i samoświadomości – u małp, delfinów, słoni, istot ludzkich, a także (ostatnio) u gołębi – i publikować artykuły na temat różnorodnych systemów tajemniczej rzeczy, którą nazywamy osobowością, wzbogacając swoje pojmowanie fenomenologią, klarownymi cytatami z Merleau-Ponty’ego i nieco mętniejszymi z Edmunda Husserla – dzięki wsparciu swojej żony, która prowadziła go przez filozofię krok po kroku, w razie potrzeby uciekając się do Hegla, Kanta i Hume’a (choć ze staruszka mają mniej pożytku, jego interesuje ucieleśnienie, tak, Leib, schéma corporel), i czytała każde słowo, skrupulatnie i drobiazgowo poprawiając błędy i wygładzając tekst. O nie, jęczysz, tylko nie ona, ta drobna postać o rudych lokach i nadobnej piersi! Tylko nie pani poetka! Tak, tak właśnie było, mówię zupełnie poważnie. Wielki Boris Izcovich wielokrotnie polował na pomysły w mózgu swojej żony, a nawet uznawał jej wkład. No więc? Więc? – pytasz. W takim razie, co jest nie w porządku? Nic nie jest w porządku, ponieważ oni mu nie wierzą. To on jest Królem Filozofem i Panem Szczurzej Nauki. Zresztą, drogi czytelniku, sam powiedz, jak wielu mężczyzn dziękuje swoim żonom za tę czy inną przysługę, i to zazwyczaj na samym końcu długiej listy uczelni i fundacji? „Ta książka nigdy by nie powstała bez nieocenionego wsparcia i niesłabnącej cierpliwości Pchełki, mojej żony, oraz moich dzieci, Krzysia i Zdzisia”.

Ta książka nigdy by nie powstała bez kory przedczołowej mojej żony, Mii Fredricksen.

– Ten okres to już przeszłość – powiedziała matka, gdy zapytałam ją o mężczyzn w jej życiu. – Nie chcę już opiekować się żadnym mężczyzną.

Kiedy wypowiadała te słowa, stałam za nią i masowałam jej plecy;

widziałam tylko linię jej równo podciętych siwych włosów.

– Tęsknię za twoim ojcem – dodała. – Brakuje mi naszej przyjaźni, naszych rozmów. W sumie można z nim było pogadać na różne tematy, ale nie, nie widziałabym żadnych korzyści ze związku z kimś nowym. Wdowcy żenią się ponownie, ponieważ to ułatwia im życie. Wdowy rzadko wychodzą za mąż, ponieważ to im życie utrudnia. Regina jest wyjątkiem. Podejrzewam, że potrzebuje zainteresowania. Flirtuje ze wszystkimi.

Delikatnie masowałam palcami kark matki, która opuściła podbródek i kontynuowała temat relacji międzypłciowych, opowiadając historię: Wracając poprzedniego wieczoru z klubu książki, natknęła się na Oscara Busleya, jednego z mężczyzn mieszkających w Rolling, których liczba stale malała. Wędrowne życie miał już, co prawda, za sobą, zachował jednak ruchliwość i zwiększył swoją szybkość za pomocą skutera z napędem elektrycznym. Busley jechał z warkotem przez korytarz, gawędząc z matką życzliwie, gdy zmierzali ku jej mieszkaniu. Kiedy dotarli do drzwi, zatrzymała się, żeby wyjąć klucze z torebki. Oscar musiał błyskawicznie oderwać dłonie od kierownicy i rzucić się w jej kierunku, ponieważ matka ze zdumieniem stwierdziła, że nagle przywarł do jej brzucha. Objął ją mocno ramionami i wtulił głowę pod jej biust. Równie błyskawicznie i zapewne z większą siłą (ćwiczyła z hantlami dwa razy w tygodniu) matka oswobodziła się z niechcianego uścisku, wpadła do mieszkania i zatrzasnęła drzwi.

Następnie odbyłyśmy krótką rozmowę o przypadkach rozhamowania, które towarzyszą niekiedy demencji. Matka upierała się jednak, że mężczyzna jest „zupełnie zdrowy na umyśle” – to reszta jego jestestwa potrzebuje kontroli. Potem zneutralizowała historię Oscara Busleya opowieścią o Robercie Springerze. Na prozanej kolacji w St. Paul spotkała jednego z dawnych znajomych ojca, prawnika Springera, „wysokiego, przystojnego mężczyznę” z „burzą włosów”, który przybył z panią Springer. Na to całkowicie pokojowe zdarzenie złożył się uścisk dłoni, któremu towarzyszyło znaczące spojrzenie. Wtedy skończyłam już masaż jej pleców, a matka usadowiła się na krześle przodem do mnie. Uniosła ręce i rozłożyła dłonie.

– Trzymał moją rękę zbyt długo, rozumiesz, trochę dłużej, niż to

wypada.

– I? – zapytałam.

– I prawie zemdlałam. Uścisk jego dłoni mnie przeszył. Zmiękły mi kolana. To było cudowne, Mio.

Tak, pomyślałam, wyładowania elektryczne.

...unieś białe palce

Rozbierz mnie do naga, dotykaj mnie lekko,

Lekko, leciutko, wszędzie.

W mojej głowie rozbrzmiewał Lawrence. Dotykaj mnie lekko.

Szczupła, pomarszczona twarz matki wyglądała na zadumaną. Nasze umysły podążały podobnymi ścieżkami. Powiedziała:

– Staram się dotykać moich znajomych, wiesz, poklepać, uściskać. To jest problem. W miejscu takim jak to ludzie nie czują się wystarczająco dotykani.

Dziewczyny były nie w sosie. Może z powodu upału. W sali panował chłód, ale na zewnątrz było parno – malaryczny klimat. Alice wyglądała na szczególnie wyczerpaną, jej ogromne brązowe oczy błyszczały od wilgoci. Kiedy zapytałam, czy źle się czuje, odparła, że męczą ją alergie. Paplały o Facebooku, padały także imiona chłopców: Andrew, Sean, Brandon, Dylan, Zack. Kilkakrotnie dobiegły mnie słowa: „później, na basenie”, „bikini”, oraz mnóstwo szeptów i syknięć. Oprócz podniecającego oczekiwania na spotkanie z przedstawicielami płci przeciwnej istniał jednak między nimi inny rodzaj napięcia; wyczuwałam to stłumione, nieprzyjemne wzburzenie równie wyraźnie, jak wilgoć na zewnątrz. Zwłaszcza Nikki wydawała się wyjątkowo niespokojna. Nie mogła się powstrzymać od mizdrzenia, kiedy tylko miała po temu okazję. Bładoniebieskie oczy Jessie wypełniały znaczenia; szepnęła coś do Emmy, ale nie umiałam odczytać słów z ruchu jej ust. Peyton raz po raz kładła głowę na ławce, jakby nagle dopadła ją narkolepsja. Ashley miała nieprzenikniony wyraz twarzy, lecz jej zawsze wyprostowana sylwetka nabrała tego dnia dodatkowej sztywności, a ona sama w ciągu godziny trzykrotnie nakładała błyszczący

na idealnie lśniące usta. Także Emma wydawała się zaabsorbowana nieznanym, na poły zatajonym żartem. Dojmująco czułam, że za tym wszystkim kryje się jakaś historia, patrzyłam jednak na palimpsest zapisany tak gęsto, iż zupełnie nieczytelny.

W dalszej części zajęć musiałam maskować swoją irytację. Pulchna buzia Nikki, upiększona błyszczącym cieniem do powiek i ciężką warstwą tuszu do rzęs, jeszcze dwa dni wcześniej wydawała mi się radosna, a teraz – głupawa. Niemal niewidoczny uśmieszek Joan i jej podobny makijaż raczej mnie przygnębiały, niż bawiły. Kiedy pisały wiersze o barwach, musiałam się napominać, że niektóre z dziewcząt nie mają jeszcze trzynastu lat: ich samokontrola jest ograniczona, a jeżeli pozwolę sobie na wyobcowanie, to popsuję relacje w całej grupie. Wiedziałam również, że moja nadwrażliwość na odcienie nastrojów otoczenia, połączona z osobistymi przykrymi doświadczeniami tego wieku, mogła z łatwością zaburzyć moje postrzeganie. Ileż to razy Boris mówił: „Mio, rozdmuchujesz sprawy ponad wszelką miarę”; ileż to razy widziałam samą siebie ze zwiotczalym balonikiem pomiędzy wargami: wtłaczam do niego powietrze, aż powoli zamienia się w ogromną gruszkę lub długą parówkę, przekształca się z jednej rzeczy w inną. Nie, to była ta sama rzecz, tylko większa – więcej powietrza.

Po nie całkiem nieciekawej dyskusji o kolorach i uczuciach – gorzka, wredna zieleń, posępny, kojący lub ogromny błękit, paląca, krzykliwa czerwień, eksplodująca żółć, obojętna, chłodna biel, gburowaty brąz, przerażająca, śmiertelna czerń i zwiewny, słodki róż – wyszły, a ja, dorosła, która sama namaściłam się na szpiega, obserwowałam je, stojąc w dusznym powietrzu na frontowych schodach naszego budynku.

Wykonały przed moimi oczami rodzaj tańca, ożywiony układ pełen przepychanek, zbliżeń i ucieczek oraz wszelakich wariantów dwu-, trzy- i czteroosobowych. Załedwie kilka metrów dalej, na rogu krótkiej uliczki, dostrzegłam grupkę pięciu chłopców, którzy radośnie tłukli się, popychali, klepali i podcinali, wykrzykując co chwilę: „Spadaj, jebańcu!” i „Odwal się, pedale!”. Z jednym wyjątkiem – wysokiego chłopaka w luźnych szortach i bejsbolówce założonej tyłem do przodu – byli chuchrami, znacznie niższymi od większości dziewcząt, lecz

wszystkich pięciu, włącznie ze strzelistym chłopcem, zaangażowało się w rodzaj niezdarnej, przesyconej testosteronem gimnastyki zbiorowej. Tymczasem także moja siódemka wykazała się talentami aktorskimi. Nikki, Joan, Emma i Jessie wybuchały nieśmiałym, piskliwym śmiechem, zerkając przez ramię na swoich niezgrabnych zalotników. Senność najwyraźniej opuściła Peyton. Widziałam, jak agresywnie wciska się pomiędzy Nikki i Joan, pochyla się i szepcze do ucha tej pierwszej słowa, które natychmiast wywołują u słuchaczki kolejny pisk. Prosta jak struna Ashley z wypiętym dumnie biustem dwoma delikatnymi ruchami szyi odrzuciła włosy na plecy, zanim ufnie ruszyła ku Alice. Ta ostatnia słuchała jej w skupieniu, a zaraz potem zauważyłam wzrok Emmy skierowany na Ashley. Było to spojrzenie błyszczące i niemądre, ale także, jak zauważyłam z ukłuciem zażenowania, służalcze.

Kiedy tak wędrowały w rozproszonej grupce w kierunku hałaśliwych dzikusów na rogu, poczułam mieszaninę litości i lęku. Litości oczywiście dlatego, że nie pamiętałam żadnego konkretnego dnia, żadnej konkretnej dziewczyny ani chłopaka, nawet ponurego okresu odrzucenia przez Julię i jej totumfackie. Pamiętałam natomiast ten czas w życiu, kiedy większość tego, co się liczy, można podsumować jako „inne dzieciaki”, i wydało mi się to żałosne. Lęk był bardziej skomplikowany. W swoich dziennikach Kierkegaard pisał, że lęk jest pociągający, i miał rację. Lęk nęcił, czułam, jak mnie wabi, ale dlaczego? Co właściwie zobaczyłam czy usłyszałam, że poczułam w sobie to delikatne, lecz wyraźne przyciąganie? Percepcja nigdy nie jest pasywna. Nie jesteśmy tylko odbiorcami świata, także aktywnie go tworzymy. Postrzeganie zawsze ma w sobie element fantasmagoryczny, a iluzje łatwo wykreować. Nawet ty, drogi czytelniku, z łatwością dasz się przekonać, że gumowe ramię jest twoim własnym; dokona tego czarujący neurolog za pomocą kilku asów w rękawie swojego białego fartucha. Musiałam zadać sobie pytanie, czy te okoliczności, moja niechciana przerwa od „prawdziwego” życia, mój postpsychotyczny stan, wpłynęły na mnie w sposób, którego nie byłam świadoma ani którego nie mogłam przewidzieć.

Dwie kolejne przyjemności, które Abigail ujawniła przede mną w czwartek, były następujące:

Kwiecisty, zrobiony na drutach ocieplacz na dzbanek z herbatą, który, wywrócony na lewą stronę, ukazywał podszewkę pełną potwornych kobiet o ciekących oczach, płonącym oddechu, przesytych włóczyniami piersiach i długich szponach przypominających miecze.

Długi zielony bieżnik haftowany w białe choinki bożonarodzeniowe. Po odwróceniu go i rozsunięciu suwaka ujrzałam (od lewej do prawej) pięć szczegółowo oddanych onanistek na czarnym tle. (Onan, okryta hańbą postać biblijna, popadł w niełaskę za rozlewanie nasienia na ziemię. Przyglądając się rządowi sybarytek, zastanawiałam się, czy termin ten może mieć zastosowanie do istot pozbawionych nasienia, a za to pełnych jajeczek. Trwonimy je oczywiście jak szalone w czasie comiesięcznych dni krwawienia, ale przecież większość spermy też jest całkowicie bezużyteczna; zagadnienie to zostanie dogłębnie zbadane później).

Smukła sylfida póleży w głębokim fotelu, pieszcząc piórkiem strategiczne punkty między rozrzuconymi nogami.

Ciemnoskóra kobieta spoczywa na krawędzi łóżka, jej nogi zawisły w powietrzu, a obie dłonie ukryte są pod wzburzonymi halkami.

Masywna rudowłosa dziewczyna balansuje na drążku trapezu, odrzuciła głowę, rozwarła usta w całkowitym spełnieniu.

Uśmiechnięta blondynka ze słuchawką prysznicową – strumień oddano starannie falującymi ściegami błękitnej nici.

I na koniec siwowłosa kobieta w łóżku, odziana w długą koszulę nocną, przyciska dłonie do materiału w okolicy genitaliów. Ta ostatnia postać całkowicie zmieniła charakter dzieła. Figlarność czterech młodszych psotnic stała się nagle wzruszająca; pomyślałam o samotności tkwiącej w tych erotycznych pociechach, o moich własnych samotniczych pocieszeniach.

Kiedy podniosłam głowę znad obrazu zaspokajających się kobiet, na twarzy Abigail malowała się zarówno przebiegłość, jak i smutek. Powiedziała, że nie pokazała ich nikomu poza mną. Zapytałam, dlaczego.

– Za duże ryzyko. – Brzmiała jej szorstka odpowiedź.

To dziwne, jak szybko przywykłam do przypominającej scyzoryk sylwetki tej kobiety i jak niewiele na nią zważałam, gdy rozmawialiśmy. Dostrzegłam jednak, że jej dłonie trzęsą się bardziej niż podczas naszego poprzedniego spotkania. Trzykrotnie powtórzyła, że oprócz mnie nikt nie widział bieżnika, jakby upewniała się, że może mi zaufać. Powiedziałam, że bez jej pozwolenia nie powiem o nim nikomu. Abigail obdarzyła mnie mocnym spojrzeniem swoich bystrych oczu, które mówiło, że wybór mnie na strażniczkę jej artystycznych sekretów nie był kaprysem. Wiedziała, że ma ku temu powód. Nie wyjaśniła jednak wiele i tamtego popołudnia, poczęstowawszy mnie herbatą i cytrynowymi ciasteczkami, prowadziła bezładną rozmowę o wszystkim i o niczym – opowiedziała o podróży do Nowego Jorku w 1938 roku, miłości do Frick Collection, o tym, że miała sześć lat, gdy kobiety uzyskały prawo do głosowania i że za jej czasów nauczycielki plastyki otrzymywały bardzo mało materiałów do pracy i musiała kupować je na swój koszt lub posiłkować się tymi, które przynosili uczniowie. Słuchałam jej cierpliwie, ponieważ mimo błahości tego, o czym mówiła, do krzesła przykuwał mnie ton zaniepokojenia w jej głosie. Po godzinie wyczułam, że zaczyna się męczyć i zaproponowałam kolejne spotkanie.

Gdy się rozstawałyśmy, Abigail zamknęła moje dłonie w swoich. Jej uścisk był słaby i drżący. Potem uniosła moje ręce do ust i ucałowała je, a następnie skłoniła głowę na bok i mocno przytuliła policzek do skóry na moich knykciach. Już za drzwiami oparłam się o ścianę w korytarzu i poczułam, że do oczu napływają mi łzy, nie wiedziałam jednak, czy płaczę nad Abigail, czy nad samą sobą.

Zdawałam sobie sprawę, że Pete wrócił, ponieważ go słyszałam. Teraz, gdy zaprzyjaźniłam się z Lolą, hałas przeszkadzał mi jeszcze bardziej. Siedziałam na leżaku w ogródku po długiej rozmowie telefonicznej z Daisy, moją dobrze zapowiadającą się aktorką komiczną z czułym, lecz zbyt zaborczym chłopakiem, który „chce spędzać przy mnie każdą wolną od pracy chwilę”. Zadzwoiła, ponieważ musiała porozmawiać o metodach dyplomatycznych. Daisy chciała znaleźć najlepszy sposób na przekazanie mu, że „potrzebuje przestrzeni

życiowej”. Kiedy zasugerowałam, że fraza, której właśnie użyła, wydaje się nieszkodliwa, jęknęła:

– Nie ścierpi tego.

Pete też najwyraźniej nie mógł czegoś ścierpieć, ale na szczęście jego ryki ucichły już po kilku minutach i w sąsiednim domu zapadła cisza. Być może walczące strony przeszły do niemych ataków i spółkowania. Mój ojciec nie był krzykaczem, nie był nim także Boris, lecz w milczeniu również może kryć się siła, czasem nawet potężniejsza. Cisza wciąga nas w tajemnicę drugiego człowieka. Co się tam dzieje? Czemu nie chcesz mi powiedzieć? Jesteś zadowolony, smutny, wściekły? Muszę postępować z tobą ostrożnie, bardzo ostrożnie. Twoje nastroje są naszą pogodą, chcemy, żeby zawsze było słonecznie. Chcę ci sprawić przyjemność, tato, robić sztuczki, tańczyć, opowiadać historyjki, śpiewać piosenki i rozśmieszać cię. Chcę, żebyś mnie widział, widział Mię. Esse est percipi. Istnieję. Z mamą to było takie proste: jej dłonie obejmujące moją twarz, jej oczy wpatrzone w moje. Mogła też na mnie nakrzyczeć za bałaganiarstwo, brak organizacji, ataki hysterii i wybuchy, a potem przeproszałam i tak łatwo przychodziło mi ją odzyskać. Beę też, tylko ty byłeś zbyt daleko, nie mogłam odnaleźć twoich oczu, a jeżeli mi się to udało, zaczynały patrzeć do wewnątrz i na twoim mentalnym niebie zapadał mrok. Harold Fredricksen, adwokat. To był nasz przezabawny rodzinny żart – kiedy miałam cztery lata, tak odmawiałam Modlitwę Pańską: „Ojczy nasz, któryś jest w niebie, Harold imię Twoje”. I Boris, tak, Boris też, mąż, ojciec, ojciec, mąż. Powtarzalność wpływów. Co się tam dzieje? Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć? Twoje milczenie mnie do ciebie przyciąga, lecz potem w twoich oczach kłębią się chmury. Chcę wtargnąć do fortecy tego spojrzenia, rozsadzić ją, żeby cię odnaleźć. Jestem walecznym Duchem Wspólnoty. Ty jednak obawiasz się takiego włamania, a może boisz się, że zostaniesz pożarty. Ponętna Dora, mamusia ślicznotka obciążona miriadami gestów i parafernaliów kobiecości: te dąsy i słodkie słówka, trzepotanie rzęsami i wzruszanie ramionami, aluzyjki i sposobiki, dzięki którym zdobywała to, czego pragnęła. Nadal słyszę pobrzękiwanie jej złotych bransoletek. Jak ona cię kochała, jej bubeleh, jej boychik¹, jej maleństwo; ale w tej miłości było coś przesłodzonego, coś teatralnego i samolubnego, a ty to

wiedziałaś i gdy tylko podrosłaś, trzymałaś ją na bezpieczny dystans. Stefan zdawał sobie z tego sprawę i wiedział, że dla niej zawsze będzie drugi. Dwóch chłopców z ojcem w niebiosach. Tak było, Borisie, przynieśliśmy ich, naszych rodziców, sobie nawzajem. Przerwa też musi ich mieć, matkę i ojca, ale nie mogę o niej myśleć. Nie chcę o niej myśleć.

Obecność za drzwiami przychodziła i odchodziła. Była tam, a potem jej nie było. Zmuszałam się, aby wejść do środka za każdym razem, gdy ją wyczułam, używając zdrowego rozsądku do stłumienia przemożnego odczucia. Nadal myślałam o obecności jako o pozbawionej głosu wersji Pana Nikt, świra, który regularnie przysyłał wiadomości, lecz zmienił ton z nękającego podlega na rozchwianego filozofa, co sprawiło, że znowu zaczęłam podejrzewać Leonarda.

Rzeczywistość jest niematerialna, utkana z wydarzeń, działań, możliwości. Weź pod uwagę owe tajemnicze subiektywności, które odmieniają świat umysłu, efekt Zenona! Przekaż to Izcovichowi, swojemu wiarołomnemu małżonkowi.

Twój Nikt

Zdenerwowana i poruszona wzmianką o Borisie, szybko wystukałam odpowiedź i wysłałam ją, natychmiast tego żałując: „Kim jesteś i czego ode mnie chcesz?”.

– Kiedy za niego wychodziłam, wiedziałam, że ma charakterek – powiedziała Lola późnym popołudniem. Simon drzemał na jej kolanach, a Flora wskakiwała do turkusowego nadmuchiwanego baseniku i wyskakiwała z niego. – Ale wtedy nie miałam dzieci. Flora tak się boi.

Te trzy zdania jakby płynęły w rozgrzanym powietrzu między nami, a mnie zrobiło się smutno. Chciałam zapytać: „Ale nikogo nie bije, prawda? Nie jest agresywny?”. Te pytania narosły we mnie, lecz nie wydobyły się na zewnątrz, nie wymówiłam tych słów. Lola miała na sobie zielony kostium kąpielowy, okulary przeciwsłoneczne

i bejsbolówkę. Jej ciało nie utraciło całkowicie opuchlizny ciąży, a ogromne piersi wezbrały mlekiem. Była masywną dziewczyną, ale w moich oczach wydawała się atrakcyjna. Sądzę, że to dzięki jej młodości – gładkiej skórze, krągłościom, twarzy pozbawionej zmarszczek, szarym oczom, nieco płaskiemu nosowi i pełnym ustom; żadna część jej ciała nie padła ofiarą wieku, nie miała brązowych plamek, wypukłych żył, zmarszczek ani obwisłej skóry.

– Zastanawiam się, czy kiedykolwiek zdejmie tę perukę. Pete jej nie znosi. Ciągle mu powtarzam: A kogo to obchodzi? Nie nosi jej do kościoła. Chyba chciał mieć małą, słodką istotkę... – Lola nie dokończyła. – Martwi się, że coś jest z nią nie tak, jest nadpobudliwa czy coś.

Flora była zaabsorbowana dość brutalną kąpielą, którą zaserwowała Żyrafce. Klęcząc w basenie, wywijala ją w górę i w dół i śpiewała: „La-la-la, Żyrafka, tralala, mała dziewczynka!”. Po chwili Żyrafka dryfowała samotnie pyskiem do dołu, a Flora rozpoczęła nową zabawę – oparła się na łokciach i zaczęła kopać tak energicznie, że udało się jej opryskać wodą moje nogi.

– Mamo, patrz! Mamo, patrz! Patrz, Mia!

Poczułam do Pete’a jeszcze większą niechęć. Co za idiota.

Syn Pete’a przeciągnął się i zbudził. Zamachał piąstkami przed twarzą, zaczął prostować kolana i napinać kręgosłup, a kiedy zaledwie kilka minut później wzięłam go na ręce, był już całkowicie przytomny i wbijał we mnie spojrzenie swoich ciemnych, podobnych do ziarenek oczu. Pogłaskałam meszek na jego głowie i obejrzałam zaciskające i krzywiące się usteczka. Mówiłam do niego, a on odpowiadał cichymi piskami. Po jakimś czasie odwrócił się i zaczął szukać pokarmu, ja zaś poczułam w piersiach ślad znanego mi wrażenia, przebłysk cielesnej pamięci. Oddałam go Loli. Kiedy jej synek zaczął się spokojnie posilać, spojrzęła na mnie i powiedziała:

– Z początku jej nie chciał. Zaszłam w ciążę. Już wtedy zamierzaliśmy się pobrać, to nie dlatego. Dla niego to było za wcześnie. – Lola odchyliła się na leżaku. – Pete to facet, który wiecznie się martwi. To też wiedziałam. Miał starszą siostrę, która urodziła się z wieloma wadami, naprawdę ciężko upośledzona. Musieli ją oddać do domu

opieki. Nigdy nie nauczyła się chodzić, mówić, nic. Umarła, gdy miała siedem lat. Pete nie lubi o tym mówić. – Lola przyglądała się swoim polakierowanym paznokciom. – Jego tata nigdy jej nie odwiedził, ani razu. To wszystko było naprawdę okropne dla jego mamy. Możesz to sobie wyobrazić.

Mogłam to sobie wyobrazić. Spojrzałam na chmury, gęstą konfigurację cirrusów; obserwując głowę potrząsającą długimi pasmami włosów, które odrywały się bardzo powoli od smukłej szyi, zdałam sobie sprawę, że wygodniejszy był dla mnie Pete ze swoim niezrozumiałym gniewem niż ten nowy człowiek, młodzieniec ze zmarłą siostrą.

Może to przez ogólną pustkę krajobrazu – kukurydzę i niebo. Może przez żar mojej cichej rozpacz albo po prostu z potrzeby wypełnienia nieuleczalnie nijakiej terażniejszości wrzaskiem i szlochem. W każdym razie kiedy Lola zapytała mnie o życie w Nowym Jorku, uraczyłam ją mnóstwem historyjek i słuchałam jej śmiechu. Podkreślałam prostackość, lubieżność i cudaczność. Zmieniłam miasto w scenę nieustającego karnawału pozerów, cwaniaków i błaznów, których wpadki i wyskoki uchodziły za rozrywkę wysokich lotów. Opowiedziałam jej o Charliem i Wayne, dwóch poetach, którzy podczas pewnej pijackiej nasiadówki zakończonej późną nocą prawie pobili się o Ezrę Pounda, a ostatecznie wylądowali na dachu jednego z budynków w SoHo, gdzie zmierzli się w prawdziwym konkursie sikania na odległość. Opowiedziałam jej o Miriam Hunt, starzejącej się dziedzicze z mnóstwem forsy, małymi cyckami, poprawioną chirurgicznie twarzą i torebkami Hermès, która w zgodzie ze swoim nazwiskiem² prześladowała młodych i pożądaną jej pieniędzy naukowców, podkradając się do nich i dysząc im słodko do uszu: „To ile miałby kosztować ten projekt badawczy, który pan zaproponował?”. Opowiedziałam jej o moim koledze Rupercie, który przerwał proces zmiany płci na półmetku, zdecydował bowiem, że dwa w jednym to jest to. Opowiedziałam jej o osiemdziesięcioletnim miliarderze, moim sąsiedzie przy stole na jakiejś kolacji połączonej ze zbiórką pieniędzy, który pierdział i wzdychał, pierdział i wzdychał, a potem znowu pierdział i wzdychał, i tak przez cały posiłek, jakby siedział we własnym domu na kiblu. Opowiedziałam jej o moim znajomym, bezdomnym

Frankiem, którego dzieci, bracia, siostry, kuzyni, ciotki i wujowie umierali w tempie dwojga na tydzień po tym, jak zapadli na przedziwne i rzadkie choroby, między innymi na szkorbut, trąd, dengę, zespół Klinefeltera, leptospirozę, śmiertelną bezsenność rodzinną i trypanosomozę amerykańską. Zaiste, Frankie miał tak obfity zapas krewnych, że zdarzało mu się zapominać imiona tych, którzy umierali między naszymi spotkaniami w Siódmej Alei.

Oczy Loli lśniły zadowoleniem i ciekawością, gdy słuchała moich opowieści o kosmopolitach, wszystkich prawdziwych, a jednak równocześnie fikcyjnych. Odarci z intymności, widziani z dużego dystansu, jesteśmy wszyscy postaciami komicznymi, farsowymi komediantami telepiącymi się przez życie i robiącymi po drodze solidne zamieszanie; gdy jednak podejść bliżej, śmieszność prędko zmienia się w podłość, tragizm lub po prostu smutek. Nieważne, czy utknąłeś w prowincjonalnej mieścinie Bonden, czy przechadzasz się Polami Elizejskimi. Prawdziwie żalosalne we mnie było to, że pragnęłam być podziwiana, chciałam zobaczyć samą siebie jako błyszczące odbicie w oczach Loli. Nie różniłam się niczym od Flory. Mamo, patrz! Tatusiu, zobacz, jak robię gwiazdę! Popatrz na werbalne popisy Mii w zachwaszczonym ogródku Sheri i Allana Burdów, udekorowanym szybko flaczejącym basenikiem dziecięcym.

Tamtej nocy otrzymałam od Borisa wiadomość, w której poinformował mnie, że Roger Dapp wraca z Londynu, co oznacza, że on sam straci tymczasowe lokum i zamieszka z Przerwą. Na tę chwilę było to rozwiązanie „praktyczne”. Chciał, żebym się o tym dowiedziała. Tak miało być „uczciwie”. Przyjęłam to jak kobieta. Rozpłakałam się.

Możesz się zastanawiać, dlaczego w ogóle chciałam Borisa, faceta, który mówi swojej nadal żonie, że zamieszka ze swoją nową kobietą z przyczyn „praktycznych”, jakby to nowe, wstrząsające założenie było po prostu kwestią jakiejś nowojorskiej nieruchomości. Sama się zastanawiałam, dlaczego go chcę. Gdyby Boris porzucił mnie po dwóch czy nawet dziesięciu latach, szkody byłyby znacznie mniejsze. Trzydzieści lat to dużo czasu, w którym małżeństwo nabiera wsobnego, niemal kazirodczego charakteru ze skomplikowanymi rytмами uczuć,

dialogów i skojarzeń. Dotarliśmy do punktu, w którym usłyszana na przyjęciu historyjka czy anegdota równocześnie wywołuje w naszych mózgach tę samą myśl, chodzi tylko o to, które z nas ją wyartykułuje. Nasze wspomnienia także zaczęły się mieszać. Boris zaklinał się na wszystkie świętości, że to on natknął się na czaplę modrą na progu domu, który wynajmowaliśmy w Maine, a ja jestem w równym stopniu przekonana, że sama widziałam tego ogromnego ptaka i opowiedziałam mu o tym. Nie istnieje rozwiązanie tej zagadki, nie ma żadnej dokumentacji – tylko nietrwała, zmienna tkanka wspomnień i wyobrażeń. Jedno z nas wysłuchało relacji drugiego, widziało w swoim umyśle spotkanie z ptakiem i stworzyło wspomnienie z obrazów mentalnych, które towarzyszyły płynącej opowieści. Wnętrze łatwo pomylić z tym, co na zewnątrz. Ty i ja. Boris i Mia. Psychiczne nakładanie się.

Nie powiedziałam matce o nowej pozycji Przerwy. To by ją urealniło, urzeczywistniło bardziej, niż byłam w tamtej chwili gotowa zaakceptować. Szkoda, że jestem prawdziwa, powiedziała Flora. Chciała wpełznąć do lalczyego domku i zamieszkać ze swoimi zabawkami. Szkoda, że nie jestem postacią z książki czy ze sztuki, nie żeby wszystkie miały się świetnie, ale wtedy mogłabym zostać opisana gdzie indziej. Sama się opiszę gdzie indziej, pomyślałam, zobaczę tę opowieść w nowym świetle: bez niego jest mi lepiej. Czy kiedykolwiek w swoim życiu wypełniał obowiązki domowe oprócz zmywania? Czyż nie wyłączał cię regularnie, jakbyś była radiem? Czyż nie przerywał ci nieskończenie wiele razy w pół zdania, jakbyś była przejrzywym niczym, Panią Nikt, Brakującym Biesiadnikiem przy stole? Czyż nie jesteś „nadal piękna”, jak to ujęła twoja matka? Czyż nie jesteś nadal zdolna do rzeczy wielkich?

Przypadki słynnej Mii Fredricksen, urodzonej w Bonden, a podczas sześćdziesięciu lat życia pełnego trwałej różnorodności, z pominięciem jej dzieciństwa, poetycznej oblubienicy i kochanki wielokrotności i rozmaitości, zaś przez lat trzydzieści – małżonki (przyrodnika i drania), która ostatecznie zdobyła fortunę i sławę dzięki połączonym z jej piórem wysiłkom, żyła raczej uczciwie i zmarła, nie wykazując skruchy.

Albo: „Nikt nie wiedział, kim była Fredricksen. Wjechała do osady

Bonden latem 2009 roku, milcząca obca; solidnie naoliwionego kolta przechowywała w jukach, gdyby jednak zaszła potrzeba, mogła użyć go jako śmiercionośnego narzędzia”.

Albo: „Rozpoznałem jej kroki, niespokojnie przemierzające podłogę; raz po raz przerywała ciszę głębokim oddechem przypominającym jęk. Mamrotała pojedyncze słowa; jedyne, które udało mi się wyłapać, to imię Borisa połączone z jakąś szaloną czułością lub wyrazem cierpienia, wymawiane tak, jakby przemawiała do obecnej w pomieszczeniu osoby – głosem niskim i szczerym, wyrrywającym się z głębi jej duszy”. Mia jako Heathcliff – koszmarnie, szydercze zwłoki stały się upiorem, który nawiedza mieszkanie na Wschodniej Siedemdziesiątej na Manhattanie i powraca raz po raz, by dręczyć Izcovicha i jego Przerwę.

Cała opowieść jest w mojej głowie, czyż nie? Nie jestem tak filozoficznie naiwna, by wierzyć, że można wykreować jakąś empiryczną rzeczywistość z opowieści. Na litość boską, nie potrafimy nawet dojść do porozumienia w kwestii tego, co pamiętamy. Jechaliśmy taksówką, gdy dziesięcioletnia Daisy obwieściła swoje teatralne ambicje. Nie, byliśmy w metrze. W taksówce. W metrze. W taksówce! Problem w tym, że niezliczone liczby Borisów krążyły w mojej głowie. Wszędzie było go pełno. Nawet gdybym miała nigdy więcej nie zobaczyć go na żywo, Boris był nieunikniony jak mechanizm myślenia. Ile razy masował mi stopy, gdy oglądaliśmy razem film, cierpliwie ugniatając i głaszcząc podeszwy, palce i dotkniętą niegdyś skomplikowanym złamaniem kostkę zaatakowaną przez artretyzm? Ile razy spoglądał na mnie z miną szczęśliwego dziecka po tym, jak umyłam mu głowę nad wanną? Ile razy obejmował mnie i kołysał po tym, jak otrzymałam pismo z odmową? Rozumiesz, to też był Boris. To też był Boris.

Bubeleh, boychik – z hebrajskiego i jidysz: chłopczyk, chłopaczek.

Wyraz *hunt* oznacza m.in. łowy, polowanie.

* * *

Spóźniłam się kilka minut na zajęcia. Już na schodach dobiegły mnie salwy śmiechu, piski i znajome, szydercze i śpiewne: „O moja boziu!”. W chwili gdy weszłam do sali, dziewczęta zamilkły. Kiedy do nich podeszłam, zauważyłam, że wszystkie oczy skierowane są na mnie, a pośrodku stołu coś leży: poplamiony kłęb. Co to jest? Pokrwawiona chusteczka higieniczna.

– Czy komuś leciała krew z nosa?

Cisza. Przyjrzałam się ich siedmiu nieprzeniknionym twarzom i do głowy przyszło mi pytanie, którego nie używałam od dzieciństwa: „O co biega?”. Żaden z nosów nie wyglądał na nadwerężony. Uchwyciłam za czysty fragment zabrudzonego papieru i przeniosłam go między kciukiem i palcem wskazującym do kosza na śmieci. Potem zapytałam, czy ktoś zechciałby mnie oświecić w kwestii „tajemnicy krwawej chusteczki”, a przez głowę przeleciał mi obraz Nancy Drew¹ w niebieskim roadsterze.

– Już tam leżała, kiedy przyszłyśmy – powiedziała Ashley – ale była taka ohydna, że nikt nie chciał jej dotknąć. Musiał ją tam położyć woźny albo ktoś inny.

Zauważyłam, że Jessie mocno zacisnęła usta.

– Obrzydliwe – dodała Emma. – Dlaczego ktoś ją tak zostawił?

Alice wpatrywała się sztywno w biurko.

Nikki zerknęła na kosz do śmieci i zrobiła minę.

– Niektórzy po prostu nie dbają o czystość.

Joan gorliwie pokiwała głową na znak aprobaty. Peyton wyglądała na speszoną.

– Są gorsze rzeczy niż chusteczka higieniczna z odrobiną krwi. Zajmijmy się tym, co będzie dla nas dzisiaj najważniejsze: nonsensem.

Byłam uzbrojona w poezję: rymowanki, wiersze Ogdena Nasha, Christophera Isherwooda, Lewisa Carrolla, Antonina Artauda, Edwarda Leara, Gerarda Manleya Hopkinsa. Miałam nadzieję, że uda mi się odwrócić ich uwagę od kosza na śmieci i skierować ją na rozkosze przekształcania znaczeń. Wszystkie pisałyśmy. Wyglądało na to, że dziewczyny dobrze się bawią, a ja pochwaliłam „smakowity” wiersz

Peyton.

Uciera się moja ślinkorozkołysu chmura.
Mlaskopalco liznę truskarmelowy,
Pianmiksuj puszek śmietankremowy.
Pysznościowe babeczki, jahurra!

Pod koniec warsztatów, gdy Alice odczytywała swój raczej smutny nonsens „Samotni wśród dzikich spustoszeń...”, Ashley zaczęła mocno kaszleć. Przeprosiła, powiedziała, że musi się czegoś napić i opuściła klasę.

Kiedy zajęcia dobiegły końca, wyszły wszystkie dziewczęta z wyjątkiem Alice, która zwlekała z opuszczeniem sali. Tego dnia, choć posępna, wyglądała szczególnie ładnie w białej koszulce i szortach; podeszłam do niej i już miałam się odezwać, gdy usłyszałam kogoś za plecami.

Okazało się, że to matka Jessie, pulchna kobieta po trzydziestce o ułożonych i polakierowanych włosach koloru ciemnego blondu. Z wyrazu jej twarzy natychmiast wyczytałam, że przybywa z niezwykle poważną misją. Wyglądało na to, że ani matka, ani sama Jessie nie spodziewały się warsztatów poetyckich mojego typu. Zwróciła uwagę, iż dałam dziewczętom wiersz – tu długi wdech – „D.H. Lawrence’a”. Najwyraźniej już samo nazwisko autora wróżyło niebezpieczeństwo dla dotychczas niezapylonej wyobraźni kwiatów Bonden. Kiedy wytłumaczyłam, że Wąż to wiersz o mężczyźnie, który uważnie przygląda się temu zwierzęciu i czuje się winny, że je przestraszył, zacisnęła szczęki.

– Mamy swoje przekonania – oznajmiła.

Ta kobieta nie wyglądała na głupią. Ona wyglądała na niebezpieczną. W Bonden pogłoska, ploteczka, a nawet zwyczajna potwarz mogły szerzyć się z nadnaturalną szybkością. Udobruchałam ją, zapewniając o moim bezbrzeżnym szacunku dla przekonań wszelkiego rodzaju – beczelne kłamstwo – i pod koniec rozmowy poczułam, że zdjęłam jej kamień z serca. Niemniej pozostało ze mną jedno zdanie: „Panu Bogu się to nie podoba, mówię pani. Jemu się to nie podoba”.

Widziałam go, własnego Boga Ojca pani Lorquat, wypełniającego niebiosy, gładko ogolonego faceta w garniturze i krawacie, ze zmarszczonymi brwiami, nieustępliwie srogiego, całkowicie pozbawionego poczucia humoru miłośnika mierności, Boga jako kwintesencję amerykańskiego recenzenta.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu Alice, lecz ona zniknęła.

Teraz wyznaję, że weszłam już w korespondencję z Panem Nikt. W odpowiedzi na moje pytanie, kim jest i czego chce, napisał:

Jestem którymkolwiek z Twoich głosów, sama wybierz, głosem proroczym, głosem plebejskim, głosem mówcy wieków, głosem dziewczyny, głosem chłopca, szczekaniem, wyciem, ćwierkaniem. Bolesnym, pieszczącym, wściekłym, dobrodusznym, jestem głosem, który przybył Znikąd, żeby do Ciebie przemawiać.

Nancy Drew – lubująca się w rozwiązywaniu zagadek kryminalnych bohaterka serii powieści dla młodzieży.

* * *

Dałam się na to nabrać, pchana przez swoją samotność, szczególny rodzaj dojmującej samotności psychicznej. Boris był moim mężem, ale także interlokutorem. Uczyliśmy się nawzajem, a bez niego nie miałam już partnera do tańca. Pisałam do znajomych poetów, lecz większość pozostawała zamknięta w świecie poezji równie mocno, co większość kolegów Borisa w neurobiologii. Ten cały Nikt był kombinatorem i krętaczem. Przeskakiwał z Monadologii Leibniza do Heisenberga i z Bohra w Kopenhadze do Wallace'a Stevensa niemal na jednym wdechu; mimo swojego szaleństwa zaintrygował mnie, odpisywałam, występując z kontrargumentami i nowymi, pokrętnymi przemyśleniami. Był niewzruszonym antymaterialistą, tyle zdołałam ustalić. Opluwał fizykalistów w rodzaju Daniela Dennetta czy Patricii Churchland, trąbiąc o świecie postnewtonowskim, który rozbił materię w pył. Intelktualny wszystkożerca, który, jak się zdawało, wyciskał, co się dało, ze swojego wirującego mózgu; nie było z nim dobrze, ale potrafił mnie zabawić. Kiedy do niego pisałam, zawsze widziałam twarz Leonarda. W końcu większość nas potrzebuje jakiegoś wizerunku, kogoś, kogo można zobaczyć, i tak obdarzyłam Pana Nikt obliczem.

Tamtej nocy śniłam, że budzę się w mojej sypialni z Buddą na komodzie. Wygramoliłam się z łóżka i mimo że światło było przyćmione, zauważyłam, że ściany są mokre i lśniące. Wyciągnęłam rękę, dotknęłam wilgotnej powierzchni palcami, włożyłam je do ust i poczułam smak krwi. Wtedy usłyszałam z drugiego pokoju krzyk dziecka. Wybiegłam i dostrzegłam na podłodze zawiniątko z białych szmat; zaczęłam za nie szarpać, żeby ściągnąć materiał i odkryć dziecko, ale znajdowałam tylko kolejne warstwy gałganów. Obudziłam się, ciężko dysząc. Obudziłam się w pomieszczeniu, w którym zaczął się sen, ale nie był to koniec historii. Usłyszałam krzyki. Czy nadal spałam? Nie. Z walącym sercem zdałam sobie sprawę, że dźwięk dochodzi od sąsiadów. Dobry Boże, pomyślałam, Pete. Narzuciłam szlafrok i pobiegłam na przełaj przez ogródek. Wpadłam do środka bez pukania i dzwonienia.

W salonie zastałam pozbawioną peruki Florę z brązowymi loczkami, leżącą plackiem na podłodze, wrzeszczącą. Jej twarzyczka spurpurowiała ze złości, a rozpalone policzki były zalane łzami i zasmarkane; kopła piętami krzesło, waliła piąstkami w podłogę. W sypialni na piętrze Simon wydawał z siebie serię rozpaczliwych, stłumionych jęków, a przede mną stała Ashley. Znajdowała się zaledwie pół metra od Flory, patrzyła na dziecko obojętnym, martwym wzrokiem; dostrzegłam drgnięcie jej ust. Zauważyłam, że kiedy pojęła, iż ktoś wszedł do środka i w tym samym momencie mnie rozpoznała, na jej twarzy natychmiast zagościł wyraz troski i bezradności. Pochyliłam się po Florę, wzięłam ją w ramiona i przycisnęłam mocno do siebie. Atak się nie skończył, ale i tak zaczęłam mówić.

– Jestem Mia, kochanie, Mia. Co się stało?

Wtedy zorientowałam się, co krzyczy.

– Chcę moje powietrze! Powietrze!

– Gdzie jej peruka?

Ashley spojrzała na mnie.

– Wyrzuciłam ją. Była ohydna.

– Przynieś ją w tej chwili! – warknęłam do niej.

Flora przestała się rzucać, gdy tylko odzyskała swoje „powietrze”; z pociągającym nosem dzieckiem w ramionach wspierałam się po schodach do sypialni, żeby ratować Simona. Powiedziałam Florze, że muszę ją odstawić, aby zająć się Simonem, i poleciłam jej, żeby objęła mnie za nogę. Ciaikiem niemowlęcia wstrząsał szloch. Podniosłam je i zaczęłam kołysać, aż się trochę uspokoiło. Nasza trójka w formie trójgłowego ciała zgramoliła się powoli ze schodów i przeszła do salonu.

Osoba, którą zobaczyłam po swoim przyjsciu, zniknęła. Zamiast niej pojawiła się Ashley, jaką znałam z zajęć, której ulżyło, że przyszłam, przytłoczona, która nie wiedziała, co zrobić z Florą, gdy ta wsmarowała masło orzechowe w perukę, która chciała pójść do Simona, ale bała się zostawić Florę. To wszystko miało sens. Czy Lola i Pete nie są cymbałami, że zostawili dwoje dzieci poniżej czwartego roku życia z trzynastolatką? Nie spierałam się z nią. Powiedziałam, że rozumiem. Bo co miałam powiedzieć? Kiedy weszłam, zobaczyłam w tobie coś, co mną wstrząsnęło? Dostrzegłam to w twoich oczach, w twoich ustach?

Takie wskazówki nie liczą się w dyskursie społecznym; mogą być prawdziwe, lecz ich artykulacja to szaleństwo. Kiedy usadziłam naszą trójkę na kanapie, poprosiłam Ashley, żeby podała mi butelkę dla Simona, i odesłałam ją do domu.

Dzieci były wyczerpane. Po jedzeniu Simon zapadł w sen, wcisnąwszy drobną, zaciśniętą piąstkę w mój obojczyk. Flora znalazła sobie dogodny punkt nieco niżej i złożyła głowę na moim brzuchu. Zasnęliśmy.

Obudził mnie dotyk Loli. Jej dłoń wędrowała po moim czole i zagłębiała się we włosy. Z korytarza dobiegał mnie odgłos kroków brutalą lub nieszczęśnika (zależnie od mojego nastroju) Pete'a; poczułam, że Lola wyjmuje Simona z moich objęć. Otaczała ją woń alkoholu, a jej załzawione oczy patrzyły sentymentalnie. Streściłam jej wydarzenia. Tylko się uśmiechnęła, moja Rozdarta Madonna w błyszczącej, wydekoltowanej bluzeczce, obcisłych džinsach i złotych kolczykach własnego wyrobu – dwóch wieżach Eiffla, które chwiały się delikatnie, gdy spoglądała na mnie z góry.

Dość długo rozmawiałam z doktor S. o planach mieszkaniowych Borisa, wylewając wiaderko łez, a potem opowiedziałam jej o zakrwawionej chusteczce higienicznej, wymknięciu się Alice, skardze pani Lorquat i twarzy Ashley. Użyłam sformułowania „czuję, że coś się tu pichci” i zobaczyłam wiedźmy gotujące ropuchy podczas sabatu. Doktor S. przyznała, że to absolutnie możliwe, iż dziewczętom zależy na popularności, ale, no cóż, nie dostrzega oznak czegoś bardziej złowieszczego. Bardziej zainteresował ją mój krwawy sen. Szmaty. Przemiana. Koniec z dziećmi. Maleństwa u sąsiadów. Gdy płodność przemija, nadchodzi nostalgiczny smutek, tęsknota, nie za dniami krwawienia, lecz za samą powtarzalnością, za stałymi miesięcznymi rytmemi, za przyciąganiem księżyca, do którego się kiedyś należało: Diany, Isztar, Frei, Artemidy, Luny, Albionu, Galaty – którego przybywa i ubywa – dziewczęcia, matki, staruchy.

Na zajęciach złapałam się na tym, że przyglądałam się twarzy Ashley, poszukując śladów przerażającej opiekunki, lecz ich nie

odnalazłam. Zauważyłam, że pozostałe dziewczęta są nieco wycofane, ale skłonne do współpracy, nie musiałam też konfiskować telefonów. A Alice – Alice wyglądała na szczęśliwą, nawet bardziej niż szczęśliwą. Wyglądała na upojoną. Nigdy wcześniej nie widziałam jej tak promiennej. Jej oczy błyszczały, a stworzony przez nią wiersz pobrzmiwał ekscentrycznymi nutami, które uznałam za absolutnie niepasujące do jej natury. „Dziś gram swoje myśli na perkusji / Śpiewam na komecie / Krzyczę w chmurach / Tańczę na słońcu”. Coś się zdarzyło, uznałam w duchu. Jak to często bywało, Alice wyszła ostatnia. Stała przy stole, starannie pakując notatnik i długopisy do torby, i nuciła fragmenty nierozpoznawalnej melodii.

– Jesteś w dobrym nastroju.

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się; w świetle wpadającym przez okno jej aparat korekcyjny załśnił przez chwilę srebrem.

– Dostałaś jakieś dobre wieści?

Alice kiwnęła głową. Spojrzałam zachęcająco w jej młodą twarz.

– Dla pani może to być głupie – powiedziała – ale dostałam wiadomość, miłą wiadomość od chłopca, który mi się podoba.

– Nic w tym głupiego – odparłam. – Pamiętam. Pamiętam, jakie to było miłe.

Kiedy szliśmy do wyjścia, powiedziałam jej, że powinna dalej pisać. Zaśmiała się. Być może po raz pierwszy słyszałam jej śmiech. Na zewnątrz zbiegła po schodach, odwróciła się, żeby mi pomachać, i puściła się pędem. W głębi ulicy zwolniła, lecz jej radość była widoczna w sprężystym kroku.

Ten tytuł dał mi do myślenia. Perswazje. Matka czytała je na następne spotkanie klubu książki z pozostałymi Łabędzicami; zaprosiły mnie, Mię, Panią Utytułowaną, żebym powiedziała kilka słów wstępu. Historia miłości odroczonej, miłości odnalezionej, utraconej i odzyskanej. Bohaterce Austen perswaduje się, żeby z Niego zrezygnowała. Perswazja: wpływać, nakłaniać, poruszać, wymuszać, naciskać, ciążyć, przymilać się, przekonywać, praca słowami, najczęściej słowami, które działają na słabość, na słaby punkt. Języki mężczyzn aż się strzępią od miodopłynnych słówek, kiedy schlebiają oni kobietom,

żeby rozsunęły uda; gadki-szmatki, które łamią kobiecy opór. Przebiegłe kobiety przynaglają mężczyzn do popełniania zbrodni; chłodna, filmowa uwodzicielka z tycim rewolwerem o rękojeści z masy perłowej w torebce. W Dziewczynie Piętaszku Rosalind Russell warczy na Cary'ego Granta, jakby strzelała z karabinu maszynowego. Miłość jako wojna na słowa. Szeherazada mówi i dzięki temu przeżywa jeszcze jedną noc. Trubadurzy zabiegają o przychylność damy i dla niej śpiewają. Zdobędę ją słowami i muzyką. Przemienię ludzką anatomię w różę, gwiazdy i morza. Metaforą spreparuję ciało Lubej. Obsypię ją komplementami. Przywabię ją żartem. „Gdybym dość czasu i świata miał...”. Będę snuł opowieści. Przeżyję jeszcze jedną noc. Komedia kończą się małżeństwem, tragedie – śmiercią. Poza tym niewiele je różni. Na koniec Szeherazada zdobywa mężczyznę, który chciał ją zabić, lecz się w niej zadurzył. Anna Elliot zdobywa kapitana Wentwortha. Podsumowanie jest przemyślane. Liczy się odzyskanie go i poślubienie, ale Austen wie w duchu, że byli małżeństwem już wcześniej i przez sześć długich lat cierpieli pustkę rozstania. Ta opowieść o Mii i Borisie rozpoczyna się głęboko w małżeństwie, po latach seksu, rozmów i sporów. Jeżeli okaże się komedią, to na pewno taką z dziedziny Stanleya Cavella, komedią powtórzeń, historią małżonków, którzy znów się jednoczą. Filozof daje nam cięte wtrącenie: „Czy istoty ludzkie mogą się zmieniać? Dowcip i smutek komedii o ponownych małżeństwach mogą wynikać z faktu, że nie mamy dobrej odpowiedzi na to pytanie”.

Eleaci nie wierzyli w zmianę, w ruch. Kiedy rzecz przestaje być sobą, a staje się czymś innym? Diogenes chodzi w tę i z powrotem w milczeniu.

Czy możemy się zmieniać i pozostać tacy sami? Pamiętam. Powtarzam.

Drogi Borisie,

myślę o Tobie w kąpielu, palącym cygaro. Myślę o tamtym dniu w Berkeley, kiedy zepsuł Ci się suwak; było lato, nie miałeś na sobie bokserki, a musiałeś wygłosić prelekcję – wyłożyłeś na spodnie poły koszuli i modliłeś się, żeby nie zawiał jakiś wiaterek, który ukazałby ponad trzystu słuchaczom Twojego wacka; myślę o czasie, rozłamach

i interwałach, i o tym, że czasami nazywałeś mnie Rudą, Loczkiem i Płomienną Głową, a ja nazywałam Cię Oliem, kiedy Twój brzusek trochę się powiększył, a w łóżku Izcovichem Golasiczem; i to wszystko, oprócz tego, że Bonden nie jest takie złe, aczkolwiek nieco powolne i upalne. Czekam na odwiedzinę Bei, a potem Daisy; mama miewa się dobrze, myślałam też o Stefanie, ale o tych jasnych dniach, śmiechach, trzech muszkietierach w starym mieszkaniu przy Tompkins Place.

Z miłością,

Mia

Doktor S. rozmawiała ze mną o myśleniu magicznym. Miała rację. Nie możemy wymarzyć sobie światów tak, żeby stały się rzeczywiste. Wiele zależy od przypadku, od tego, czego nie możemy kontrolować, od innych. Nie powiedziała, że pisanie do Borisa było kiepskim pomysłem, ale ona nigdy niczego nie osądzała. To była jej magia.

Lola przyniosła mi kolczyki, dwa miniaturowe budynki Chryslera. Wcześniej powiedziałam jej, że to moja ulubiona budowla w Nowym Jorku, a ona wykonała jej dwie kopie z delikatnego złotego drucika. Trzymając je w dłoniach, nie mogłam powstrzymać myśli o innych wieżowcach tego miasta, tych, które były parą, bliźniętami, i smutek odebrał mi na chwilę mowę; potem jednak podziękowałam jej wylewnie i przymierzyłam je, a ona się uśmiechnęła. Patrząc na jej uśmiech, zdałam sobie sprawę, jaka jest spokojna, swobodna, niewzruszona, i że przyciągnęły mnie do niej właśnie te powiązane ze sobą cechy graniczące z rozleniwieniem. Wydawało mi się, że toczący się w jej głowie dyskurs także jest spokojny. Moja własna głowa była przechowalnią gadaniny, flux de mots niezliczonej liczby przeciwników, którzy spierali się, dyskutowali, przyszpilali się ciętymi ripostami i zaczęli wszystko od nowa. Czasami ten wewnętrzny rozgwar mnie męczył. Lola nie była jednak nijaka. Zdarzało mi się spotykać ludzi, którzy zanudzali mnie na śmierć, ponieważ wydawali się całkowicie pozbawieni wewnętrznego zastanowienia i refleksji (zadowoleni z siebie głupcy), a także innych, którzy, choć obdarzeni wewnętrzną zdolnością złożonego namysłu, żyli w hermetycznych pojemnikach, głusi na dialog

(inteligentni, lecz martwi). Lola nie należała do żadnej z tych kategorii i chociaż jej wypowiedzi nie były ani oryginalne, ani dowcipne, w jej ciele wyczuwałam przenikliwość, której brakowało jej mowie. Drobne zmiany wyrazu twarzy, nieznaczne ruchy palców lub wcześniej nieobecne napięcie ramion, kiedy do niej mówiłam, uświadamiały mi, jak uważnie słucha; wydawało się, że umie słuchać nawet wtedy, gdy poprawia szorty Florze czy zakłada czysty śliniak Simonowi. Podejrzewam, że wiedziała o moim podziwieniu dla niej i nie musiała się co do tego upewniać.

Podarowała mi budynki Chryslera w którąś sobotę, o ile się nie mylę, a to zdarza mi się często, jeżeli chodzi o dni i daty; pamiętam, że Simon spał przypięty w spacerówce, a Flora nie miała na głowie peruki. Początkowo ścisnęła ją mocno w ramionach, potem ssła grubą wiązkę nici, głęboko zamyślona nad jakąś sobie tylko znaną kwestią; nagle całkowicie porzuciła perukę i pobiegła do sypialni, żeby przyjrzeć się Buddzie profesora. Cała trójka wyglądała wyjątkowo czysto i schludnie. Wybierali się w odwiedziny do rodziców Loli w White Bear Lake. Kiedy podziwiałam stroje dzieci, Lola westchnęła i powiedziała:

– Żeby tylko tak zostało. Już sama nie wiem, ile razy po drodze Flora wylewała na siebie sok grejpfrutowy, Simonowi się ulewało, a ja zaczynałam się lepić. W samochodzie mam dla nich czyste ubrania.

Tego samego dnia Flora przedstawiła mnie Mokiemu. Gdy o nim opowiadała, kiwała się w tył i w przód, wydymała dolną wargę, krzywiła usta, kręciła głową i ciężko dyszała w przerwach między zdaniem.

– Dzisiaj był niegrzeczny. Zbyt głośny. Za dużo hałasu. I skoczny.

– Skoczny?

Flora uśmiechnęła się do mnie szeroko, a jej oczy błyszczały z podniecenia.

– Wskoczył na dom. A potem latał.

– Umie latać?

Gorliwie pokiwała głową.

– Ale nie szybko. Latał tak powoli.

Zademonstrowała, poruszając rękami i nogami, jakby pływała w powietrzu. Podeszła do mnie bardzo blisko i powiedziała:

– Wskoczył na sufit i na okno, i na samochód!

– Jejku – odparłam.

Trajkotała o nim dalej, a jej matka uśmiechała się. Musieli poczekać na Mokiego, ponieważ się guzdrał. Moki uwielbiał ciasteczka z wiórkami czekoladowymi, banany i lemoniadę, miał piękne, długie, jasne włosy. Był także silny i mógł dźwigać ciężkie przedmioty, „nawet ciężarówki!”.

Moki żył. Po ich wyjściu rozmyślałam przez jakiś czas o zmyślnym i rzeczywistym, o spełnieniu marzeń, fantazjach, o historiach, które opowiadamy sobie o nas samych. Okazuje się, że fikcja to domena bezkresna, jej granice są mgliste, nie ma pewności co do tego, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy. Kreślimy mapy naszych iluzji poprzez obopólną zgodę. Można bezpiecznie uznać, że mężczyzna, który wierzy, że emituje toksyczne promienie, ale jego otoczenia w najmniejszym stopniu nie dotykają żadne dolegliwości, cierpi na jakąś chorobę, i umieścić go na oddziale zamkniętym. Powiedzmy jednak, że fantazje tego mężczyzny są tak żywe, iż wpływają na jego sąsiada, który zaczyna cierpieć na bóle głowy i wymiotować, co kończy się zaraźliwą histerią i wymiotuje już całe miasto – czyż nie ma tu jakieś wieloznaczności? Wymioty są prawdziwe. Myślałam o obłąkanych kobietach, rzucających się i zadających sobie rany na cmentarzu przy kościele Świętego Medarda, ich przerażających deliriach i konwulsjach, ohydnych przyjemnościach, o ich cudownym buncie wobec wszystkiego. A co ja myślałam w okresie mojego szaleństwa? Myślałam, że Boris, w porozumieniu z „nimi” wystąpił przeciwko mnie, i tak, to była iluzja, ale czy nie był to również ryk protestu przeciw temu, co mi się przydarza, okrzyk serca, żeby mnie naprawdę zauważono, zamiast grzebać w komunałach i mirażach pragnień innych ludzi, pogrzebać aż po szyję, jak nieszczęsną Winnie. Beckett wiedział. Czyż to nie „oni” wypaczyli mnie wraz z moją ukartowaną grą? Ibsenowska Nora tańczy tarantelę, ale to wymknęło się spod kontroli. To zbyt gwałtowne. Abigail ukrywa swój odkurzacz, który wciąga miasteczko. To zbyt gwałtowne. Po brwiach mojego ojca poznaję, że to nie do przyjęcia, po ustach mojej matki – że to niewłaściwe, po marsowej minie Borisa – że jestem zbyt głośna, zbyt zaciekle. Jestem zbyt gwałtowna. Jestem Mokim. Wskakuję na dom, ale nie potrafię latać.

Szczerze wierzę, że jedyną osobą, która dwudziestego trzeciego marca 1998 roku widziała mojego wacka, byłaś Ty.

Boris

Czytając te słowa, uśmiechnęłam się. Oczywiście, on pamiętał tę datę. Jego mózg to jakiś cholerny kalendarz. Ucieszyłam się, że zapamiętał, iż z zapalem zajęłam się rozpiętym rozporkiem i samym żołnierzykiem, który stanął na baczność, gdy tylko wydałam rozkaz. Ach, wacusiu, cóż ty teraz porabiasz? Skąd nagle ta samowolka, stary kumplu? Pewnie, nigdy nie byłeś najbystrzejszy. Jak wszyscy twoi bracia, byłeś czymś niewiele ważniejszym od bezrozumnego narzędzia, które służy krokodylemu mózgowi swojego właściciela. A jednak nie mogę przestać pytać: Gdzieżeś teraz, mój stary druhu?

Już wkrótce, mówisz, dotrzemy do zjazdu lub rozwidlenia. Będzie Akcja. Będzie coś więcej niż personifikacja jakże drogiego podstarzałego penisa, więcej niż ekstrawaganckie skoki na ten czy inny temat, więcej niż obecności, Państwo Nikt, Wymyśleni Przyjaciele czy zmarli, Przerwy, ludzie w sytuacjach prywatnych albo, na litość boską, jedna z tych staruszek lub młodocianych poetek, łagodna młoda sąsiadka, stojąca na krawędzi czwartych urodzin wersji Harpo Marxa, a nawet więcej od tego, że maleńki Simon coś zrobi. Obiecuję, że coś zrobią. Coś się tam pichci, o tak, gotuje się jakaś czarcia potrawka. Wiem, bo już to przeżyłam. Zanim jednak do tego dojdę, chcę ci powiedzieć, Dobry Człowieku, że jeżeli jesteś tu w tej chwili ze mną, na tej stronie, czyli dotarłeś do tego akapitu, nie poddałeś się i nie rzuciłeś mnie, Mii, że aż przeleciałam przez cały pokój, a nawet jeśli tak, to zacząłeś się zastanawiać, czy coś się jednak wkrótce nie wydarzy, powróciłeś do mnie i nadal czytasz, to pragnę wyciągnąć do ciebie ręce, ująć twój twarz w obie dłonie i obsypać cię pocałunkami, całować twoje policzki, podbródek, każdy punkt na czole, a ostatni całus złożyć na grzbiecie twojego nosa (o różnych kształtach), ponieważ jestem twoja, cała twoja.

Chciałam tylko, żebyś to wiedział.

Alice nie przyszła na warsztaty. Było ich tylko sześć, a kiedy zapytałam, czy któraś z nich wie, czy Alice zachorowała, Ashley podrzuciła, że może chodzi o alergię; Alice była mocno uczulona na wiele substancji, co wywołało u nich chichot, chwilowe zarażenie humorem, a ja miałam sposobność zadać pytanie.

– Alergie was śmieszają? – zapytałam.

Dziewczęta zamilkły i w ten sposób przeskoczyliśmy do Stevensa i Roethkego i tego, co to znaczy naprawdę patrzeć na coś, na cokolwiek, i jak po chwili ta rzecz staje się coraz bardziej obca; skierowałam ich uwagę na fenomenologów, poleciłam wpatrywać się w ołówki i gumki do ścierania, paczkę moich chusteczek i komórkę, a potem pisałyśmy o patrzeniu, rzeczach i świetle.

Po zajęciach Ashley, Emma, Nikki i kolejne wcielenie Nikki, Joan, przekazały mi informację, że Alice była ostatnio trochę „dziwna” i „zaledwie wczoraj zrobiła scenę, bo nie poznała się na żarcie”. Kiedy zapytałam, jaki to był żart, Peyton zmieszała się i uciekła wzrokiem w bok. Jessie powiedziała swoim cienkim, cichym głosem, że do tej pory powinnam się już zorientować, iż Alice jest „jakaś inna”.

Brnęłam dalej, stwierdzając, że Alice to Alice, i nie wiadomo mi o żadnych szczególnych i niepokojących różnicach. Wszyscy mamy swoje dziwactwa; zaryzykowałam stwierdzenie, że podczas ostatnich warsztatów wydawała się mieć „świetny nastrój” (nie wyznałam jednak, że znam jego przyczynę) i napisała zabawny wiersz, jestem więc zaskoczona, że nie poznała się na żarcie.

Ashley ssła miętówkę lub landrynkę, obserwowałam, jak porusza wargami, przesuwając pastylkę w ustach; jej wzrok był zamyślony.

– Ona bierze jakieś prochy na nastrój, no wiecie, bo jest trochę... – Ashley wykonała ruch, jakby żonglowała w powietrzu piłeczkami.

– Nie wiedziałam – odezwała się głośno Peyton.

– To znaczy ma ADHD? – zapytała Nikki.

– Nie mówiła, jak to się nazywa, coś tam... – odparła Ashley; jej oczy były zamglone.

– Połowa szkoły coś bierze, Ritalin albo coś innego – oświadczyła Peyton. – Wielkie rzeczy.

Dostrzegłam, że Emma rzuciła Peyton twarde, pełne dezaprobaty spojrzenie. Emma nie była subtelna.

Oświecenie w temacie Alice nie nadchodziło. Uśmiechnęłam się do zebranej wokół mnie grupki i powiedziałam bardzo powoli:

– Może niełatwo w to uwierzyć, ale ja też byłam kiedyś młoda, a co więcej, pamiętam swoją młodość. Właściwie pamiętam nawet, jak byłam dokładnie w waszym wieku, i pamiętam też żarty.

To była filmowa scena i miałam tego pełną świadomość. Zrobiłam, co mogłam, żeby przybrać minę wszystkowiedzącej, apodyktycznej, dobrej nauczycielki uwielbianej przez uczniów, krzyżówki pana Chipsa i panny Jean Brodie, po czym zatrzasnęłam tomik Theodore’a Roethkego, wstałam i ruszyłam do wyjścia. W filmie kamera podążałaby za moimi plecami do drzwi, moje szpilki – w rzeczywistości sandały – stukałyby energicznie o deski podłogi, a potem zatrzymałabym się, tylko na moment, i odwróciła, żeby spojrzeć przez ramię. Kamera jest teraz blisko. Widać tylko moją twarz, a na ekranie jest ona ogromna, może na trzy metry. Uśmiecham się do was, widzów, ponownie odwracam i drzwi zamykają się za mną z głośnym, podkreślonym szczęknięciem.

Z Abigail było chyba coś nie tak. Matka siedziała przy niej na kanapie, głaszcząc ją po plecach. Regina wydawała dźwięki: staccato piskliwych szlochów.

– Upadła – powiedziała do mnie matka z pobielającą twarzą. – Przed chwilą.

Abigail ze zdeorientowanym wyrazem twarzy przyglądała się swoim kolanom. Poczułam skurcz strachu. Pochyliłam się nad nią, ujęłam jej dłoń i zadałam wszystkie zwyczajowe pytania, rozpoczynając od „Czy wszystko w porządku?”, a następnie przechodząc do szczegółów na temat bólu i dziwnych odczuć. Nie odpowiedziała, patrzyła tylko twardo w dół, a potem zaczęła powoli potrząsać głową.

Regina zamachała rękami w powietrzu i oznajmiła zdławionym głosem:

– Natychmiast wzywam pomoc. W tej chwili idę do łazienki, żeby pociągnąć za sznurek alarmowy. Ona nie może mówić. Mój Boże.

Muszę zadzwonić do Nigela. On będzie wiedział, co robić.

(Nigel to był jej Anglik, a co konkretnie mógłby zrobić w Leeds dla Abigail w Bonden, pozostawało tajemnicą znaną tylko Reginie).

Abigail odwróciła głowę w kierunku spanikowanej przyjaciółki i rzuciła głośno i pewnie:

– Przymknij się, Regino. Niech ktoś mi pomoże poprawić biustonosz, zanim się uduszę.

Regina wyglądała na urażoną. Splotła dłonie i opadła na kanapę, a na jej ciągle uderzająco urodziwej twarzy pojawił się wytworny grymas.

Udało mi się razem z matką obciągnąć złośliwą część garderoby, która w ogólnym zamieszaniu podsunęła się do góry, i usadzić naszą przyjaciółkę na kanapie.

– Abigail – odezwała się matka – tak się wystraszyłam.

W Rolling Meadows panował powszechny strach przed upadkami. Niektórzy ludzie, jak George, już się nie podnosili. Łamały się biodra, pękały kostki i już nigdy nie były takie jak wcześniej. Stare kości. To, że Abigail nie połamała żadnego fragmentu swojego delikatnego szkieletu, było dla mnie nadzwyczajne. Później dowiedziałam się, że moja matka, być może nierozważnie, zamortyzowała upadek własnym ciałem, zamieniając go w powolne osunięcie.

W pewnym momencie rozmowy, która nastąpiła później, zorientowałam się, że Abigail poczuła się znacznie lepiej, ponieważ zaczęła dawać mi znaki, wpatrując się badawczo w swoje udo i poruszając brwiami. Nie miałam pojęcia, o co jej chodzi, aż zauważyłam, że trzyma ręce w kieszeniach swojej haftowanej sukienki i eksponuje fragmenty ich czerwonej podszywki. Ta kobieta miała na sobie jedną z tajemnych przyjemności. Ukryła w kieszeniach jakieś wywrotowe przesłanie, erotyczny haft lub inny sekret, stworzony bez wątpienia wiele lat wcześniej. Zasygnalizowałam jej milcząco, że pojęłam, iż suknia naładowana jest kolejną tkaniną z jej prywatnego arsenału; najwyraźniej nasze ciche porozumienie sprawiło Abigail prawdziwą radość, bo uśmiechnęła się chytrze i jeszcze kilkakrotnie uniosła brwi, aby potwierdzić nasz spisek. Potem przybyła Peg, która po wysłuchaniu całej historii zareagowała jak najbardziej w zgodzie ze

swoją naturą, obwołując Abigail „błogosławioną”, a moją matkę „bohaterką” (matka kategorycznie odrzucała to określenie, lecz najwyraźniej sprawiało jej przyjemność), a następnie przeszła do Robina Womacka, gwiazdy telewizji lokalnej, obdarzonej bujną czupryną. Swój pean zakończyła stwierdzeniem: „Mógłby kłaść buty na moim łóżku, kiedy by tylko chciał!”. Nawiązanie do butów wydało mi się zbyteczne, ale pozwolenie to wyraźnie wskazywało na jej sympatię dla Womacka i jego wspaniałej fryzury.

Nie jestem do końca pewna, jak zeszliśmy na temat poezji, ale Łabędzice zaczęły czule wspominać ukochane wersy z młodości. Peg płynęła po niebie samotnie jak obłok, a moja matka odczytała na głos Czytelnika Wallace’a Stevensa. Na jego stronie nie ma słów, są tylko „smugi płonących gwiazd / na mroźnym firmamencie”. Regina wspomniała nieśmiertelne amerykańskie „drzewo” Joyce’a Kilmera, ja zaś zacytowałam utwór Haiku Rona Padgetta. „Szybko poszło. / Mam na myśli – życie”. Ten wiersz zawsze śmieszył mnie do łez, ale żadna z Łabędzic nie wydała nawet najcichszego chichotu czy prychnięcia. Moja matka uśmiechnęła się smutno. Abigail pokiwała głową. W oczach Peg chyba załśniły wspomnienia. Regina wydawała się bliska płaczu, a potem wyraziła nadzieję, że nie dałam dziewczętom „tego wiersza”, na co odparłam, że nic by z tego nie wynikło, ponieważ w ich wieku życie jest naprawdę długie. Czas to kwestia zarówno procentów, jak i wiary. Jeżeli pół życia temu byłeś sześć- lub siedmiolatkiem, to lata te są dłuższe niż pięćdziesiąt lat dla stulatka, ponieważ młodzież odczuwa przyszłość jako nieskończoną i zazwyczaj uważa dorosłych za przedstawicieli obcego gatunku. Tylko ludzie wiekowi mają dostęp do krótkotrwałości życia.

Następnie Regina poinformowała mnie mętym językiem irytującej ogólnikowości, że coś „stało się” jednej z dziewcząt z mojej grupy. Absolutnie nie umiała przypomnieć sobie imienia tej dziewczynki.

– Może Lucy, nie, Janet, nie, też nie.

Mniejsza o imię, Regina słyszała od szwagra Adriana Bortwaffle’a, który jest bliskim znajomym Tony’ego Rosterhausa (związki Tony’ego z moją grupą pozostawały absolutną niewiadomą zarówno dla mnie, jak

i dla Reginy), że zdarzył się jakiś wypadek i dziewczyna spędziła noc w szpitalu.

Czasami kruchość wszystkich istot żywych staje się tak oczywista, że zaczynamy oczekiwać jakiegoś wstrząsu, załamania lub pęknięcia, które może nastąpić w każdej chwili. Pozostawałam w tym stanie, od kiedy porzucił mnie Boris, i moje nerwy eksplodowały – nie, to stało się jeszcze wcześniej, po samobójstwie Stefana. Nie istnieje przyszłość bez przeszłości, ponieważ to, co nastąpi, nie może być wyobrażone, chyba że jako forma powtórzenia. Zaczęłam oczekiwać nieszczęść.

Razem z matką odprowadziłyśmy Abigail do jej mieszkania, po czym pomogłyśmy jej umościć się na kanapie. Kilkakrotnie kazała nam „przestać wydziwiać”, ale w jej twarzy wyczytałam ulgę, że nie jest sama, jeszcze nie jest sama. Obiecała, że zobaczy się ze swoim lekarzem, i ucałowała nas obie, zanim wyszłyśmy.

Tego samego wieczoru zobaczyłam wielobarwny siniak, jaki wykwitł matce na boku, gdy ratowała przyjaciółkę przed upadkiem. Musiała mocno uderzyć w balkonik, który dostał się między nie.

– Nie wspominaj o tym Abigail – powiedziała matka.

Powtórzyła to kilkakrotnie. Przynurzałam jej to, również po wielekroć. Siedziałyśmy w salonie, a ja czułam ciszę tego budynku, prawie milczącego, z wyjątkiem odległych dźwięków telewizora.

– Mio – powiedziała tuż przed moim wyjściem – chcę, żebyś wiedziała, że zrobiłabym to wszystko jeszcze raz.

Czasami moja matka zachowywała się, jakbym miała dostęp do jej myśli.

– Co, mamo?

Wyglądała na zaskoczoną.

– Poślubiłabym twojego ojca.

– Masz na myśli, pomimo różnic między wami?

– Tak, byłoby miło, gdyby okazał się trochę inny, ale się nie okazał, było jednak tyle dobrych chwil obok tych złych, i czasami właśnie ta rzecz, którą chciałam w nim kiedyś zmienić jednego dnia, umożliwiała inną rzecz, dobrą, a nie złą, drugiego dnia, jeżeli mnie rozumiesz.

– Na przykład?

– Jego poczucie obowiązku, honor, prawość. Jednego dnia miałam ochotę wycić, a następnego mogłam być dumna z tego samego powodu.

– Tak – powiedziałam. – Rozumiem.

– Chcę ci powiedzieć, jak dobrze jest mieć cię przy sobie, jaka jestem szczęśliwa. Dobrze się bawię. Tutaj bywa się raczej samotnym, a ty jesteś moim szczęściem, pocieszeniem, moją przyjaciółką.

Ta dość oficjalna przemowa ucieszyła mnie, ale w krztynie ceremonialności wyczułam nieodmiennie obecne ukłucie czasu. Matka była stara. Jutro może się przewrócić lub nagle zachorować. Jutro może już nie żyć. Kiedy rozstawaliśmy się przy drzwiach, moja mała matka miała na sobie bawełnianą piżamę w kwiaty. Spodnie wydymały się wokół jej drobnych ud i kończyły się tuż nad guzami chudych kostek. W ramionach trzymała termofor w kolorze wątroby.

Daisy napisała:

Droga Mamo,

spotkałam się z Tatą na lunchu, nie wyglądał zbyt dobrze. Koszulę miał całą w plamach, śmierdział jak popielniczka i był nieogolony. To znaczy wiem, że czasem odpuszcza sobie przez parę dni, ale wyglądał, jakby nie golił się od tygodnia, a nawet gorzej, pomyślałam, że przed naszym spotkaniem mógł płakać. Powiedziałam mu, że źle wygląda, jak kłozard, ale tylko powtarzał, że wszystko z nim w porządku. Wszystko w porządku, wszystko okej. Pan Zaprzeczanie. Co o tym sądzisz? Powinnam dalej próbować z nim rozmawiać? Wysłać za nim detektywa? Już niedługo Cię zobaczę, Mamuśko!

*Mocne całusy od Twojej oszołomionej i nadal rozczarowanej Taty
Daisy*

Odpowiedziałam:

Twój ojciec nie mógł płakać. On płacze tylko na filmach. Ale pilnuj go.

Całuję, mama

Znałam Borisa może od tygodnia, gdy zabrał mnie do kina Thalia na rogu Dziewięćdziesiątej Piątej i Broadwayu, na Drzewko na Brooklynie Elii Kazana. W filmie jest taki moment, gdy młoda bohaterka, w którą wciela się Peggy Ann Garner, przychodzi do zakładu fryzjerskiego, żeby odzyskać przybory do golenia swojego zmarłego ojca. To wstrząsająca scena. Dziewczynka uwielbiała swojego zapijaczonego, sentymentalnego ojca, pełnego fałszywych nadziei i nierealnych marzeń, i jego utrata była dla niej ogromnym ciosem. Nie wydaje mi się, żeby Boris pociągał nosem, chociaż mogło się to zdarzyć, w każdym razie z jakiegoś powodu odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć. Mężczyzna obok mnie zalewał się łzami, których strumienie spływały nieprzerwanie na podbródek i koszulę. Ta demonstracja uczuć tak mnie zaskoczyła, że taktownie ją zignorowałam. Później zrozumiałam, że Boris reagował znacznie bardziej bezpośrednio na bodźce niebezpośrednie, to znaczy jego prawdziwe emocje ujawniały się tylko w konfrontacji z czymś nieprawdziwym. Wielokrotnie siedziałam obok niego z suchymi oczami, a on szlochał i płakał nad aktorami na ogromnym płaskim ekranie. Nigdy, przenigdy nie widziałam go płaczącego w tak zwanym realnym świecie, ani nad Stefanem, ani nad matką, ani nade mną, ani nad Daisy czy nad zmarłymi przyjaciółmi lub jakąkolwiek inną istotą ludzką, która nie była z celulozoidu. Z tego powodu wstrząsnęła mną dziwnie przerażająca myśl, że Boris się zmienił, że, o ile nie spotkał się z Daisy po jakimś filmie (co wydawało się mało prawdopodobne, ponieważ cały czas pracował, a w ostatnich latach filmy oglądał głównie na dvd), Przerwa mogła odmienić głęboką strukturę charakteru Borisa. Czy płakał z jej powodu, Francuzki poszukującej nowych neuropeptydów? Czy dla niej mur runął?

Nikt nie zostawiał kamienia na kamieniu. Nikt rozumiał Nikogo – to była istota problemu. Nasza dwójka potknęła się na „ciężkim zagadnieniu”: świadomości. Czym jest? Czemu ją mamy? Mój wysoce świadomy korespondent atakował monumentalne bzdury scjentyzmu i atomizację procesów, które są najwyraźniej nierozłączne, „prąd, zalew, fala, strumień, a nie seria nieelastycznych, wyrazistych kamyków ułożonych w rzędki! Byle głupek by na to wpadł. Poczytaj swojego Williama Jamesa, tego Wspaniałego Melancholika!”. Nikt, Thomas Bernhard filozofii, pozwalał sobie na przepełnione żółcią ataki wściekłości, które miały na mnie dziwnie uspokajający wpływ. Ja także kochałam Wspaniałego Melancholika, ale zbliżałam go do strumienia Plutarcha, greckiego kpiarza, który w piśmie O koncepcjach powszechnych pomstował na stoików:

Wszystkie substancje indywidualne znajdują się w strumieniu i ruchu, pozbywają się elementów samych siebie i otrzymują elementy cudze.

Liczby i ilości, które osiągają i od których wychodzą, nie pozostają takie same, lecz zmieniają się, gdy substancja akceptuje transformację wraz ze wspomnianymi ruchami od i do.

To źle, że zwyczajowo upowszechniono nazywanie tych zmian wzrostem i uszczupleniem. Zamiast tego właściwiej byłoby nazywać je kreacją i destrukcją (phthorai), ponieważ wypierają jedne elementy swojej utrwalonej natury, przyjmując inne, podczas gdy wzrost i uszczuplenie następują w przypadku ciał, które leżą u podłoża zmian i trwają po ich nastąpieniu.

Stare dzieje. Kiedy jedna rzecz staje się drugą? Po czym to poznać? Nikt atakował także Borisa jako naiwnego człowieka, którego pojęcie jestestwa podświadomego lub pierwotnego jest absurdalne, błędne. „Nie można umieszczać jestestwa w sieciach neuronowych!”. Broniałam wyobcowanego członka mojej rodziny z niejakim zapałem, argumentując, że jestestwo jest z pewnością terminem elastycznym, ale

Boris całkiem wyraźnie sprecyzował, o co mu chodzi – mówił o leżącym u podłoża systemie biologicznym, koniecznym dla jestestwa. Według mojego niewidzialnego kompana nie tylko Boris, ale także wszyscy inni zadawali niewłaściwe pytania, z wyjątkiem samego Nikogo, osamotnionego rzecznika syntetycznej wizji, która mogłaby zjednoczyć wszystkie dziedziny, oraz kultury eksperckiej i myśli o powrocie do „tańca i zabawy”. Był utopijnym nihilistą, i to utopijnym nihilistą w fazie maniakalnej. Ciągłe wydawało mi się, że tak naprawdę przydałby mu się długi, solidny masaż głowy. A jednak zapytałam samą siebie w duchu, czy podczas mojego szaleństwa byłam, czy nie byłam sobą. Kiedy jedna osoba staje się drugą?

Czy pamiętasz – pisałam do Borisa – ten wieczór dwa lata temu, gdy zdaliśmy sobie sprawę, że właśnie przyszła nam do głowy dokładnie ta sama myśl, i to wcale nie jakaś oczywista, ale dość ekscentryczna idea, którą wykreował wspólny katalizator, a Ty powiedziałeś do mnie: „Wiesz, gdybyśmy żyli ze sobą jeszcze przez sto lat, stalibyśmy się jedną osobą”?

Ton amie, Mia

Gdy Alice nie pojawiła się na zajęciach, a ja poprosiłam o wyjaśnienia, dziewczyny udawały głupie, a przynajmniej takie odniosłam wrażenie. Nie wiedziałam, czy plotka o szpitalu jest prawdziwa, a utrwalanie jej wydawało się niemądre, skierowałam się więc do źródła. Zadzwoiłam do domu Alice, odebrała jej matka, która powiedziała mi, że Alice zachorowała, miała silne bóle żołądka i niezwłocznie zabrano ją do szpitala, ale lekarze niczego nie znaleźli i po nocnej obserwacji odesłali ją do domu. Kiedy zapytałam, jak czuje się córka, odparła, że bóle chyba minęły, ale jest apatyczna i przygaszona i odmówiła powrotu na warsztaty. Jak najdelikatniej przekazałam jej, że wśród dziewcząt mówiło się o jakimś „zarcie” na temat Alice i to mnie zmartwiło. Chciałam porozmawiać z Alice. Pomyślałam, że kobieta jest uprzejma, a nawet przejęta; w jej głosie wychwyciłam tę szczególną nutę matczynej obawy, opartej nie na dowodach, ale na przeczuciu.

Alice nie wstała, żeby się ze mną przywitać. Wprowadzono mnie do jej nienaturalnie schludnego bladoniebieskiego pokoju, w którym leżała na bladoniebieskiej narzucie pokrytej białymi cumulusami i wpatrywała się w sufit; skrzyżowała ręce na piersi jak zwłoki, które przygotowano do pogrzebu. Przysunęłam sobie krzesło do łóżka, usiadłam i słuchałam, jak jej matka dyskretnie przymyka za sobą drzwi. Twarz dziewczyny przypominała maskę. Kiedy do niej mówiłam, w jej ciele nie drgnął ani jeden mięsień. Powiedziałam, że brakowało nam jej na zajęciach, że bez niej to już nie to samo, że jest mi przykro z powodu jej choroby, ale mam nadzieję, że powróci wkrótce, jak tylko wyzdrowieje.

Nie odwracając głowy, żeby na mnie spojrzeć, powiedziała do sufitu:

– Nie mogę wrócić.

Odkryłam, że milczenie jest równie interesujące jak mówienie. To fascynujące, dlaczego mowa, ta krótka podróż werbalna z wnętrza na zewnątrz, może być w pewnych okolicznościach tak nieznośna. Naciskałam, życzliwie, ale naciskałam. Alice tylko potrząsała głową. Wtedy wspomniałam o „żarcie”, a na jej twarzy pojawił się wyraz cierpienia. Usta znikły, gdy przygryzła wargi, z oczu popłynęły łzy, które nie znalazły ujścia, ponieważ leżała na wznak. Wsiąkły w skórę policzków.

Zostawimy Alice z błyszczącymi policzkami, leżącą na narzucie z chmurami. Pozwolimy sobie na chwilę oddechu, ponieważ opuściłam swoje ciało na co najmniej pół godziny, chociaż moja powłoka nadal tam siedziała. Odbyłam duchowy spacer. Nie jest łatwo mówić do trzynastolatki, która nie chce z nami rozmawiać, a jeżeli nawet chciałaby, to trzeba ją wabić, namawiać i naciągać, żeby wydobyć z niej kilka bezcennych wypowiedzi, które pomogą w rozwikłaniu tajemniczej zbrodni. Mówiąc szczerze, jest to nieco nużące, obędziemy się więc bez długiej i męczącej pracy wydobywania słów z dziewczynki i powrócimy, gdy je już wypowie.

* * *

Nie umiem wyjaśnić, dlaczego pomyślałam o tym erotycznym wybuchu. Chmury, łóżko, światło wpadające tego popołudnia przez okno pokoju dziewczyny, gęsty opar letniej iluminacji – przyczyną mogła być jedna rzecz lub one wszystkie. Boris towarzyszył mi na festiwalu poetyckim, gdzie czytałam grupce dwudziestu osób (całkiem nieźle, pomyślałam), a potem spacerowaliśmy po San Francisco w mglistym powietrzu. Znajoma poetka poleciła mi masażystę, mężczyznę o niezwykłych umiejętnościach, odmieniającego ciała ludzkie parą własnych rąk. Była to kusząca myśl dla osoby, której wypchana po brzegi, rozgorączkowana głowa od czasu do czasu zapominała o leżącym daleko w dole ciele. Mężczyzna nazywał się Bedgood¹. Archibald Bedgood. Nie zmyślam. Być może całe przedsięwzięcie rozpoczęło się od jego nazwiska. Nigdy nic nie wiadomo. W każdym razie, podczas gdy Boris czekał za kulisami (w relaksującym pomieszczeniu z muzyką w stylu New Age, której zadaniem było zrobienie somnambulików ze wszystkich istot ludzkich), ja ułożyłam się naga, z tyłkiem okrytym ręcznikiem i – szczerze mówiąc – z pewnymi obawami, na leżance Bedgooda, a on rozpoczął masaż. Był metodyczny i obyczajny – za sprawą jakiejś magicznej sztuczki ręcznik ani przez chwilę nie utracił swojej funkcji skromnego okrycia. Każdą częścią ciała zajmował się osobno: kończynami, stopami i dłońmi, plecami i głową, a na koniec nawet twarzą. Nie miałam żadnych seksualnych skojarzeń, myśli erotycznych ani fantazji. Nie przypominam sobie żadnych swoich myśli, a po półtorej godziny Bedgood zmienił mnie w galaretę. Mia zaginęła w toku działań bojowych. Osoba, która wyłoniła się z gabinetu masażysty i odnalazła pochrapującego na miękkiej różowej kanapce Borisa, była odmieniona, dokładnie tak, jak obiecywała reklama. Wyrzeźbiono z niej istotę bezwładną, pustogłową, lecz całkowicie ogarniętą euforią. Po zerwaniu się Izcovicha z pastelowej sofy ta przemieniona persona (która zasługiwała na nowe imię: Fifi, Didi, Cukiereczek lub po prostu Laleczka) oddaliła się niespiesznie, ramię w ramię ze swoim Małżonkiem, ku hotelowi Poezja, i to właśnie tam, na nieco zbyt miękkim łóżku, zostałam (lub ona

została) rozdarta, rozbita na pływające fragmenty i powieszona do rajy cztery razy z rzędu.

To doświadczenie wymaga komentarza, którego ani jedno słowo nie niesie konwencjonalnego romantycznego przesłania. Po staraniach Bedgooda każdy człowiek – nie, poprawka – każdy człowiek, ptak, zwierzę, a nawet obiekt nieożywiony (byle nie zimny) mógłby wysłać mnie w lot ku wyższym dziedzinom doświadczenia erotycznego. Płyń z tego lekcja, że całkowite rozluźnienie sprzyja przyjemności, a całkowite rozluźnienie to stan niemal bezgranicznego otwarcia na wszystko, co może nadejść. Jest to również wolność od myślenia. Zaczęłam się zastanawiać, czy istnieją ludzie, którzy idą przez życie na luzie, swobodni, przez większość czasu niemal obojętni, czy gdzieś tam funkcjonują Laleczki, pozostające w rodzaju permanentnego uniesienia zmysłowego. Czytałam kiedyś o kobiecie, która regularnie przeżywała orgazmy podczas mycia zębów; to doniesienie mnie zadziwiło, ale po Bedgoodzie zaczęło nabierać sensu. Szczoteczka do zębów mogłaby załatwić sprawę.

Zaledwie kilka lat temu, gdy uczestniczyłam w dyskusji na temat seksu i mózgu, wpadłam w osłupienie, kiedy jeden z kolegów Borisa zapewnił mnie, że w królestwie zwierząt – czy też w żeńskiej części królestwa zwierząt, innymi słowy, w dziedzinie monarchii – tylko ludzkie kobiety doświadczają orgazmu. Gdy wyraziłam zdziwienie, Boris i pięciu zgromadzonych wokół stołu badaczy potwierdziło słowa doktora Broodera. My, dwunożne, byłyśmy do tego zdolne, ale inne zwierzęta – nie. Oczywiście w przypadku samców jurność obejmowała całą drabinę ssaków. Samcze pobudzenie ma głębokie korzenie biologiczne; u kobiet to po prostu fuks, przypadek. Z czysto psychologicznego punktu widzenia ten absurd mnie uderzył. Moje siostry naczelne, z którymi dzieliłam tak wiele cech, zalet i przywar, nie czerpały z seksu żadnej przyjemności! Co to oznaczało? Pośród naszych czworonożnych kuzynów tylko samce doświadczały radości? Gdy przedstawiałam swoje racje, Boris rzucił mi gniewne spojrzenie z drugiego końca stołu (zaproszono mnie jako gościa specjalnego). Po przeczytaniu dwóch książek i kilku artykułów stwierdziłam, że zadowolona z siebie szóstka była całkowicie w błędzie, co oczywiście

oznaczało, że absolutną rację miałam ja. W roku 1971 Frances Burton potwierdziła występowanie orgazmów u czterech spośród pięciu samic rezusa ze swojego laboratorium. Samice makaka niedźwiedziego regularnie doświadczały orgazmów, ale najczęściej z innymi samicami, nie z samcami, a gdy to następowało, małpie damy krzyczały zupełnie tak jak my. Alan F. Dixson, autor pracy *Primate Sexuality: Comparative Studies of Prosimians, Monkeys, Apes, and Human Beings* (Seksualność naczelnych: studium porównawcze małpiatek, małp, małp człekokształtnych i istot ludzkich), pisze, że wyrażają swój zachwyty dźwiękami przypominającymi „Ho, ho, ho” Świętego Mikołaja. Użyłam tych trzech werbalnych wytrysków, gdy skonfrontowałam staruszkę z moimi dowodami.

– Ho! Ho! Ho! – zakrzyknęłam, ciskając na stół dwa tomiszczą i sześć artykułów, wszystkie poznaczone samoprzylepnymi karteczkami.

Mógłbyś zapytać, dlaczego teoria braku przyjemności u człekokształtnych dziewczyn stała się tak słynna, że wszystkich sześciu facetów przy stole łyknęło ją automatycznie, chociaż rzeczony naczelnie mają łechtaczki jak wszystkie samice ssaków? Onan, jak pamiętasz z poprzednich stron, został ukarany za marnowanie nasienia. Miał nie rozlewać go na ziemię, lecz gdzieś je umieścić – w kobiecie. To jest argument w stylu: kto nie marnuje, temu nie brakuje (dzieci). W odróżnieniu od Onana, który nie może nikogo zapłodnić bez orgazmu, hipotetyczna kobieta Onana (ta, w której nasienie ma się znaleźć) może począć bez wielkiego O!; ten fakt stwierdził już Arystoteles, ale w ciągu stuleci o nim zapomniano. W roku 1559 łechtaczkę (*dulcedo amoris*) odkrył Kolumb – oczywiście inny Kolumb – Realdo Columbus. Zaniósł go do niej żagle podczas jednej z wypraw anatomicznych, chociaż Gabriele Falloppio zwalczał to twierdzenie, utrzymując, że to on pierwszy zobaczył ten wzgórek. Niech mi będzie wolno wskazać analogię między dwoma Kolumbami odkrywcami, Krzysztofem i Realdem. Ich rozdzielone niecałym stuleciem rewelacje, pierwszego o korpusie łądu, drugiego o części ciała, cechuje dobrze znana, nieposkromiona pycha o hierarchicznej perspektywie. W przypadku nowego świata spoglądającym w dół jest Europejczyk. W przypadku łechtaczki jest to mężczyzna. Obaj przez tysiące lat żyli na ziemiach

„Nowego Świata” i ośmielam się twierdzić, że te „odkrycia” wprawiłyby większość kobiet w osłupienie. Trzeba powiedzieć, że łechtaczka pozostaje darwinowską zagadką. Skoro nie jest potrzebna do poczęcia, to po co istnieje? Jest przystosowawcza czy nie? Teoria małego, przywiedłego penisa (nieprzystosowawczego) ma długą historię. Gould i Lewontin twierdzą, że łechtaczka jest – jak sutki u mężczyzny – pozostałością anatomiczną. Inni się temu sprzeciwiają; guziczek rozkoszy musi służyć jakiemuś ewolucyjnemu celowi. Walki są krwawe. Ja jednak zapytam, co znaczą przystosowawczość i rozmiar, skoro błogosławiony element pełni swoje funkcje? Zanim powrócimy do naszej opowieści, zostawię cię z wiekopomnymi słowami Jane Sharp, siedemnastowiecznej Angielki, praktykującej akuszerki, która o łechtaczce napisała: „Staje i opada niczym jard, czyni kobiety lubieżnymi i pozwala im czerpać rozkosz z kopulacji”. (Kobietom i, jak twierdzą, ich siostrom małpiatkom oraz – co wymaga dalszych badań – prawdopodobnie także innym samicom ssaków. I jeszcze dodatkowy komentarz: Czy siedemnastowieczne użycie jednostki miary, jardu, na określenie penisa nie wydaje ci się lekką przesadą? Chyba że ówczesny jard nie miał takiej długości jak obecny).

Wzgórek Rozkoszy wyziera zza krzaczka,
Kolumb zastygł i pyta: „A cóż to?”
Guziczek? odwłok robaczka?
Może jakaś anomalia?
Nie, głupcze, to łechtaczka!

Wyznanie Alice nie było spójne, ale dało się z niego złożyć historię. Mówiła do mnie i do swojej matki Ellen, która została wpuszczona tuż po tym, jak dziewczyna pękła. Mój wzrok przesunął się z dziecka na matkę; Alice przeszła od ledwie słyszalnych szeptów do zduszonych wyznań, a następnie do schrypniętych, zdyszanych szlochów. Zauważyłam, że twarz matki funkcjonuje jak zamglone zwierciadło twarzy jej dziecka. Gdy Alice mówiła łagodnie, Ellen pochylała się do przodu ze skupionym wzrokiem, a jej usta kwitowały każdą obelgę nieznacznymi drgnieniami. Kiedy Alice płakała, oczy Ellen

zweżały się, między brwiami pojawiała się zmarszczka, usta ściągały się w prostą kreskę, lecz nie łkała. Matczyne słuchanie jest wyjątkowe. Matka musi słuchać i współodczuwać, ale nie może identyfikować się z dzieckiem całkowicie. Wymaga to przymusowego odsunięcia się, dystansu, którego można nabrać tylko poprzez przygotowanie się na opowieść. Wiedza, że ktoś skrzywdził moje dziecko, może łatwo wywołać brutalną reakcję w rodzaju: rozszarpie te małe suki na tysiące kawałków i pożrę je na deser. Obserwując Ellen, wyczułam, że próbuje się oprzeć pragnieniu makabrycznej zemsty, i zdałam sobie sprawę, że ją lubię – za wściekłość i za umiejętność jej pohamowania.

Alice od jakiegoś czasu otrzymywała paskudne wiadomości. W SMS-ach regularnie pojawiały się określenia „zdzira” i „puszczalska”, a także nad wyraz oryginalne komentarze w rodzaju: „Myślisz, że jesteś taka super”, „Wracaj do Chicago, skoro tam jest tak fajnie”, „wstrętna suka”, „chuda, dziwaczna dziwka” oraz „kłamczucha”. Wszystkie anonimowe. Jeśli chodzi o klikę moich młodych poetek, to Alice przyznała, że traktowały ją różnie, raz były miłe, innym razem chłodne. Przyjmowały ją i odrzucały. Gdy po wielu tygodniach niedoli postawiła im otwarcie pytanie: „Co ja wam zrobiłam?”, zaczęły chichotać, przewracać oczami i skandować raz po raz „Co ja wam zrobiłam?”, „Co ja wam zrobiłam?”. Szczególnie zabolęła mnie myśl o Peyton jako jednej z dręczycielek. Potem na Facebooku zamieszczono zdjęcia nagiej Alice stojącej w domu przed lustrem – zamglone fotografie, wykonane metodą szpiegowską telefonem komórkowym przez szparę w żaluzji. Biedne dziecko ciężko sapało, wyduszając z siebie prawdę o tym upokorzeniu. Oczywiście usunęła zdjęcia, ale mleko już się rozlało. Wspomnienie mojego zmieniającego się ciała trzynastolatki i przejmująco intymnych, pełnych troski uczuć, jakimi darzyłam dopiero co powiększone piersi, trzy włoski łonowe i tajemnicze czerwone linie, które pojawiły się na moich biodrach (które po dwóch latach zidentyfikowałam jako rozstępy), sprawiło, że aż skręciłam się ze skrępowania. Opowieść o zakrwawionej chusteczce była pokrętna, ale w końcu zrozumieliśmy z Ellen, że tuż przed zajęciami Alice dostała okres, nie miała przy sobie podpasek i wstydziła się poprosić o nie „przyjaciółki”. Wypchała majtki

chusteczkami, które miała w torebce (zawsze pod ręką ze względu na uczulenia), ale kiedy weszła do klasy, jedna lekko zakrwawiona chusteczka wysunęła się z jej szortów i spadła na podłogę; Ashley chwyciła ją i udając, że w lot pojęła, co trzyma w dłoni, rzuciła ją na biurko i zaczęła piszczeć „ohyda, ohyda”. Ostatni podstęp, ten, który musiał wywołać bóle żołądka, wiązał się z wiadomością od upragnionego chłopca, Zacka, który umówił się z nią w parku przy huśtawkach wiszących na drzewie. To zapewne tam udawała się Alice, gdy widziałam ją podskakującą na chodniku po wyjściu z zajęć za piętnaście trzecia. Kiedy jednak przybyła na miejsce, Zacka nie było. Czekala pół godziny, aż zdała sobie sprawę, że coś jest nie w porządku, usiadła na trawie, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać. Gdy popłynęły łzy, zza wysokiego ogrodzenia parkowego dobiegły ją gwizdy i śmiechy. Niewidzialne dziewczęta, pohukując, zwymyślały Alice za marzenie, że chłopiec taki jak Zack mógłby w ogóle na nią spojrzeć. Wyglądało na to, że był to najnowszy „żart”, ten, na którym Alice się „nie poznała”.

Pomijając szczegóły, opowieść Alice brzmi przygnębiająco znajomo. Jej podstawowa struktura z wielorakimi wariantami powtarza się stale i wszędzie. Okrucieństwa rzadko bywają jawne, najczęściej są to ukryte, ukradkowe dźgnięcia, które mają zawstydzić i skrzywdzić ofiarę; jest to strategia przyjmowana zazwyczaj przez dziewczęta, nie chłopców, którzy wolą bezpośredni cios, uderzenie, kopniaka w krocze. Pojedynek o świtaniu, jego drobiazgowy legalizm, sekundanci i odliczanie kroków, mityczne odrodzenie się tego obyczaju na Dzikim Zachodzie, gdzie czarny i biały kapelusz stają naprzeciwko siebie z sześciostrzałowymi rewolwerami, stare dobre bijatyki „spotkamy się na zewnątrz” dwóch dyskutantów, zagrzewanych do walki przez dopingujące frakcje, nawet awantury na placu zabaw (chłopiec wraca do domu pobity do krwi i staje przed ojcem, który pyta: „Zwyciężyłeś, synu?”) – temu wszystkiemu nadano godność w kulturze, w której nie może się z nim równać żadna forma rywalizacji kobiecej. Fizyczna walka między dziewczętami czy kobietami to pyskówka, opisywana jako drapanie, gryzienie, policzkowanie, szarpanie za odzież; ma w sobie nutę śmieszności lub przeciwnie, jest spektaklem erotycznym służącym

męskiej rozrywce, smakowitą wizją dwóch „rzucających się na siebie” kobiet. Wyjście zwycięsko z takiej sprzeczki nie ma w sobie nic uszlachetniającego. Nie istnieje coś takiego, jak dobra, czysta pyskówka. Siedząc tam i przyglądając się smutnej, zaczerwienionej twarzy Alice, wyobraziłam sobie, jak wali Ashley w szczękę, i zastanawiałam się, czy męskie rozwiązanie nie byłoby efektywniejsze. Czy dziewczęta nie cierpiałyby mniej, gdyby tłukły się po głowach, zamiast planować wstrętne małe gierki i sabotaże? To mogłoby się jednak zdarzyć tylko w innym świecie, pomyślałam. A nawet gdyby w tym nieprawdopodobnym świecie dziewczyna mogła otrzepać się po walce zapaśniczej ze swoją nemezis i ogłosić zwycięstwo, co dobrego mogłoby z tego wyniknąć?

Kiedy się z nimi zegnałam, Ellen udało się już zwabić córeczkę na kolana. Matka i córka obejmowały się w wyłożonym poduchami głębokim fotelu, w którym Ellen siedziała sama zaledwie kilka minut wcześniej, słuchając sagi Alice o intrygach i podstępach. Alice ukryła twarz na szyi matki, a jej długie gołe nogi zwisały z krawędzi fotela. Dłoń Ellen wędrowała w górę i w dół po plecach córki, powoli i rytmicznie. Na półce za nimi dostrzegłam rząd lalek. Beznamiętne porcelanowe oczy jednej z nich wpatrywały się w ścianę za moimi plecami. Na różowych usteczkach innej lalki błąkał się delikatny uśmiech. Ubrana w kimono lalka o kobiecych rysach stała sztywno na baczność. Staroświecki bobasek leżał na plecach, z rękami w górze. To chór, szepnęłam w duchu, a lalki przestały być nieruchome i zaczęły poruszać ustami, jakby śpiewały unisono. Widziałam ich zęby. Przez krótką chwilę drżała w nich stara magia, animus, élan vital. Gdy szłam ulicą do „domu”, do głowy przyszła mi szalona myśl:

A i ja nawet, chociaż wiernie służę,
Prawie się w duszy na ukazy burzę,
A serce boleść mi rani;
Bo straszny widok uderza me oczy (...)

Moje stopy przemieszczały się, jedna za drugą, a ja starałam się dotrzeć do źródła. To dzięki chórowi lalek. Antygona. Uśmiechnęłam

się. Trawestacja tragedii, a jednak, powiedziałam sobie, jest w tym żal. Kto potrafi zmierzyć cierpienie? Kto z was obliczy rozmiary cierpienia w którejkolwiek istocie ludzkiej, w jakiejkolwiek chwili?

Pomnażaj słowami, Alice –
Twoja napowietrzna armia miota włócznie,
Rozbija sylaby, tłucze szkło
Wypluwa w niebo furię.
Sto oszustek
W locie przez tę stronicę – to ty,
Naszkiowana chmara uśmiechów
Tratowane owale twarzy.
Nazwij Gorgonę w zwierciadle,
Alice. Potworną bliźniaczkę, inną historię,
Której usta wydmuchują zabójcze wichry,
Zakazane myśli, bezczelne zdania,
Powstrzymane przez lata milczącej świętości.
Wzorowe zachowanie. Sprawowanie na szóstkę.
Płacz, Alice, wyj, jeśli wola!
Wywołaj deszcz, ulewę
Igieł z twoich oczu.
Bezlik twoich ja. Mnóstwo ciebie.
Podburz się, Alice, bądź zamieszaniem, tyradą,
kłopotem,
A jeśli wyrażasz pragnienie, zrób to po trzykroć.
Odrzuć je. Unieważnij je.
Zamaż ich ciała czarnym tuszem.
Karm je wyszukanymi słodyczami
Aż się zatoczą i upadną
Pod twoje roztańczone stopy.

Wcale nie byłam pewna, czy ten wiersz mi się podoba, ale jego napisanie sprawiło mi niesamowitą przyjemność.

– Dlaczego traktują mnie tak podle? – Alice kilkakrotnie zadała to pytanie miękkim, zdumionym głosem.

Czyż nie miało to związku ze zdumiewającą frazą „jakaś inna”? Jessie powiedziała, że do tej pory powinnam się już zorientować, iż Alice jest „jakaś inna”. W jaki sposób inna? Percepcja obciążona jest widocznymi różnicami, światłem i cieniem, masą obiektów i ciałami w ruchu, lecz zawsze istnieją także niewidzialne różnice i podobieństwa, idee wyznaczające tor, separujące, izolujące, identyfikujące. Ja byłam – jestem – jakaś inna. Poza paczką. Na zewnątrz, wiecznie na zewnątrz. Czuję, jak owiewają mnie lodowate wichry. Czekają mnie decyzja, co z nimi zrobić: z kliką, z dziewczynami. Nie mogłam tego odpuścić. Ale musiałam powstrzymać się od znienawidzenia ich, moich sześciu nadal nieukształtowanych, małych damulek, ich sadystycznych przyjemności, zawiści, którą wydalają wszystkimi porami skóry, porażającego braku empatii. Ashley, księżniczka kaźni. Czyż nie to właśnie dostrzegłam, gdy patrzyła na Florę? Ashley, moja oddana uczennica. Ta dziewczyna chciała władzy. Bez wątpienia otrzymywała zbyt mało w domu, średnie dziecko w tej wielkiej rodzinie, które prawdopodobnie musiało walczyć o uwagę mamusi i tatusia. Spójrz na mnie! Z pewnością ona także zasługiwała na współczucie. Pomyślałam o jej matce; ciężiej być matką tyrana niż ofiary, trudniej mieć okrutne dziecko niż takie, którego bezbronność umożliwia atak. Będę musiała opracować strategię, jeżeli nie w celu ratowania sytuacji, to chociaż po to, żeby sprawa ujrzała światło dzienne. Lubię to określenie, światło dzienne. Przed oczami mam bezkresne pola wokół Bonden, płaskie i rozległe, a nad nimi nieskończony nieboskłon.

Dosł. dobre łóżko.

Sofokles, *Antygona*, przeł. Kazimierz Morawski, Warszawa 1995, s. 60.

* * *

Rozpłakałam się przy Bei pierwszego wieczoru po jej przyjeździe. Mogłoby się здаwać, że pół roku wrzasków i płaczów wysuszyło moje kanaliki łzowe, a powódzie nieodwracalnie uszkodziły gałki oczne, wygląda jednak na to, że słona wydzielina jest niewyczerpana i może płynąć regularnie i obficie bez żadnych trwałych skutków. Ta stara cielesna świątynia to prawdziwy cud. To było wspaniałe uczucie: Bea poklepywała mnie po plecach, uciszała i przez chwilę kołysała w ramionach. Mia i Bea. Gdy już uwolniłyśmy się od łzawego lamentu, ułożyłyśmy się w łóżku Burdów, a Bea opowiedziała mi o Jacku i chłopcach. (Jack, ten sam stary, dobry Jack, doprowadzający ją do szału swoim weekendowym rzeźbiarstwem, którego wytwory określała jako „erekcje”, ponieważ miały wszystkie co do jednego formę strzelistych występów, inspirowaną fallusami umieszczonymi przez Gaudiego na dachu La Pedrery; nie życzyła sobie, żeby rozstawiał je po całym trawniku. Na litość boską, nie chciała mieć na podwórzu ciągnącej się po horyzont armii fiutów. Jonah radził sobie świetnie na uczelni, Ben był trochę zagubiony w klasie, ale zaangażował się mocno w teatr musicalowy; wcale nie chodził z dziewczynami i może jest gejem, co Bei by nie przeszkadzało, ale wiedziała, że nie może tego powiedzieć pierwszej, która matka by tak zrobiła, czy jest, czy nie jest, a z drugiej strony nigdy nie był otwarcie afektowany czy coś w tym guście, więc muszą mu po prostu pozwolić się odnaleźć, a potem jeszcze prawo, które kochała tak, jak kiedyś Harold, Ojciec nasz, jego subtelności, furtki, precedensy, a nawet związaną z nim mordęgę).

Potem ułożyłyśmy nasze dwie głowy, brązową i rudą, na poduszkach, leżałyśmy obok siebie, patrzyłyśmy w górę, na biały sufit, i wspominałyśmy zabawę w Małego Hueya. Ja grałam zazwyczaj Hueya, ogromne kaczątko w pieluszce, które, ku wielkiej ucieście Bei, śliniło się, rzygało, robiło kupę i wydawało gardłowe gulgoty. Wspomniałyśmy panią Klinchklonch, wymyśloną przez nas czarownicę, która nienawidziła dzieci, i to, jak lubowałyśmy się w opisach jej potwornych czynów. Wyrzucała dzieci przez okna, topiła je w studniach, z werwą posypywała pieprzem i zanurzała w sosie czekoladowym.

Przypomnialiśmy sobie Mellolardów, zespół muzyczny, którym stawałyśmy się, gdy siadałyśmy przy naszym czerwonym stoliczku na czerwonych krzeselkach i śpiewałyśmy piosenki z reklam, a właściwie nie z prawdziwych reklam, tylko zmyślane, o tryskającej z tubki paście do zębów, detergencie barwiącym ubrania na zielono i cukierku, który rozpływa się nie w ustach, ale w dłoni. Pamiętałyśmy swoje niebieskie sukienki o kroju fartuszków i lakierki, które błyszczały od wazeliny, i to, że trzymałyśmy kolana złączone, zaplatałyśmy dłonie na podołkach i byłyśmy bardzo, bardzo grzeczne. Wspomnialiśmy haftowany kalendarz adwentowy mamy i maleńkie paczuszki, które pojawiały się na nim każdego grudniowego dnia, i to, że od czekania na święta aż bolały nas brzuchy, wspominałyśmy także kąpiele. Przyciskałyśmy do oczu myjki, żeby nie dostało się do nich mydło, odchylałyśmy głowy do tyłu, a mama polewała nam włosy ciepłą wodą z dzbanka, ogrzewała ręczniki w suszarce i owijała nas w ciepłutki frotowy materiał, następnie zaś tata podnosił nas w ramionach, jedną po drugiej, wysoko w górę i delikatnie sadzał na krzesłach przed kominkiem, żebyśmy nie zmarzły.

– Kąpiele to był raj – powiedziała Bea.

– O, tak – przytaknęłam.

Potem powiedziała mi, że udawała, że zasnęła w samochodzie, kiedy wracaliśmy późno od dziadków, żeby tata wniósł ją do środka, a ja powiedziałam, że wiedziałam o tym i zazdrościłam jej, bo byłam za duża, i czasami martwiłam się, że kocha ją mocniej. Byłam beksą, a ona nie.

– Dalej jesteś płaksą – powiedziała.

– Oj tak – odpowiedziałam.

– A może – dodała moja siostra – powinnam była częściej płakać.

Zawsze musiałam być taka twarda.

Po tych słowach zamilkłyśmy.

– Beo, przepraszam, że byłam takim mięczakiem.

– Chodźmy spać – powiedziała.

– Tak – odparłam.

I poszłyśmy spać, nie wzięłam tabletki i spałam bardzo dobrze.

Jak to opowiedzieć? – pyta twoja smutna, stuknięta, płaczliwa

narratorka. Jak to opowiedzieć? Od tego momentu robi się trochę gęściej – jest jednoczesność, jedna rzecz zdarza się w Rolling Meadows, inna w Gildii Sztuk, kolejna w domu sąsiadów, nie wspominając już o moim Borisie, wędrującym ulicami Nowego Jorku z zaniepokojoną Daisy depczącą mu po piętach; z tym wszystkim trzeba będzie sobie poradzić. A wszyscy wiemy, że jednoczesność to dla słów duży problem. Przychodzą po kolei, zawsze po kolei, dlatego porządkując to wszystko, odniosę się do doktora Johnsona. W razie potrzeby niemal nieuniknione jest odwoływanie się do doktora Johnsona, naszego własnego człowieka języka angielskiego, mądrego, grubego, dręczonego podagrą, skrofulicznego, życzliwego, dowcipnego obżartucha, uosobienia autorytetu, do którego wszyscy możemy się zwrócić w tarapatkach, kulturowego pater familias, który był tak ważny, że już za życia miał osobistego biografa. A było to w osiemnastym wieku, na długo zanim pierwszy lepszy – i pierwsza lepsza – zaczęli odnotowywać w internecie wszystkie żałosne, głupie szczegóły swojego pożałowania godnego żywota. (Zauważ proszę, że dodałam „pierwszą lepszą”; w języku angielskim nie ma żadnego żeńskiego odpowiednika „wszystkich ludzi”; niestety „zbiorowość kobiet” to coś zupełnie innego). Ku wielkiemu przerażeniu doktora Johnsona ubodzy literaci masowo produkowali rozliczne wyznania, rzeczywiste i nieprawdziwe, równie drastyczne i jeżące włosy na głowie, co dzisiejsze żałosne memuary. Lecz dość już. Zacytujmy Rasselasa, księcia Abisynii, fragment o małżeństwie, w którym nasz bohater przedstawia swoją ocenę tego sakramentu:

Taki jest powszechny przebieg małżeństwa. Młodzieniec i dziewczę spotykają się przypadkiem lub za sprawą sztuczki, wymieniają spojrzenia i uprzejmości, wracają do domów i marzą o sobie nawzajem. Nie mając wielu rozrywek czy możliwości poszerzenia horyzontów, odczuwają niepokój, gdy są rozdzieleni, i stąd wnioskują, że razem będą szczęśliwi. Pobierają się i odkrywają, że wcześniej kierowali się jedynie dobrowolnym zaślepieniem; niszczą sobie życie kłótniami i oskarżają naturę o okrucieństwo.

Rozmyślna ignorancja skrywa ponurą rzeczywistość: To znaczy, że

jestem na ciebie skazany? Ale teraz jest inaczej, powie łebski czytelnik. To są dawne dzieje. Jesteśmy bardziej oświeceni niż Oświecenie, my z dwudziestego pierwszego wieku, mamy swoje gadzety, cuda na kiju, szybkie sądownictwo i rozwód bez orzekania o winie. Ho! Ho! Ho! – tyle ci odpowiem. Udręki seksualne nigdy się nie kończą. Wymień dowolną epokę, a ja przytoczę łzawą historię o zatrutych relacjach małżeńskich. Czy naprawdę mogę obwiniać Borisa o jego Przerwę, potrzebę chwytania dnia, o wyrywanie ulotnych strzępów, póki jeszcze ma czas, czas dla weterana, którym szybko się staje? Czyż nie zasługujemy wszyscy na igraszki, pieprzenie i romansiki? Życie seksualne samego doktora Johnsona pozostaje w większości sekretem, za co należy dziękować niebiosom, wiemy jednak, że David Garrick powiedział Davidowi Hume’owi, a ten Boswellowi, który zapisał to w swoim dzienniku, że pewnego wieczoru Garrick był świadkiem przyjemności, jakiej doświadczył doktor Johnson w teatrze, i wyraził nadzieję, że w takim razie wybitny leksykograf będzie jego częstym gościem, lecz Wielki Człowiek pospieszył z zapewnieniem, że nie. „Albowiem białe piersi i jedwabne pończochy pańskich aktorek – rzekł Mędrzec – pobudzają moje genitalia”.

Wszyscy mamy wrażliwe narządy i w naszej naturze leży ich używanie. Można być chorym z zazdrości i samotności, ale nadal to rozumieć.

Istnieje jednak inny aspekt długotrwałego małżeństwa, o którym rzadko się mówi. To, co zaczyna się od przyjemności wzrokowej, widoku rozświetlonego ukochanego i wywołuje apetyt na całodobowe figle, z czasem ulega zmianie. Partnerzy są coraz starsi i zmieniają się, są tak przyzwyczajeni do widoku drugiej osoby, że wzrok przestaje być najważniejszym zmysłem. Jeżeli po porannym przebudzeniu zastałam połowę łóżka Borisa pustą, nasłuchiwałam; czekałam na odgłos spuszczonej wody i dźwięk towarzyszący napełnianiu imbryka. Czułam twarde kości jego ramion, kładąc na nich dłonie, żeby milcząco go przywitać, gdy on czytał gazetę przed wyjściem do laboratorium. Nie wpatrywałam się w jego twarz, nie przyglądałam się jego ciału, po prostu czułam jego obecność, tak samo jak nocą wyczuwałam w ciemności jego zapach. Woń jego ciepłego ciała stała się częścią

sypialni. A kiedy prowadziliśmy rozmowy, które często ciągnęły się do późna w nocy, skupiałam się na zdaniach, które formułował. Świadoma, że lubi przeskakiwać od jednej myśli do drugiej, koncentrowałam się na treści jego wypowiedzi, które rozwijały się w moim umyśle, a ja umieszczałam je w kontekście płynącego między nami dialogu, niekiedy ostrego, częściej – nie. Rzadko kiedy mu się przyglądałam. Czasami po wszystkim, gdy przechodził nago przez pokój, patrzyłam na jego długie, białe ciało z okrągłym brzuszkiem, lewą nogę z błękitnymi żyłkami i delikatne, kształtne stopy, ale nie zawsze. To nie jest dobrowolne zaślepienie nowej pokusy; to ślepotą intymności wykuta latami równoległego życia, jego blasków i cieni.

Podczas przedostatniej rozmowy przed sierpniowym wyjazdem doktor S. powiedziałam jej coś, czego nigdy nikomu nie wyjawiałam. Tydzień przed samobójstwem Stefana siedzieliśmy razem na kanapie w domu na Brooklynie, czekając na Borisa. Mojego szwagra wypuszczono ze szpitala zaledwie dwa dni wcześniej. Przyjmował lit, ale tłumaczył, że lekarstwo spłyca jego umysł i oddala od niego świat. Odchylił się do tyłu na kanapie, zamknął oczy i powiedział:

– Ale nawet gdy moja głowa jest martwa, kocham cię, Mio.

Powiedziałam, że ja także go kocham, a on odparł:

– Nie, ja cię kocham. Zawsze cię kochałem i to mnie zabija.

Stefan był obłąkany, ale nie cały czas. Wtedy nie był. I był piękny. Zawsze uważałam go za pięknego, chociaż był wyniszczony i rozczarowany. Bracia byli do siebie podobni, ale Stefan był znacznie chudszy i o wiele delikatniejszy, rysy miał niemal kobiece. Przez swoje manie głodował, ponieważ zapominał, że musi jeść. Kiedy miał odlot, szedł w tango ze zdzirami, które spotykał w barach, i biegał po księgarniach, na co nie mógł sobie finansowo pozwolić; podobnie jak mój znajomy Nikt wygłaszał zagadkowe teorie filozoficzne, za którymi trudno było niekiedy nadażyć. Tamtego dnia był jednak spokojny. Powiedziałam coś o tym, że jego uczucie to błąd, o czasie, który spędziliśmy wspólnie, o tym, że zaczął na mnie polegać; jąkałam się ze skrępowania, aż w końcu zamilkłam, lecz on kontynuował:

– Kocham cię, ponieważ jesteśmy jednakowi. Nie jesteśmy tacy jak

Głównodowodzący.

To było jedno z przezwisk, które Stefan nadał Borisowi. Czasem, będąc w wojowniczym nastroju, Stefan salutował starszemu bratu.

– Siostró Życie – powiedział Stefan, zwracając się ku mnie i ujmując moją twarz w dłonie.

– A potem całował mnie długo i mocno, a ja mu na to pozwoliłam, to było cudowne i nie powinnam była nigdy się na to zgodzić – oznajmiłam doktor S.

Zanim Boris stanął w drzwiach, powiedziałam Stefanowi, że nie możemy tego robić, że to głupie – ta zwyczajowa mowa-trawa – a on wyglądał na głęboko zranionego. I to mnie wykańcza. Siostra Wina. Jego przerażająca maska śmierci, jego przerażające martwe ciało.

Wiedziałam, że nie jestem winna śmierci Stefana. Wiedziałam, że w chwili rozpaczy musiał zdecydować, że nie chce już ujeżdżać smoka, a jednak nigdy nie zdobyłam się na powtórzenie na głos naszej rozmowy, nie potrafiłam wydobyć słów z tych otwartych pól pod rozległym niebem. Słyszając własny głos, pojęłam, że wypowiadając naszą słabość i złość na Dużego Borisa, Stefan związał się ze mną pocałunkiem. To nie pocałunek sam w sobie mnie zakłopotał i zmusił do milczenia, lecz to, co wyczułam w Stefanie, jego zazdrość i żądzę zemsty, i to właśnie one mnie przerażyły, nie dlatego, że były to uczucia Stefana, ale dlatego, że były także moje. Młodszy brat. Żona. Ci, którzy są na drugim planie.

– Ale ty i Stefan nie byliście jednakowi – stwierdziła doktor S. tuż przed zakończeniem naszej rozmowy.

Niejednakowi. Różni.

– W szpitalu czułam się jak Stefan.

– Ale Mio – powiedziała doktor S. – ty żyjesz i chcesz żyć. Z tego, co widzę, wola życia aż w tobie kipi.

Siostra Życie.

Przez chwilę słuchałam własnego oddechu. Słyszałam oddech doktor S. w słuchawce. Tak, pomyślałam. Aż we mnie kipi. To mi się podobało. Powiedziałam jej, że mi się to podoba. Jesteśmy takimi dziwnymi stworzeniami, my, istoty ludzkie. Coś się wydarzyło. Coś nie do przewidzenia.

– Gdybym tam teraz była z panią – dodałam – wskoczyłabym pani na kolana i mocno uściskała.

– Ramion by ci zabrakło – odparła doktor S.

Mniej więcej w tym samym czasie, kilka dni albo nawet kilka tygodni wcześniej lub później, naprzód czy wstecz, poza moją bezpośrednią fenomenalną świadomością, zachodziły następujące wydarzenia – niekoniecznie w kolejności, w której zostaną opisane. Ani ja, ani chyba nikt inny nie umiałby ich uporządkować, stąd zastosowanie *in medias res*:

Moja matka po raz trzeci czyta *Perswazje*, przygotowując się do spotkania klubu książki, które odbędzie się w salonie *Rolling Meadows* piętnastego sierpnia. Do tego zadania układa się jak najwygodniej. Leży na łóżku z trzema poduszkami pod głową, w miękkim kołnierzu ortopedycznym, kojącym ukłucia artretyzmu, zimne stopy ogrzewa termoforem, na nosie ma okulary do czytania, żeby wyostrzyć czcionkę, a książkę ustawiła na specjalnie zaprojektowanym stoliczku; zanurza się w życie ludzi, których świetnie zna, przede wszystkim Anne Elliot, ukochanej Bei, mojej i matki – gawędziłyśmy o niej tak, jakbyśmy znajdowały się w posiadłości *Kellynch Hall*, a do drzwi mogła lada moment zastukać stara, dobra, cierpiąca w milczeniu, rozsądna Anne.

Pete i Lola ciągle się kłóca.

Daisy, która nadal każdego wieczoru staje się w teatrze *Muriel*, po spektaklu przeistacza się w *Detektywa Daisy* i tropi po mieście swojego sfinksowego ojca. Ten oddaje się długim nocnym przechadzkom, których znaczenia córka nie pojmuje. Zgodnie ze swoją naturą Daisy przywdziewa na tajne wyprawy ekstrawaganckie kostiumy, które (choć w tym czasie nie wiem jeszcze nic ani o nich, ani o jej szpiegowskim życiu) zapewne sprawiają, że jeszcze bardziej rzuca się w oczy: okulary w stylu *Groucho Marxa*, sztuczne brwi, nos i wąsik; długowłosa blond peruka do czerwonej, wyszywanej cekinami sukni wieczorowej; dopasowany garnitur z teczką; melonik z laseczką.

Oczywiście w Nowym Jorku, gdzie golasy, świry i dziwolągi swobodnie mieszają się z ludźmi statecznymi i konwencjonalnymi, mogłaby minąć tabuny przechodniów, nie ściągając na siebie ani jednego spojrzenia. Około trzeciej w nocy – każdej nocy – Boris wraca do mieszkania na Wschodniej Siedemnastej, wchodzi do środka i znika z oczu naszej córce, która udaje się wówczas do swojego mieszkania na Tribece, wyczerpana rzuca się na łóżko i, jak to później określiła, wymięka.

Simon pierwszy raz wybucha śmiechem. Lola i Pete pochylają się nad książeczką z twarzami naznaczonymi uwielbieniem, a on spogląda na dwoje swoich wielbicieli, macha wszystkimi kończynami w przyływie emocji i chichocze.

Abigail przedziera się przez sześć cieniutkich zbiorów swoich wierszy, wszystkich wydanych przez wierne wydawnictwo Fever Press z San Francisco: Utracony styl, Małe prawdy, Niebiańska hiperbola, Kobieta z obsydianu, Jasna cholera oraz Śmichy, chichy i inne perwersje.

Regina zaczyna zapominać. Matka, Peg i Abigail nie są w stanie stwierdzić, kiedy dokładnie pierwszy raz zauważyły, że pamięć ich przyjaciółki się pogarsza. W końcu wszystkie zapominają fragmenty ostatnich wydarzeń. Od czasu do czasu one także powtarzają pytania lub opowieści, ale amnezja Reginy ma inne zabarwienie. Trzy Łabędzice (cztery, gdy jeszcze żyła George) tolerowały próżność, egocentryzm i nerwowość Reginy (przed jedzeniem w restauracji trzykrotnie zmieniała stolik), ponieważ umiała się bawić. Organizowała dla nich herbatki, zamawiała bilety na tę czy inną imprezę. Uroczo przekreślała dowcipy i rzadko kiedy zjawiała się u przyjaciółek z pustymi rękami: przynosiła kwiat, ozdobne puzderko albo świecznik, w którego posiadanie weszła gdzieś w trakcie swojej życiowej wędrówki po kontynentach; pojawienie się jednak możliwości zakrzepicy – „prosto do płuc i człowiek pada trupem” – dodało jej i tak płóchej naturze motor, który zaczął działać na wysokich obrotach. Jej narastające zapominanie spotkań, rozmów, położenia kluczy, torebki i okularów, niektórych

twarzy (nie Łabędzic, innych) szybko prowadzi do paniki i łez. Deficyty, z których pozostała trójka żartuje jako z „defektów seniora” i „mózgu staruszki”, Reginę wydają się niszczyć. Biega trzy, cztery razy na tydzień do swojego lekarza i ponuro powtarza, że po prostu nie może uwierzyć, nie może uwierzyć, iż ona, Regina, która kiedyś poprzez małżeństwo odgrywała kluczową rolę w świecie międzynarodowej dyplomacji, wylądowała „w tym miejscu, w tym domu opieki – bo to jest przecież dom opieki, czyż nie?”. To była dla niej zniewaga. I tak, krok po kroku, stara kokietka odizolowała się od swoich znacznie bardziej stoickich przyjaciółek, i nikt nie umiał dokładnie określić, kiedy dokonała się ta zmiana.

Flora zaczyna psychologizować:

– Mamusiu, wiesz, co jest śmieszne?

– Nie, Floro – odpowiada Lola.

– Czasami cię tak mocno, mocno kocham, ale czasami naprawdę cię nienawidzę!

Ellen Wright telefonuje do pozostałych matek, spokojnie relacjonuje opowieść Alice i organizuje u siebie w domu spotkanie rodziców i dzieci. Mnie także zaprasza, ale wymawiam się odwiedzinami Bei i mówię, że skieruję uwagę mojej grupy na utwory opiewające wyższe dobro – wzajemne porozumienie, ciepłe koleżeństwo, rozbijającą życzliwość – chociaż nie mam pojęcia, jak to osiągnę. Wiem jednak, jaka konwersacja odbyła się w niedzielę po koszmarnym piątku, gdy Alice wyrzuciła z siebie niesmaczne szczegóły prześladowań, których ofiarą padła. Matki i córki (ojciec Alice jest jedynym obecnym mężczyzną) zbierają się mniej więcej w czasie, gdy Bea, matka i ja raczymy się lampką sancerre, przygotowując w mojej wynajętej kuchni kolację pożegnalną dla Bei – soczystego pieczonego kurczaka z czosnkiem, cytryną i oliwą z oliwek, sałatkę z młodych ziemniaków i fasolkę z ogródka Loli. Doniesienia z drugiej ręki nie mogą być idealne, ale dramat się rozwija – jeżeli niedokładnie tak, jak opisano poniżej, to w każdym razie bardzo podobnie; jak wszyscy wiemy, trudno polegać nawet na relacjach naocznych świadków, musisz

więc łyknąć ten raport w formie, którą postanowiłam mu nadać.

Sześć pełnych napięcia matek wciska się do salonu Wrightów, ciągnąc za sobą posępne, poirytowane córki. (Nie umiem powiedzieć, czy któraś z nich zerka na duży, wiszący nad kanapą plakat z cyklem sześciu obrazów Goi, przedstawiających zakonnik pokonującego bandytę, ale to wspaniałe dzieło, nawet w formie reprodukcji oryginałów z Instytutu Sztuki w Chicago). Ellen Wright, dawniej pracownica socjalna, a obecnie administratorka w ośrodku zdrowia w Bonden, otwiera obrady krótką przemową, opisując wydarzenia, o których mowa, popularnym obecnie wyrazem „tyranizowanie”. Zwraca uwagę na jego powszechność i potencjalny negatywny wpływ na „długofalowe zdrowie psychiczne”, podkreśla, że dziewczęta są bardziej zdradzieckie i perfidne (przymiotniki moje) niż chłopcy, i zaznacza, że takie działania nie ustają same z siebie – „całe miasteczko musi się zjednoczyć”. Nie biorę odpowiedzialności za sztywne frazy zaśmiecające dyskurs popowej socjologii. Następnie pani Wright formułuje płynące prosto z serca pragnienie słuchania i otwarcia trybuny dla wszystkich zgromadzonych.

Zapada cisza. Kilka par oczu zwraca się ku Alice, która siedzi między rodzicielskimi buforami.

Pani Lorquat od Niezadowolonego Bóstwa, matka Jessie, przemyśliwa na głos, skąd wiadomo, że jej Jessie była w to w ogóle zamieszana, skoro większość tego, co się wydarzyło, było anonimowe.

Pani Hartley, matka Emmy, poszturchuje swoje dziecko, żeby wydobyć z niego słowa. Po kilku kuksańcach sploniona Emma przyznaje się do wiadomości pichconych przez całą trupe. I podaje imiona: Jessie, Ashley, Joan, Nikki i ona sama. Ale tak naprawdę nie o to im chodziło; to były tylko takie wyglupy dzieciaków.

Nikki i Joan wydają na przemian krótkie okrzyki, że one także nie chciały nikogo naprawdę skrzywdzić. Tylko że Alice ciągle gadała o Chicago i cały czas czytała książki, i się wywyższała, więc pomyślały, że jest jakaś nadęta i w ogóle, i dlatego...

Pani Larsen o znużonych rysach, matka Ashley, łagodnym głosem przemawia niewinnie do swojej córki, której twarz jest jak wykuta z kamienia: „A ja myślałam, że jesteście z Alice takimi dobrymi przyjaciółkami”.

Bo jesteśmy!

Kuląca się pod ciężarem winy Peyton wykrzykuje słowo „kłamczucha” i wyrzuca z siebie rewelacje, które nie zaskoczą ani mnie, ani ciebie, podczas gdy pani Berg usiłuje ostudzić zapał córki, powtarzając cicho: „Nie krzycz, Peyton”, lecz Peyton i tak krzyczy, że Ashley zrobiła zdjęcia i je opublikowała i że wymyśliła podstęp z Zackiem, a ona, Peyton, zgodziła się na to wszystko i czuje się z tym okropnie, naprawdę okropnie. Ale Peyton jeszcze nie skończyła. Jest tego więcej. Peyton oznajmia, że bała się o tym mówić, spanikowała, bo Ashley założyła stowarzyszenie, które nazwała Sabatem. Przed wstąpieniem do grupy każda dziewczyna musiała skaleczyć się nożem i utoczyć tyle krwi, żeby móc podpisać się imieniem na dokumencie, w którym przysięgała lojalność pozostałym członkiniom, i obiecała, że ich mroczny sojusz pozostanie na zawsze tajemnicą. Na dowód Peyton pokazuje małą bliznę na udzie bardzo długiej lewej nogi.

Noszący piętno satanistycznego rytuału gotycki zwrot w dochodzeniu wywołuje wśród dorosłych poruszenie. Nieszczęsna pani Wright, profesor chemii przyzwyczajona do prowadzenia przyszłych medyków przez góry i doliny przewidywalnych wzorów jonów wieloatomowych, jest w najwyższym stopniu skrępowana i skupia uwagę na swoich paznokciach. Pani Lorquat wzdycha, jakby krwawe cyrografy obrażały Boga jeszcze bardziej niż D.H. Lawrence. Matkom Nikki i Joan, zaprzyjaźnionym na całe życie i usadowionym obok siebie, równocześnie opadają szczęki. Rozpoczyna się pełne zdumienia przesłuchanie członkiń Sabatu.

Ashley uderza w płacz.

Alice wszystkiemu się przygląda.

Ellen obserwuje Alice.

Nie wiemy, co myśli Alice w tym momencie, ale jest bardziej niż prawdopodobne, że odczuwa rodzaj satysfakcji z faktu, iż nastoletnie czarownice z Bonden zdemaskowano. Równocześnie Alice nigdzie się nie wybiera. Zostaje w miasteczku z małymi diabolicami, swoimi przyjaciółkami.

Komentarz: Instrumenty ciemności wyjawiają nam prawdy. Czym

one są? Chłopcy pozostaną chłopcami: hałaśliwymi, dzikimi, rozdającymi kopniaki, wiszącymi na drzewach. Lecz czy dziewczynki pozostaną dziewczynkami? Delikatnymi, opiekuńczymi, słodkimi, biernymi, przebiegłymi, podstępными, wrednymi?

Wszyscy zaczynamy tak samo, w łonach naszych matek. Unosząc się na owodniowych morzach naszej najwcześniejszej niepamięci, wszyscy mamy gonady. Gdyby u niektórych z nas chromosom Y nie zaatakował, żeby wpłynąć na gonady i wyłonić jądra, wszyscy bylibyśmy kobietami. Biologia odwraca historię z Księgi Rodzaju: Adam staje się Adamem z Ewy, a nie odwrotnie. Kobiety nie pochodzą z żeber mężczyzn, to mężczyźni są metaforycznymi żebrami kobiet. Zazwyczaj XX = jajniki, a XY = jądra. Słynny grecki lekarz Galen twierdził, że genitalia żeńskie to odwrócona wersja genitaliów męskich; pogląden utrzymywał się przez wieki: „Wywróć kobiece na zewnątrz, skieruj do wewnątrz, żeby tak to ująć, złóż podwójnie męskie, a odnajdziesz w obu jedną pod każdym względem”. Oczywiście zewnętrzne zawsze przebijało wewnętrzne. Wewnętrzne było zdecydowanie gorsze. Właściwie dlaczego, tego nie umiem powiedzieć. Według mnie to, co zewnętrzne, jest dość bezbronne. W sumie kompleks kastracyjny ma dużo sensu. Gdybym nosiła moje narządy rozrodcze na zewnątrz, też bym się cholernie bała o te delikatne organy. Tak jak ludzki pępek, starożytny model płci miał swoje zagłębienia i wypustki, co oznaczało, że twoje zagłębienie mogło ci nagle zrobić niespodziankę i przekształcić się w wypustkę, szczególnie w przypadku, gdy zachowywałaś się jak ktoś, kto już wypustkę miał. Ukryty, zwinięty jard mógł się po prostu nagle objawić. Montaigne, literacki gigant szesnastego wieku, zgadzał się z tezą o zagłębieniu/wypustce: „Mężczyźni i kobiety są ulepiani z tej samej gliny, a różnice między nimi – z wyjątkiem wykształcenia i obyczaju – nie są znaczące”. Powtórzył dobrze znaną opowieść o Marie-Germain, która była po prostu zwykłą Marie aż do dwudziestego drugiego roku życia (w wersji Montaigne’a, w innych przekazach – do piętnastego); jednak pewnego dnia, w wyniku wyczerpującej gimnastyki (przeskoku nad rowem podczas pogoni za świniami), wyskoczyła z niej męska fujara i narodził się Germain. Powiesz: niewiarygodne. Powiesz: niemożliwe. Ale

w Puerto Rico żyje pewna szczególna rodzina – a jeszcze inna w Teksasie – z uwarunkowaniem genetycznym, które sprawia, że XY wygląda zupełnie jak XX. Innymi słowy, aż do wieku dojrzewania fenotyp ukrywa genotyp, po czym małe dziewczynki stają się małymi chłopcami, a ci wyrastają na mężczyzn. Carla staje się Carlosem! Ukochana córeczka bez interwencji narzędzi chirurgicznych staje się ukochanym synkiem. Z pewnością podział na płcie jest w macicy wątpliwy. Sprawy mogą się komplikować i tak się dzieje.

Mio, mówisz, do rzeczy. Spokojnie, weź głęboki oddech, a ja postaram się wkrótce zakończyć mój retoryczny występ. To kwestia podobieństw i różnic, tego, co w Państwie Platona Sokrates nazywa sporem słów. Swojemu interlokutorowi, Glaukonowi, mówi, że znaleźli się w erystycznym sporze, ponieważ nie zadali sobie trudu, żeby zbadać, „o jaki to rodzaj chodzi tej różnej i tej samej natury, i w jakim znaczeniu ustaliliśmy to wtedy, kiedyśmy różnym naturom przeznaczili różne zajęcia, a tej samej – te same”¹. Wielki Ojciec Zachodniej Filozofii rozpracowuje problem mężczyzny/kobiety na potrzeby swojej utopii i poprzestaje (przypuszczam, że nieuspokojony, niemniej – poprzestaje) na tym: „Ale jeżeli się widocznie różnią tylko tym, że płć żeńska rodzi, a męska zapładnia, to z tego nie wynika wcale, że kobieta różni się od mężczyzny pod tym względem, o którym tutaj mówimy [...]”². Temat: Czy kobietom należy umożliwić takie samo wykształcenie jak mężczyznom, a następnie pozwolić im wspólnie rządzić państwem.

Raczej jednacy, lecz różni w detalach, szczególnie w tych umiejscowionych niżej detalach odpowiedzialnych za płodzenie i rodzenie? Czy też różni z natury? Pocziwy Thomas Laqueur napisał na ten temat całą książkę. Kiedy – jakoś w osiemnastym stuleciu – upadła teoria zagłębienia-wypustki, kobiety przestały być odwróconymi mężczyznami; stałyśmy się całkowicie odmienne: inne były nasze kości, nerwy, mięśnie, narządy, tkanki, zupełnie inny mechanizm, a ten biologiczny odmieniec był w dodatku taki delikatny. „Jest wprawdzie faktem, że wszystkie istoty ludzkie mają umysł – pisał Paul-Victor de Sèze w roku 1786 – lecz jego aktywne wykorzystywanie nie wszystkim sprzyja. Zaiste, ten rodzaj aktywności może być dla kobiet wielce szkodliwy. Ze względu na przyrodzoną kobietom słabość, wytężona

praca mózgu może wyczerpać wszystkie pozostałe narządy i tym samym zakłócić ich prawidłowe funkcjonowanie. Przede wszystkim jednak nadmierny wysiłek mózgu kobiecego może w najwyższym stopniu znużyć narządy rozrodcze i im właśnie zagrozić”. Teoria, że „od myślenia wysychają jajniki” miała żywot długi i szczęśliwy. Doktor George Beard, autor Amerykańskiej nerwowości, utrzymywał, że – w przeciwieństwie do „squaw w wigwamie”, która skupiała się na swoich intymnych częściach ciała i wydawała na świat jedno dziecko za drugim – kobietę współczesną zdeformowało myślenie; na dowód cytował pracę swojego wybitnego kolegi, który mierzył gruntownie wykształcone macice i odkrył, że mają rozmiary o połowę mniejsze od tych, których nigdy nie narażono na edukację. W roku 1873 doktor Edward Clarke, idąc w ślady szlachetnego Bearda, opublikował dzieło o przyjaznym tytule Płeć w kształceniu: równe szanse dla dziewcząt, w którym stwierdził, że dziewczęta w okresie menstruacji powinny się usuwać z klas szkolnych, i cytował twarde dowody z przeprowadzonych na Harvardzie badań klinicznych na intelektualistkach, w których wyniku ustalono, że nadmiar wiedzy uczynił te nieszczęsne stworzenia bezpłodnymi, anemicznymi, histerycznymi, a nawet szalonymi. Może to był właśnie mój problem. Za dużo czytałam, aż w końcu mój mózg eksplodował. W roku 1906 anatom Robert Bennett Bean ogłosił, że ciało modzelowate – spoidło łączące dwie półkule mózgowe – jest większe u mężczyzn niż u kobiet, i postawił hipotezę, że „wyjątkowe rozmiary ciała modzelowatego mogą oznaczać wyjątkową aktywność intelektualną”. Wielkie myśli = wielkie spoidło.

Ale teraz nikt nie wygaduje takich bzdur, mówisz. Nauka się zmieniła. Opiera się na faktach. A jednak koledzy mojego krnąbrnego małżonka harują na pełnych obrotach, mierząc rozmiary i gęstość mózgow, badając płynącą w nich natlenioną krew, wstrzykując hormony myszom, szczurom i małpom i rozbijając kolejne geny, żeby udowodnić ponad wszelką wątpliwość, iż różnica między płciami jest głęboka, określona zawczasu ewolucyjnie i w mniejszym czy większym stopniu niezmienna. Mamy mózgi męskie i kobiece, różne nie tylko z powodu funkcji reprodukcyjnych, ale także na inne, niezliczone istotne sposoby. Jest wprawdzie faktem, że wszystkie istoty ludzkie mają umysł, lecz

każda z płci jest wyposażona w inny rodzaj umysłu. Przykładowo, doktor Renato Sabbatini, wybitny neuropsycholog, swego czasu naukowiec w Instytucie Maxa Plancka, wylicza długą listę różnic między nami a nimi, po czym oznajmia: „Badacze twierdzą, że może to tłumaczyć fakt, iż wśród matematyków, pilotów, przewodników po buszu, inżynierów mechaników, architektów i kierowców rajdowych znajdujemy o wiele więcej mężczyzn niż kobiet”. Dziewczyny, zgłębiajcie, co wam się żywnie podoba, i tak nigdy nie rozwiążecie równania różniczkowego Riccatiego. Dlaczego? Idea wigwamu powraca nawet bez północnoamerykańskich Indian (nie da się już demonizować ani idealizować wigwamu; musimy cofnąć się do ludów, które nie mogą być dłużej znieważane): „Jaskiniowcy polowali. Ich kobiety zbierały pożywienie w pobliżu siedzib i opiekowały się dziećmi”. Nie ma się jednak co martwić, nasz szanowny profesor zapewnia nas bowiem (cytując jeszcze doskonalszy autorytet ojcowski, wielkiego Ojca Socjobiologii z Harvardu, Edwarda O. Wilsona), że wprawdzie nie wyewoluujemy w przewodników po buszu, ale „samice ludzkie zazwyczaj przewyższają samców między innymi empatią, zdolnością wysławiania się, umiejętnościami społecznymi i potrzebą bezpieczeństwa, mężczyźni zaś wyróżniają się najczęściej niezależnością, dominacją, orientacją przestrzenną i zdolnościami matematycznymi, agresją powiązaną z pozycją społeczną i innymi cechami”. Idąc tokiem myślenia profesora, dochodzimy do wniosku, że nasze przeważające „zdolności wysławiania się” wyjaśniają, dlaczego kobiety na tak długi czas zdominowały sztuki literackie, w których nie uświadczysz ani śladu mężczyzny. Jestem pewna, że i ty zauważyłeś, iż kiedy wspomina się o tytanach literatury współczesnej, zarówno w środowisku akademickim, jak i na łamach popularnej prasy, liczba kobiet jest w tej grupie po prostu przytłaczająca.

Cieszę się, mogąc stwierdzić, że mój (albo – kiedyś mój) Boris nie zgodziłby się z doktorem Sabbatinim. Mój zakopany po uszy w szczurach, przywiązany do ewolucji i genów staruszek wie, że geny wyrażają się poprzez środowisko, a mózg jest plastyczny i dynamiczny: rozwija się i zmienia zależnie od tego, co jest na zewnątrz. Rozumie też, że ludzie nie są – mimo naszych cech wspólnych – szczurami, a wyższe

funkcje wykonawcze istot ludzkich mogą mieć decydujące znaczenie przy określaniu, kim się stajemy; wie również, że dzisiejsza dobra nauka może jutro okazać się kiepska, tak jak w roku 1982 przy okazji sensacyjnego odkrycia, że ciało modzelowate, ów włóknisty łącznik półkul mózgowych doktora Beana, a szczególnie jeden z jego elementów zwany płatem, jest w rzeczywistości większy u kobiet niż u mężczyzn. W pracy tej – niebawem przybliżonej masom przez magazyn „Newsweek” – nie twierdzono, że kobiety mają przewagę intelektualną (tej idei annały historii ludzkości nigdy nie wypromowały); uznano natomiast, że my, posiadaczki wielkiego ciała modzelowatego, cieszymy się lepszą komunikacją między półkulami naszych mózgów, co w „Newsweeku” opisano przystępnie pod hasłem „kobiecej intuicji”. Potem jednak opublikowano badanie Koreańczyków i Koreanek, z którego wynikało, że ten uprzykrzony element jest większy u mężczyzn. Koreańczycy muszą być wyjątkowi. Kolejne badanie wykazało brak różnic. Następne prace donosiły: trochę większe, trochę mniejsze, mniej więcej takie samo, identyczne. W roku 1997 Bishop i Walsten, autorzy przeglądu czterdziestu dziewięciu badań ciała modzelowatego, podsumowali: „Szeroko rozpowszechniony pogląd, że kobiety mają większe płaty niż mężczyźni i w konsekwencji myślą inaczej, nie daje się obronić”. Ups. A jednak legenda krąży nadal. Znalazł się nawet pewien gorliwie głoszący odmianę własnej pseudonauki przygłup, który okrzyknął spoidło „opiekuńczą błoną mózgu”.

Nie chodzi o to, że między mężczyznami i kobietami nie ma różnicy; rzecz w tym, jaką różnicę robi ta różnica i jak ją opisujemy. Każda epoka miała własne badania nad odmiennością i jednością, własną biologię, ideologię i własną biologię ideologiczną, co ostatecznie przywodzi nas z powrotem do niesfornych dziewcząt, ich wyczynów oraz instrumentów ciemności.

Możemy wybierać spośród kilku współczesnych instrumentów ciemności; wszystkie są upraszczające i łatwe w obsłudze. Czy wytłumaczymy to wyjątkową, choć wątpliwą odmiennością kobiecego mózgu, genami, które wyewoluowały tysiące lat temu z tych „jaskiniowych kobiet zbierających pożywienie w pobliżu swoich

siedzib”, niebezpiecznymi skokami hormonów w okresie dojrzewania czy też nikczemną nauką społeczną, przesyłającą impulsy agresji i wściekłości do dziewczęcych jaźni? Z pewnością nasza Ashley, wbrew analizie pocziwego pana doktora i swojemu statusowi chromosomów XX, przejawia silne zainteresowanie „dominacją” i „agresją powiązaną z pozycją społeczną”; podobnie miały się sprawy z moją starą przyjaciółką Julią, kiedy dawno, dawno temu jako szóstoklasistka rozłożyłam pozostawioną na mojej ławce karteczkę i odczytałam słowa złożone z liter wyciętych z jakiegoś czasopisma: „Wszyscy cię nienawidzą, bo jesteś jedną wielką sztuczną”. Pamiętam, jak się zastanawiałam: Czy jestem sztuczna? Czyż nie wypożyczam z biblioteki książek z drobnym drukiem, które są dla mnie za trudne? Czy to dowód, że mają rację? Ten liścik zmałcił psychiczne błoto w moim wnętrzu – poczucie winy, słabość i niepokój, że nie jestem warta podziwu i miłości, których pragnę – to ja, oferma i beksa, pozwoliłam im mnie skazać. Sztuczność! Nie byłam dostatecznie sztuczna. Chwała trikom, masce białej, obliczu Drakuli, za którym ukrywa się łagodność. Wdziej zbroję i unieś kopię. Wysławiaj odrobinę fałszu, skoro chroni cię przed zmijami.

Truizmy często okazują się kłamstwem, ale fakt, że okrucieństwo to część ludzkiego życia, nie jest jednym z nich. Musimy podejść bliżej, tak blisko, żeby poczuć woń krwi sączącej się z nacięć, dreszczyk tajemnicy i teatralną grozę, którą dziewczęta odnalazły w Sabacie. Musimy zbliżyć się, aż odczujemy przyjemność, którą czerpały z krzywdzenia Alice; musimy też być blisko Alice, żeby zobaczyć, jak w swojej bezbronności i potrzebie bycia bardzo, bardzo grzeczną sama wyrwała sobie pazury, tak samo jak niegdyś ja.

Ty jednak, powiedziałam sobie, nie jesteś już dwunastolatką. Może nie masz najostrożniejszych pazurów, ale odrosły i możesz działać. Wykonałam siedem telefonów i powiedziałam siedmiu matkom, że potrzebuję tygodnia przerwy, ale podczas tego tygodnia każda z dziewczyn ma napisać własną wersję tego, co się wydarzyło, wierszem lub prozą. Na minimum dwie strony. Resztę zajęć spędzimy na takim czy innym omówieniu tego materiału. Byłam uparta. Doszły mnie wprawdzie jakieś zatroskane pomruki o „przechodzeniu przez to

wszystko jeszcze raz”, ale ostatecznie żadna mi się nie sprzeciwiła, nawet pani Lorquat, która wydawała się szczerze wstrząśnięta tą całą bezbożną aferą.

Kochana Mamo,

Tata przeniósł się do hotelu. Nie wiem, co się dokładnie dzieje, ale w czwartek spotkamy się na kolacji i obiecał, że ze mną porozmawia i będzie absolutnie szczerzy. Powiedziałam mu, że naprawdę powinien do Ciebie napisać, a on odrzekł, że to zrobi, ale muszę Ci powiedzieć, że przez telefon jego głos brzmiał strasznie smutno, apatycznie. Nie da się z niego czytać jak z otwartej książki, ale będę Cię informować na bieżąco, Mamo. Za półtora tygodnia będę w Bonden, kochana Mamusiu, wpadnę do domu i mocno Cię uściskam!

Wyrazy miłości od Twojej córeczki Daisy

A. Boris rzucił Przerwę.

B. Przerwa rzuciła Borisa.

C. Romans trwa nadal, ale duet uznał, że kwatery Przerwy jest za mała, stąd hotel.

D. Rozstali się za porozumieniem stron.

E. Żadne z powyższych.

A było lepsze od B, a B od C. D było lepsze od B. E było niewiadomą, czyli x. Ileż roztrząsania zawartości A, B, C, D i x. Snucie licznych fantazji o małżonku marnotrawnym, korzącym się lub klęczącym w przypiływie głębokiej skruchy. Inne, mniej satysfakcjonujące wyobrażenia złamanego przez Francuzkę serca małżonka. Trochę introspekcji własnego rozdartego, udręczonego, zboląłego serca. Żadnego płaczu.

A potem nadszedł środowy wieczór; było około wpół do dziesiątej, czytałam cichym głosem Thomasa Traherne’a, leżąc na kanapie z zieloną maseczką na twarzy – miksturę tę zakupiłam, ponieważ jej twórcy zapewniali, że zmiękczy i oczyści taką starszą twarz jak moja (nie wyrazili tego bezpośrednio, ale eufemistyczne „piękne rysy” na

etykietce jasno dowodziły ich intencji). Z sąsiedztwa dobiegł mnie głos wybuchowego Pete'a, wykrzykującego raz po raz dwa świetnie znane przekleństwa, przymiotnik pochodzący od czasownika oznaczającego uprawianie seksu i rzeczownik określający żeńskie genitalia. Po każdym werbalnym ataku moje ciało sztywniało jak po uderzeniu, podeszłam do szklanych drzwi wychodzących na ogródek i stałam tam, patrząc na niski, skromny domek sąsiadów, ale w oknach nie dostrzegłam nikogo. Nie było jeszcze zupełnie ciemno, a głęboki granat nieba przecinały ciemniejsze smugi szarawych chmur. Otworzyłam drzwi i wyszłam na trawę i gorące letnie powietrze; usłyszałam zawodzenie Simona, a potem trzaśnięcie frontowych drzwi. Zobaczyłam pędzący cień Pete'a, dobiegł mnie dźwięk zamykanych drzwi samochodu, zapłon, silnik zwiększający obroty i pisk opon toyoty corolli, która pędziła pustą uliczką i gwałtownie skręciła w lewo, zapewne na drogę do centrum miasteczka. Potem dostrzegłam w oknie wchodzącą do salonu Lolę z Simonem; skłoniła głowę i kołysała dziecko w ramionach, a Flora kroczyła za nimi jak lunaticzka. Wszyscy byli cali.

Nie poruszyłam się przez kilka minut. Stałam gołymi stopami na rozgrzanej trawie i wypełniał mnie niezmierny smutek. Nagle poczułam żal za nas wszystkich, cały rodzaj ludzki, jakbym w jednej chwili uniosła się w niebo i niczym wszechwiedzący narrator dziewiętnastowiecznej powieści przyglądała się spektaklowi pełnej wad ludzkości, pragnąc, by sprawy miały się inaczej, nie całkowicie, ale chociaż na tyle, by od czasu do czasu oszczędzić niektórym z nas odrobiny cierpienia. Z pewnością było to skromne życzenie, nie jakaś utopijna wizja, ale pragnienie rozsądnej narratorki, która potrząsa rudowłosą głową ze śladami siwizny i gorzko płacze; płacze, ponieważ należy płakać nad odwieczną powtarzalnością podłości, przemocy, małostkowości i krzywdy. I płakałam tak, aż drzwi się otworzyły, z wnętrza domu wyłoniło się troje moich sąsiadów i przeszło przez trawnik, a ja ich przyjąłam.

Tak naprawdę było ich czworo, ponieważ Flora zabrała ze sobą Mokiego. Idąc w moim kierunku przez trawę, ubrana jedynie w majteczki z postaciami z bajek, tłumaczyła mu żarliwie, że wszystko jest w porządku, nie ma się czym martwić i nie ma co płakać, bo wszystko będzie dobrze. Dziewczynka klepała powietrze obok siebie

i nawet raz je pocałowała, a kiedy znaleźliśmy się w środku, podbiegła do kanapy, zwinęła się w pozycji embrionalnej i mocno zacisnęła oczy. Zauważyłam, że nie ma peruki. Usiadłam przy Florze, skinęłam na Lolę, wskazując jej krzesło, i patrzyłam, jak osuwa się na nie z twarzą dziwnie pozbawioną wyrazu, niczym staruszka z obolałymi stawami. Nie wyglądało na to, żeby uroniła łzę – jej policzki były suche, a białka oczu niezaczerwienione – lecz jej klatka piersiowa unosiła się i opadała, gdy brała głębokie oddechy, jak osoba, która właśnie skończyła biegać. Delikatnie położyłam dłoń na plecach Flory. Otworzyła jedyne widoczne oko, przyjrzała mi się i oznajmiła:

– Jesteś zielona.

Moja ręka powędrowała do twarzy, gdy przypomniałam sobie o maseczce upiększającej; pobiegłam ją zmyć, wróciłam do pokoju i stwierdziłam, że Lola wygląda przede wszystkim na wyczerpaną. Miała na sobie cienki, wzorzysty płaszcz kąpielowy z jakiegoś syntetycznego materiału, który rozchylił się, ukazując duży fragment jej prawej piersi. Jasne kosmyki zwisały nieporządnie nad oczami, nie zadała sobie jednak trudu, by poprawić strój czy odgarnąć włosy. Była bezwładna, niezdolna do wysiłku. Simon zakwilił, przyciskając głowę do ramienia matki, ale ona się nie poruszyła. Wzięłam od niej dziecko i zaczęłam je kołysać, chodząc w tę i z powrotem. Nie odwracając się, żeby na mnie spojrzeć, powiedziała głosem utwardzonym determinacją:

– Nie wrócę tam dziś wieczorem. Nie chcę tam być, gdy przyjdzie do domu. Nie dziś.

Zaoferowałam im moje łóżko, na co odparła:

– Możemy w nim spać wszyscy, we czworo. To spore łóżko, prawda?

I spaliśmy w nim wszyscy, cała czwórka czy też piątka, zależy jak liczyć. Napoiłam Lolę paroma drinkami z whisky z zapasów mocnych alkoholi Burdów, po czym ukołysałam Simona do snu i ułożyłam go na łóżku, tłusciutką kuleczkę niemowlęctwa w błękitnej piżamce, głośno oddychającą, zaopatrzoną w stopki i usteczka, które rozwierały się i zamykały automatycznie. Wykopałam kocyk, który wcześniej schowałam, i owinęłam nim dziecko, żeby uchronić je przed podmuchami klimatyzatora. Następnie przyniosłam nieprzytomną Florę,

która chrząknęła, gdy okrywałam ją kocem, lecz szybko obróciła się na drugi bok i zapadła w głęboki sen. Gdy wróciłam, posiedziałyśmy chwilę z Lolą. Nie chciała mówić o mężu. Zapytałam ją o awanturę, ale odpowiedziała, że ich kłótnie są głupie, zawsze bez powodu, o nic ważnego, i że jest zmęczona, zmęczona Pete'em, samą sobą, czasami nawet zmęczona dziećmi. Mówiłam bardzo niewiele. Wiedziałam, że w tej chwili jestem powietrzem, przestrzenią, w której może umieścić słowa, a nie prawdziwą rozmówczynią. A potem, bez wyraźnych wstępów, zaczęła mi opowiadać, że gdy była dzieckiem, przez trzy lata od rozpoczęcia nauki nie wypowiedziała ani słowa.

– Mówiłam w domu, do rodziców, do moich braci, ale nigdy nie odzywałam się w szkole, do nikogo. Nie pamiętam wiele z przedszkola, ale przypominam sobie co nieco z zerówki. Pamiętam, jak pani Frodermeyer się nade mną pochylała. Jej twarz była wielka i bardzo blisko. Zapytała, dlaczego jej nie odpowiadam. Powiedziała, że to niegrzeczne. Ja to wiedziałam. Chciałam jej powiedzieć, że nie rozumiem. Ale po prostu nie mogłam. – Lola spojrzała na swoje dłonie. – Mama mówi, że gdzieś tak w pierwszej klasie zaczęłam szeptać w szkole. Nie posiadała się z radości. Jej dzieciak zaszeptał. A potem, po troszku, chyba po prostu mówiłam coraz głośniej.

Lola umościła się na łóżku przy dzieciach, a ja usiadłam na brzegu i przez jakieś dwadzieścia minut głaskałam ją po głowie. Jest tylko o dwa lata starsza od Daisy, powiedziałam sobie w duchu. Pomyślałam o niej, o Loli, milczącej dziewczynce, która nie potrafiła mówić w szkole. Obawa przed odezwaniem się w miejscu, które nie jest domem, które jest zewnętrzne, obce. Jak wiele zjawisk, także to miało nazwę, mutyzm wybiórczy, wcale nierzadki wśród małych dzieci. Potem pomyślałam o młodej kobiecie, którą hospitalizowano w tym samym czasie co mnie, i usiłowałam przypomnieć sobie jej imię, ale nie mogłam. Ona też nie mówiła, ani słowa. Szczupła, biała, jasnowłosa – przywodziła mi na myśl gruźlicze upiory z epoki romantyzmu. Widziałam, jak spaceruje sztywno w tę i z powrotem po korytarzu, przygarbiona, z długimi, jasnymi włosami zasłaniającymi twarz niczym welon; tuż przy ustach trzymała plastikowy dzbanek, do którego mogła splotać, czasami cicho, niekiedy hałaśliwie odchrząkując z płuc grudki

śluzu, co wywoływało chichoty pozostałych pacjentów. Pewnego razu widziałam, jak wskoczyła za kanapę w pokoju spotkań, skuliła się i zniknęła mi z oczu, a za chwilę usłyszałam ochrypły odgłos, który towarzyszył wymiotowaniu do dzbanka. Na lewą stronę. Niech zewnątrz pozostanie na zewnątrz. Zapieczętuj mnie szczelnie jak baryłkę. Zamknij mi oczy. Zamknij moje usta. Załóż sztabę na drzwi. Zaciągnij rolety. Pozwól mi trwać w moim niemym azylu, mojej twierdzy szaleństwa. Gdzież się teraz podziewa ta nieszczęsna dziewczyna?

Znalazłam kawałek wolnego miejsca koło Flory i w końcu zasnęłam mimo koncertu rodem z krainy snów, którym uraczyli mnie moi nocni goście: poświstywania zapchanego nosa małego Simona, przeżuwanymi odgłosami Flory, która ssała i podgryzała swój palec wskazujący, oraz niespokojnych pomruków i pojedynczych słów artykułowanych przez Lolę. Kilkakrotnie powiedziała „nie”, cichym, piskliwym głosem. Leżałam z nimi w łóżku, lecz mój umysł błądził, jak to on, po wyobrażeniach Borisa, wacka, Przerwy i zawieszonoego pamiętnika seksualnego. Myślałam o zapisaniu niezliczonych snów, z których budziłam się, przeżywając pełny, rozpustny orgazm, albo o napisaniu o F.G., którego przezwałam Wypasem, ponieważ skubał i podgryzał, przesuwając się w górę i w dół mojego ciała jak po smakowitej zielonej łące. Potem pozwoliłam sobie na kilka minut maksymalnego rozdrażnienia, wynikającego z biogenetycznej fantazji, że istnieje możliwość dokładnego wyliczenia wpływu genów i wpływu środowiska na istoty ludzkie, i zaczęłam pisać w głowie zjadliwą krytykę, lecz ostatnią rzeczą, którą pamiętam, a która znacznie złagodziła mój nastrój, było powrócić do Traherne'a i jego utworu Cienie na wodzie, który jeszcze kilka godzin wcześniej kilkakrotnie odczytałam na głos. Sądzę, że tę myśl wywołały jałowe rozmyślenia nad Mokim i nad tym, czy niewidzialny leży między nami; silny, dziki chłopczyk o długich włosach, który lata, tyle że powoli, ale po rodzicielskim wybuchu potrzebuje pocieszenia, poklepywania i pocałunków swojej niziutkiej, pulchnej, obecnie pozbawionej peruki twórczyni.

Wy, obok których wzrokiem płynę,
Wy, których widzę przez szczelinę,
Zali nosicie ciała nasze?
Mów, czyje stopy? czyje twarze?
O przyjaciele moi,
Wasz cień nad wodą stoi!
Mną jesteś! Prawda? Mów! Poznałem?
Ten Cień jest moim własnym ciałem!

Obudził mnie Pete, nie we własnej osobie, lecz jego głos w słuchawce telefonicznej. Nie był to głos gniewny, lecz spokojny, uprzejmy, acz pełen napięcia, prosił do telefonu „swoją żonę”. Nie widziałam moich gości – łóżko okazało się puste – ale słyszałam, że są w kuchni. Flora podśpiewywała jakieś głupoty, dało się słyszeć brzęczenie naczyń i głuchoe odgłosy uderzających o siebie przedmiotów, a następnie napłynął wyraźny zapach tostów.

Lola odebrała telefon w sypialni, a ja wzięłam na ręce Simona i dopilnowałam drugiej części śniadania Flory, tostów z dżemem, którym wywijają w powietrzu pomiędzy kolejnymi kęsami, paradując w tę i z powrotem po biało-czarnych płytkach ze śpiewem na ustach. Niemowlę zwymiotowało mleko, brudząc całą górę mojej pizamy. Delikatna woń zwróconego mleka, płyn przeciekający przez materiał i moczący moją skórę, wijące się, wierzgające ciało, które trzymałam pewnie przy piersi – wszystko to przypomniało mi stare czasy z małą Daisy, wybuchową, żywiołową maleńką Daisy. W pierwszych miesiącach jej życia nosiłam ją godzinami, szeptałam jej do ucha uspokajające słowa i raz po raz powtarzałam jej melodyjne imię, aż poczułam, że jej napięty tors i kończyny ulegają rozluźnieniu. Miałam tylko jedno dziecko i wcale nie było mi łatwo. A Lola miała dwoje. Mama także miała dwoje. Kiedy Lola wyłoniła się z sypialni, zatrzymała się w drzwiach i tajemniczo uśmiechnęła. Zastanawiałam się, czy miotający przekleństwa Pete błagał o wybaczenie i wywołał ten uśmiech, czy to ja wyglądałam komicznie, trzymając Simona, który teraz zaczął wyć. Zanim Lola chwyciła swoich podopiecznych i powlokła się ciężko przez trawnik do zboląłego, skruszonego, poważnego męża, oznajmiła

lakonicznie:

– To się nigdy nie zmienia. Zawsze jest tak samo. Pewnie sobie pomyślałaś, że zmądrzeję, prawda? To mu jednak napędziło stracha, przestraszył się, że nie było mnie w domu. Dzięki, Mio.

Stara dobra Mama Mia, która żyje samotnie w wielkim, szerokim łóżu; wypełnia czysty przestwór białej pościeli wewnętrznymi przemowami i wspomnieniami, wirem myśli, bólem i cierpieniami. Mia, Matka Daisy. Mia, Matka Straty. Kiedyś Żona Borisa. Lecz „O, jakże ciężka przemiano, przeminęła już twa sztuka”. Tylko Milton jej w głowie. O Muzo. O Mio, rapsodyczna kretyńko, wściekła laluniu, nie lamentuj dłużej! Wymieć smutki, wyczyść plamy, zzuź buty, zaśpiewaj samej sobie coś głupiutkiego, żeglując po morzu bezkrólewia tym ogromnym, skrzypiącym szkunerem łóża; nie jarmarczną królową, Orędowniczkę Roześmianego Oblicza, lecz króla ci przeznaczam.

W czwartkowe popołudnie Boris napisał, co następuje; załączam analizę literacką:

Mio,

to już koniec z [nazwa własna francuskiego obiektu miłości]. Zatrzymałem się w Roosevelcie. W ciągu ostatnich dwóch tygodni rozmyślałem o moim życiu więcej niż kiedykolwiek do tej pory. Był to dla mnie czarny okres. Zadzwoiłem nawet do Boba [znajomego psychiatry, zajmującego się badaniami w Fundacji Rockefellera. Użyty w tym miejscu wyraz nawet to przykład niedomówienia, na jakie potrafi zdobyć się B.I. Zawsze uparcie i zaciekle opierał się jakimkolwiek formom interwencji psychoterapeutycznej. Telefonowanie do Boba sugeruje desperację]. Stało się dla mnie jasne, że postępowalem pochopnie, aby uciec przed częścią samego siebie i elementami mojej przeszłości, a Ty z tego powodu cierpiałaś. [Czytaj: matka, ojciec, Stefan, no i pamiętaj, że Boris jest naukowcem. Będzie przedzierał się dalej. To chyba ma związek z jego zawodem]. Kiedy byłem z [nazwa własna młodej frankofońskiej uwodzicielki], dużo jej o Tobie opowiadałem. Jak się możesz domyślać, nie było to dobrze przyjmowane. Irytowały ją również

moje domowe nawyki czy też ich brak. [Czytaj: piętrzące się w popielniczkach pety, hałdy ostatnio czytanych „Nature”, „Science”, „Brain”, „Genomics” i „Genetics Weekly” w każdym wolnym kącie mieszkania, ubrania porzucone na podłodze. Czytaj także: Twierdzenie, że pomimo ukończenia trzech kierunków podoktoranckich nie jest w stanie opanować metod obsługi zmywarki, pralki ani suszarki]. Zacząłem postrzegać ją jako osobę, którą idealizowałem z daleka, i podejrzewam, że ona myśli to samo na mój temat. [Nierealne nie przesłania już realnego]. Wspólna praca i wspólne życie to dwie różne sprawy. [Dam sobie za to rękę uciąć, koleżko]. Mio, chciałbym się z Tobą spotkać i porozmawiać. Stęskniłem się za Tobą. Dziś wieczorem zjem kolację z Daisy.

Boris

Doszłam do wniosku, że rzeczywistość musi odzwierciedlać punkt A, B lub D. Wydawało się, że C i x można odrzucić.

Jeżeli ta króciutka epistoła wydaje ci się, w świetle tego, co się wydarzyło, niewystarczająco emocjonalna, to muszę się z tobą zgodzić, lecz, z drugiej strony, nie żyłeś z tym człowiekiem przez trzydzieści lat. Boris jest uczciwy w najwyższym stopniu. Wiedziałam, że każde jego słowo jest przemyślane i szczerze, ale zdawałam sobie także sprawę z tego, że ten człowiek ma skłonność do beznamietnej postawy. W przypadku niektórych ludzi wskazuje to na prawdziwy brak uczuć w głębi duszy, ale z Borisem jest inaczej. Cały list sprowadzał się do trzech zdań: „Był to dla mnie czarny okres”, „Zadzwoń mi nawet do Boba” i „Stęskniłem się za Tobą”. Odpisałam:

Borisie. Ja też się za Tobą stęskniłam. A jednak w Twoim liście brakuje informacji, kto porzucił kogo. Z pewnością rozumiesz, że z mojego punktu widzenia ma to znaczenie. Jeżeli Przerwa wyrzuciła Cię na ulicę i ten czyn sprawił, że ponownie rozpatrzyłeś nasze małżeństwo, to coś zupełnie innego niż fakt, iż postanowiłeś od niej odejść po zakwestionowaniu Waszego związku z powodu wcześniejszego związku ze mną. Te dwie możliwości różnią się również od obopólnej decyzji

o rozstaniu.

Mia

(Skoro on nie napisał „Wyrazy miłości”, to ja z pewnością nie miałam zamiaru zniżać się do tej piekielnie podchwytliwej frazy).

Rozgorączkowanie przychodzi zazwyczaj nagle. Poruszeniu w jednym miejscu często odpowiada podobny rozgardiasz w innym. Nie ma na to dobrego wyjaśnienia. Współzależność nie jest przyczyną. To po prostu „melodia przypadku”, jak to określił pewien wybitny powieściopisarz amerykański. Po długich, spokojnych, nieciekawych okresach nadchodzą nagle wybuchy akcji; o poranku, który nastąpił po pełnym wrzasków porzuceniu przez Pete’a żony i dzieci, inne, równie dramatyczne odejście rozgrywało się w Rolling Meadows, o czym dowiedziałam się podczas codziennych odwiedzin u matki. Regina udała się do salonu piękności, żeby „profesjonalnie upiąć” swoje długie włosy, spakowała się w dwie walizki i telefonicznie oznajmiła trzem Łabędzicom, że nie może już dłużej znieść uwięzienia w domu opieki; następnie trzasnęła drzwiami mieszkania i pomaszerowała zwawo korytarzem (na tyle zwawo, na ile pozwalała Reginie jej słaba noga). Matka i Peg (Abigail była niedysponowana) podążały za uciekinierką aż do głównego wejścia, gdzie wzięły ją w krzyżowy ogień pytań na temat tego, co na litość boską zamierza zrobić. Jej trzy córki chciały, żeby tu została. Zerwała przecież z Nigelem po aferze ze złotym zegarkiem i piersiastą barmanką, czyż nie? W ciągu kilku sekund ustaliły, że Regina nie ma pojęcia, dokąd mogłaby się udać. Jej ucieczka była ucieczką najprawdziwszą, czyli, inaczej mówiąc, ucieczką bez celu. Co więcej, rozwodziła się nad doktorem Westerbergiem, który miał jej rzekomo grozić, i stwierdziła, że gdyby nie „uciekła”, niewątpliwie by ją „przymknął”. Po kwadransie matce i Peg udało się nakłonić ją do powrotu do mieszkania. Potem odbyła się łzawa scena, lecz na koniec wydawało się, że Regina poddała się losowi, bo obiecała przyjaciółkom, że nie ruszy się z miejsca.

Rozdział drugi: Dosłownie na dwie godziny przed moją wizytą matka zapukała do drzwi Reginy, żeby sprawdzić, w jakim jest nastroju. Regina nie chciała wpuścić jej do środka. Co więcej, oznajmiła, że zabarykadowała drzwi jakimś meblem, żeby stworzyć zaporę przed wrogami, a w szczególności przed doktorem Westerbergiem. Relacjonując to wydarzenie, matka smutno kręciła głową. Mogłam jej tylko współczuć. Gdy pojawia się paranoja, niewiele daje powiedzenie paranoicze, że jej strach nie ma podstaw. Rozumiałam to. Też byłam kiedyś stuknięta. Spróbowałam przemówić do rozsądku pozbawionej go przyjaciółce, matka udała się do pielęgniarki, żeby donieść o zajściu pod numerem 2706; wezwano personel medyczny łącznie z diabolicznym doktorem Westerbergiem, otwarto drzwi i usunięto mebel z drogi, a samą Reginę odesłano do szpitala w Minneapolis „na badania”.

Po skończeniu opowieści matka jakby patrzyła prosto przeze mnie. Wyglądała na zasmuconą. Wydawało się, że smutek ściga nas wszystkie. Siedząc koło niej, wzięłam ją za rękę, ale nic nie powiedziałam.

– Chyba już nie wróci – stwierdziła matka. – W każdym razie nie będzie chciała tu wracać.

Uścisnęłam jej szczupłe palce, a ona odwzajemniła mi się tym samym. Przez okno widziałam rudzika, który przysiadł na ławce na dziedzińcu.

– Miała ikrę – powiedziała matka.

Zauważyłam, że użyła czasu przeszłego.

Jeszcze jeden rudzik. Para.

Matka zaczęła mówić o Harrym. Rozmowy o stracie zawsze prowadziły do Harry’ego. Mówiła o nim często, lecz tym razem oznajmiła:

– Zastanawiam się, co by się ze mną stało, gdyby Harry nie umarł. Zastanawiam się, co byłoby we mnie inne.

Powiedziała mi to, co już wiedziałam, że po śmierci brata postanowiła być dla rodziców idealnym dzieckiem, przynigdy nie dać im kolejnego powodu do żalu, że starała się tak mocno, ale to się nie udawało. A potem ledwo słyszalnym głosem powiedziała coś, czego jeszcze nigdy nie mówiła:

– Czasami zastanawiałam się, czy nie woleliby, żeby to na mnie padło.

– Mamo – zaproponowałam ostro.

Nie zwróciła na to uwagi i mówiła dalej. Powiedziała, że nadal śni jej się Harry i nie zawsze są to dobre sny. Znajdowała jego ciało gdzieś w mieszkaniu, za regałem czy krzesłem, i nie rozumiała, dlaczego nie leży w swoim grobie w Bostonie. W jednym ze snów pojawił się jej ojciec i zażądał odpowiedzi na pytanie, co zrobiła z Harrym. Powiedziała, że kiedy Bea i ja byłyśmy małe, przechodziła okresy przerażenia, że coś jej nas odbierze, jakaś choroba lub wypadek.

– Chciałam was uchronić przed wszystkimi krzywdami. Nadal chcę, ale to się nie udaje, prawda?

– Nie – odparłam. – Nie udaje się.

Przygnębienie matki nie trwało jednak długo. Powiedziałam jej, że jestem w kontakcie z Borisem, co ją zarówno rozweseliło, jak i zmartwiło; rozważyłyśmy kilka możliwych następstw i przedyskutowałyśmy kwestię, czego oczekuję od mojego męża, a ja odkryłam, że dokładnie nie wiem; z kolei przeszłyśmy do scenicznego życia Daisy i wiążącej się z nim niepewności, ale ustaliłyśmy, że to jednak cholernie dobre dziecko; a potem zatelefonowała Bea, ja nadal byłam na miejscu i słyszałam, jak matka śmieje się z jakichś żarcików mojej siostry, a przy kolacji roześmiała się znowu, na cały głos, tym razem z mojego dowcipu. Gdy się żegnałyśmy, objęła mnie mocno i poczułam, że jej wcześniejsze przygnębienie się rozwiało, oczywiście nie na zawsze, ale na ten wieczór. Dwunastoletni Harry zawsze tam będzie, duch dzieciństwa mamy, pusta sylwetka nadziei rodziców i jej własnego poczucia winy, że ona pozostała przy życiu. Wyobraziłam sobie matkę w wieku sześciu lat, taką, jaką widziałam na starej fotografii. Ma rude włosy. Na czarno-białym zdjęciu nie da się zobaczyć koloru, ale dodaję rudość w swoim umyśle. Mała Laura stoi obok Harry'ego, niższa od niego o głowę. Oboje mają na sobie białe marynarskie ubranka z granatową lamówką. Żadne z dzieci się nie uśmiecha, ale to właśnie twarz matki mnie interesuje. Przez przypadek to ona patrzy przed siebie, w przyszłość.

Poniżej przedstawiam, bez komentarza, pisemny dialog, który był możliwy dzięki technice dwudziestego pierwszego wieku, odbył się następnego dnia pomiędzy B.I. i M.F., a jego tematem były scenariusze A, B, D, i tak dalej.

B.I.: Mio, czy to naprawdę ważne, co się stało? Czy nie wystarczy, że między nami wszystko skończone i chcę się z Tobą spotkać?

M.F.: Gdyby historia się odwróciła i ja byłabym Tobą, a Ty mną, czy to byłoby dla Ciebie ważne? To kwestia tego, co dzieje się w sercu, mój stary przyjacielu. Serce zranione odrzuceniem à la française, nieszczęśliwe i zaskakująco bezsilne, Mąż stwierdza, że lepiej byłoby rozpocząć proces pojednania z Zawsze Wierną, albo, dostrzegając błędy w swoim postępowaniu, Małżonek penetruje swoją Głupotkę (ha, ha, ha) i doznaje objawienia: Stara Wyśluzona Żona prezentuje się korzystniej, gdy na nią spojrzeć z Górnego Manhattanu.

B.I.: Czy możemy sobie darować gorzką ironię?

M.F.: Jak, u licha, wyobrażasz sobie, że miałabym bez niej przetrwać? Pozostałabym wariatką.

B.I.: To ona zerwała. Ale ta relacja była już przetrącona.

M.F.: Ja byłam przetrącona, a Ty przyjechałeś do szpitala jeden raz.

B.I.: Nie pozwalali mi przyjeżdżać. Próbowałem, ale mi odmówili.

M.F.: Czego chcesz ode mnie teraz?

B.I.: Nadziei.

Nie umiałam odpowiedzieć na „nadzieję” aż do kolejnego dnia. Odwrócenie, o którym marzyłam, nadeszło, a ja czułam się twarda jak kawałek krzemienia. Moja odpowiedź powędrowała do wielkiego B następnego ranka: „Zabiegaj o mnie”.

A on odpisał wielce romantycznie: „OK”.

Platon, *Państwo*, księga piąta, przeł. Władysław Witwicki, Warszawa 1994, tom I, s. 221.

Tamże, s. 222.

Thomas Traherne, *Cienie na wodzie*, przeł. Jerzy S. Sito, w: *Poeci języka angielskiego*, Warszawa 1969, tom I, s. 767.

* * *

Pan Nikt nie odzywał się od jakiegoś czasu i zaczęłam się martwić. Odbijaliśmy wzajemnie piłeczkę na temat gry, a raczej igrania z grą. On pierwszy zrobił derridowską wrzutkę: odwieczna gra logosu, kręcimy się w kółko bez końca i bez rozwiązania, a wszystko to jest zapisane, czynienie i odczynianie; potem ja rzuciłam Freudowskim Przypominaniem, powtarzaniem, przepracowywaniem, w którym szanowny doktor mówi nam, że przeniesienie, ta przerażająca przestrzeń między psychoanalitykiem i pacjentem, jest jak Spielplatz, plac zabaw, miejsce zawieszane gdzieś między chorobą a prawdziwym życiem, gdzie jedno może stawać się drugim; następnie on cisnął pięknym cytatem z samego wielkiego Montaigne'a: „Jeżeli ktoś mówi, że dla Muz upokarzające jest używanie ich tylko dla igraszki i rozrywki, to nie zna – w przeciwieństwie do mnie – wartości płynących z przyjemności, zabawy i radości. Jestem wręcz bliski stwierdzenia, że każdy inny cel byłby niedorzeczny”. Ja z kolei ostrzeliwałam się Winnicottem i Wygotskim; ten ostatni zmarł, co prawda, w roku 1934, ale dla mnie okazał się nowym objawieniem. Następnie moje perorujące widmo zamilkło.

Uznałam, że minęło zbyt wiele czasu:

Wszystko w porządku? Myślę o Tobie.

Mia

Klub książki jest spory. Rośnie jak grzyby po deszczu i jest formacją kulturalną zdominowaną niemal całkowicie przez kobiety. Faktycznie, w dzisiejszych czasach czytanie beletrystyki często uważane jest za kobiece zajęcie. Mnóstwo kobiet czytuje literaturę piękną. Większość mężczyzn tego nie robi. Kobiety czytają beletrystykę tworzoną przez kobiety i przez mężczyzn. Większość mężczyzn tego nie robi. Jeżeli mężczyzna otwiera powieść, chciałby, żeby na okładce widniało męskie imię i nazwisko, to w jakimś sensie dodaje mu otuchy. Nigdy nie wiadomo, co mogłoby się stać z zewnętrznymi genitaliami, gdyby człowiek zagłębił się w wizje osoby z klejnotami ukrytymi

w środku. Co więcej, mężczyźni lubią przechwalać się swoim lekceważeniem literatury pięknej: „Ja nie czytam powieści, ale moja żona tak”. Wydaje się, że współczesna wyobraźnia literacka wydziela aromat zdecydowanie kobiecy. Jak mówi Sabbatini: my, kobiety, mamy gadane. Prawdę mówiąc, odbieramy powieść entuzjastycznie od samych jej narodzin pod koniec siedemnastego wieku, a w owych czasach czytanie beletrystyki pachniało tajemnicą. Delikatny umysł kobiecy, jak pamiętamy z poprzednich stron tej książki, może łatwo ulec erozji w wyniku narażenia na kontakt z literaturą, a w szczególności z powieścią pełną historii o namiętności, zdradzie, mnichach i libertynach, falujących biustach i waśniakach, o pustoszących i pustoszonych. Czytanie powieści jako rozrywka młodych panien wywoływało swoją pikanterią rumieńce. Logika: czytanie to zajęcie prywatne, któremu często oddajemy się za zamkniętymi drzwiami. Młoda dama może ukryć się z książką, może ją nawet zabrać do buduaru, i tam, ułożywszy się w jedwabnej pościeli, upajać się emocjami, które wyszły spod piór pisarzy; jedna z jej rąk, wcale niepotrzebna do przytrzymywania małego tomiku, może wędrować. Mówiąc w skrócie, obawa dotyczyła czytania jednoręcznego.

O piątej po południu w sobotę klub książki Rolling Meadows spotkał się w bibliotece przy maleńkich kanapkach i jeszcze mniejszych lampkach wina, żeby porozmawiać o powieściopisarce Jane Austen, autorce Perswazji, ironicznej obserwatorce, precyzyjnej badaczce ludzkich uczuć, niebiańskiej stylistce i twórczyni, która pozbyła się zboczonych mnichów, lecz zachowała własną wersję nagrodzonej cnoty. Uwielbiana i nienawiedzona, nie dawała krytykom chwili oddechu. „Każda biblioteka jest dobra, jeżeli nie znajdziemy w niej żadnej książki Jane Austen – orzekł literacki pupilek Ameryki Mark Twain – nawet jeśli nie ma tam innych książek”. Carlyle nazwał jej utwory beznadziejną szmirą. Nawet dzisiaj oskarża się ją o ograniczenie i klaustrofobię, lekceważy jako pisarkę dla kobiet. Życie na prowincji, niewarte wspomnienia? Nic nieznaczące trudy kobiet? Oczywiście jeżeli to Flaubert, to w porządku. Litujmy się nad idiotami.

Może pamiętasz, że poproszono mnie o otwarcie spotkania. Wprowadziłam kilka poprawek tu i tam, zmieniłam ton

z prowokacyjnego na bardziej strawną i dodałam długą przemowę na temat Wielkiej Jane, która stanęła na krawędzi dwóch epok literackich i otworzyła powieści nową drogę, ale powyższy akapit mniej więcej oddaje to, co powiedziałam, nie będę się więc tutaj powtarzać.

Dyskutantki: trzy pozostałe Łabędzice – matka uzbrojona w egzemplarz wspomnianej książki z zaznaczonymi stronami; Abigail, zgięta bardziej niż zwykle, nadzwyczaj słabowita, odziana w bluzkę z pieczołowicie wyhaftowanymi smokami; łagodna, dobrodusza Peg nastawiona wyraźnie optymistycznie – oraz trzy nieznane mi panie: Betty Petersen o spiczastym podbródku i bystrym spojrzeniu zapewniała rodzinie dodatkowy dochód jako autorka dowcipnych tekstów na pocztówkach z życzeniami; Rosemary Snedrud, dawniej nauczycielka angielskiego w ósmej klasie; Dorothy Glad, wdowa po pastorze Gladzie, który kierował kiedyś małym kościołem braci morawskich przy Apple Street.

Sceneria: Dwie stojące naprzeciwko siebie kanapy obite tkaniną o wzorze agresywnego listowia w zatrważających odcieniach zieleni i fioletu, dwa wyściełane krzesła o znacznie mniej porażającym wyglądzie, również ustawione naprzeciwko siebie; wszystko to wokół owalnego stoliczka na jednej chwiejnej nóżce, przez którą kiwał się od czasu do czasu, gdy go mocniej potrącono. Na najdalszej ścianie trzy okna z widokiem na dziedziniec i altanę. Tomy na regałach, większość leżąca ociężale na bokach lub oparta apatycznie o przegrody, w zbyt małej liczbie, by pomieszczenie kwalifikowało się do miana biblioteki. Cisza panująca w budynku, przerywana jedynie skrzypieniem balkoników w pobliskim korytarzu oraz sporadycznym pokasływaniem.

Spór: Czy próżny, niemądry, rozrzutny ojciec, próżna i zimna siostra Elizabeth i pełna najlepszych intencji, życzliwa, ale prawdopodobnie słabo zorientowana starsza przyjaciółka, lady Russell, powinni namówić młodą Anne Elliot do zerwania z kapitanem Wentworthem, w którym jest szaleńczo zakochana, ponieważ ma on tylko pespektywy, ale żadnej fortuny? Być może zauważyłeś, że większość członków klubów książki postrzega postacie w książkach dokładnie tak samo, jak postacie spoza książek. Niewielkie znaczenie ma

fakt, że te pierwsze powstały z liter alfabetu, zaś te ostatnie są ludźmi z krwi i kości. Mógłbyś pomyśleć, że jestem temu przeciwna – ja, która wycierpiałam niezliczone udręki teorii literackiej, dokonałam przemiany lingwistycznej, byłam świadkiem śmierci autora, zdołałam jakoś przetrwać fin de l’homme żyjącego hermeneutycznie, spoglądającego ku aporiom, zdumionego pojęciem différence i zaniepokojonego terminem sein w opozycji do Sein, nie wspominając już o maleńkim a tego pełnego zawłości Francuza oraz chmarze dodatkowych intelektualnych węzłów i fałd, które musiałam rozplątać i wygładzić podczas mojego życia – lecz byłbyś w błędzie. Książka to współpraca między czytającym a tym, co jest czytane; najlepiej, żeby to spotkanie zamieniło się w prawdziwą historię miłosną. A wracając do wspomnianego sporu:

Peg jest optymistką. Ostatecznie Anne łączy się z Wentworthem, więc wszystko kończy się dobrze.

Abigail ostro się sprzeciwia:

– Stracone lata! Kto ma czas, żeby marnować lata?

Po tym stanowczym stwierdzeniu przechyla stół na jedną stronę. Zsuwa się kieliszek. Złapany przez Rosemary Snesrud. Nie spada.

Krępująca cisza odnosząca się do marnowania, moje milczenie wśród milczenia innych, cisza pełna namysłu nad zmarnowanymi latami, nad tym, co niezrobione, nienapisane.

Dorothy Gład dorzuca pozatekstową, absolutnie nieradosną możliwość:

– Mógł utonąć na morzu! Wtedy nigdy nie znalazłaby miłości.

Proponuję, żebyśmy trzymały się treści jako takiej, a pominęły ewentualne katastrofy morskie.

Matka unosi wyimaginowaną szalę i waży obowiązek wobec rodziny oraz namiętność. Wyobraźcie sobie ból związany z wyobcowaniem z rodziny. To też trzeba brać pod uwagę. Dla Anne nie istniało łatwe rozwiązanie. Zerwanie z lady Russell było dla pozbawionej matki Anne równoznaczne z zerwaniem z rodzicielką.

Rosemary S. popiera moją matkę. Zgodnie z filozofią pani Snesrud, życiowe decyzje są „śliskie”.

Betty Petersen wprowadza kwestię podejrzanego kuzyna Elliotów, któremu przeznaczone jest odziedziczenie rodzinnego tytułu baroneta:

– Mogłaby się chajtnąć z tym podstępny wężem, gdyby przyjaciółka, jak jej tam było, jej nie ostrzegła. Lady Russell była totalnie zbajerowana.

Abigail z narastającą irytacją upiera się, że deptanie swoich pragnień prowadzi do ułomności. Oznajmia z mocą, słabiutko stukając w blat stolika:

– To okalecza duszę!

Stolik kiwa się zgodnie, lecz Peg mlaska językiem. Mówienie o okaleczeniach zagraża optymizmowi wszelkiej maści.

Matka spogląda poważnie na swoją przyjaciółkę Abigail, rozumiejąc, że to nie duszę Anne okaleczono. Zgarbiona Abigail drży. Widzę, jak kościste są jej ramiona, ukryte pod bluzką w smoki. Nawiedza mnie irracjonalna obawa, że siła emocji wstrząśnie jej kruchymi kośćmi i połamię je, zmieniam więc temat rozmowy i przechodzę na mężczyzn, kobiety i bliską mojemu sercu kwestię wierności. Co dyskutantki sądzą o poglądzie Anne na kobiety i mężczyzn, który przedstawia w rozmowie z kapitanem Harvillem?

Tak (...). My nie zapominamy o was tak szybko, jak wy o nas. To zapewne bardziej nasze fatum niż zasługa. Żyjemy w domu, w spokoju, z dala od ludzi i jesteśmy wydane na pastwę naszych własnych uczuć. Wy musicie działać. Macie swoją profesję, swoje cele, swoje sprawy, które wciągają was w świat. A liczne zajęcia i szybkie zmiany zacierają wspomnienia.

* * *

Wszystkie zgromadzone w pomieszczeniu kobiety oprócz mnie miały powyżej siedemdziesięciu pięciu lat. Dwie nauczycielki, trzy gospodynie domowe i pocztówkowa dowcipnisia na niepełny etat mogły, co prawda, urodzić się w Krainie Możliwości, lecz możliwości te były mocno uzależnione od natury ich części intymnych. Przypomniałam sobie słowa mojej matki: „Zawsze myślałam, że będę szła naprzód i zostanę przynajmniej magistrem, ale było tak mało czasu i nie dość pieniędzy”. Nagle wrócił do mnie obraz matki siedzącej przy kuchennym stole z podręcznikiem do gramatyki francuskiej; jej wargi poruszały się, gdy powtarzała cichutko odmianę czasownika.

Harville wytacza ciężkie działa, by odeprzeć argumenty Jane, aczkolwiek czyni to w niezwykle uprzejmy sposób.

Nie sądzę, bym kiedykolwiek otworzył książkę, w której nie było wzmianki na temat kobiecej niestałości. Wszystkie pieśni i przysłowia także potwierdzają, że kobieta zmienną jest. Ale tu pewnie pani stwierdzi, że zostały napisane przez mężczyzn.

– Może i stwierdzą. Pozwoli pan jednak, że nie będziemy się powoływać na książkowe przykłady. Mężczyźni mają nad nami tę przewagę, że sami opowiadają swoje dzieje. Zawsze otrzymywali lepsze wykształcenie i częściej chwyтали za pióro. Nie mogę się zgodzić na żadne dowody zaczerpnięte z książek¹.

Oczywiście pióro, które skreśliło te słowa, spoczywało w dłoni Austen, a była to dłoń staranna. Charakter pisma tej kobiety był równie klarowny i precyzyjny, co jej proza. A teraz, drogi czytelniku, to ja dzierżę pióro i przypisuję sobie przewagę, ponieważ zobaczysz, że słowo pisane ukrywa jego autora. Mógłbyś nawet nie wiedzieć, że jestem zamaskowanym mężczyzną. Mało prawdopodobne, powiesz, bo aż tu gęsto od feministycznej paplaniny; ale czy możesz mieć pewność? Daisy miała w college’u Sarah Lawrence feministycznego profesora, zdecydowanie mężczyznę, nawet żonatego, posiadacza dzieci i yorka, walczącego o sprawy kobiet, szlachetnego obrońcę drugiej płci. Mia

mogłaby się w rzeczywistości okazać Mortonem. Ja, twoja prywatna narratorka, mogłabym nosić maskę pseudonimu.

Wracając jednak do naszej opowieści: Jak można się było spodziewać, kobiety z Rolling Meadows wybierają narożnik Anne. Nawet Wiecznie Rozpromieniona Peg przyznaje, że w domu z pięciorgiem „wspaniałych dzieci” zdarzały jej się chwile, gdy pragnęła jakiejś rozrywki, gdy była wydana na pastwę swoich uczuć; a potem, w przypiływie zdumiewającego oświecenia, nasza etatowa optymistka wyznaje, że bywały dni, kiedy czuła się „cholernie zmęczona i przygnębiona” i że z jej doświadczenia wynika, iż mężczyźni mają znacznie większy dar zapominania kobiet niż kobiety – mężczyźni. Czyż to nie oni odwracają się i żenią ponownie zaledwie w kilka miesięcy po tym, jak ich żony „schodzą z tego świata”? (Darowałam sobie komentarz, że Boris nawet nie zaczekał, aż umrę).

Betty rzuca dowcipny cytat:

– „Jestem kobietą. Jestem niezwycięzona. Jestem wykończona”.
Śmiech.

Rosemary wskazuje wyjątek od zasady, że kobiety czekają, usychają z tęsknoty i pielęgnują nadzieje: Reginę.

Chichoty.

Matka bierze zaprzyjaźnioną Łabędzicę w obronę:

– Przynajmniej dobrze się bawiła!

Abigail kiwa głową, patrzy czule na matkę i oznajmia głośnym, schrypniętym głosem:

– Trzeba powiedzieć, że my wszystkie powinnyśmy były lepiej się bawić!

Która z nas zaprzeczy? Z pewnością nie ja. Ani matka, Dorothy, Betty, Rosemary, nawet nie Peg, chociaż ta ostatnia obdarza nas pogodną uwagą, że przecież wszystkie się dobrze bawimy, czyż nie, właśnie teraz, dokładnie „w tym momencie”. I faktycznie, duch carpe diem rozjaśnia całe pomieszczenie, jeżeli nie dosłownie, to chociaż w przenośni.

Potem następuje seria zadowolonych potakiwań, cichutkie sączenie wina, kilka uwag na temat filmu *Ich noce*, który wyświetlają w sali projekcyjnej o siódmej, wyrazy tęsknoty za Clarkiem Gable'em

i pogawędka o filmach, które kiedyś były o wiele lepsze i co się z nim stało, dobry Boże. Spieszę z komentarzem, że obecnie w Hollywood kręci się filmy wyłącznie dla czternastoletnich chłopców, widowni niespecjalnie wyrobionej, co pozbawia te produkcje choćby nadziei na błyskotliwy dialog. Jego miejsce zajęły pierdzenie, rzyganie i sperma.

Następnie usiadłam przy Abigail i przez chwilę trzymałam ją za rękę. Zaprosiła mnie do siebie. Nie było to zaproszenie grzecznościowe. Miała kilka pilnych spraw do omówienia, i to w najbliższych dniach. Obiecałam, że przyjdę, a Abigail rozpoczęła długą procedurę przyciągania balkoniku, wstawania i przesuwania się maleńkimi, ostrożnymi kroczkami w stronę swojego mieszkania.

Spotkanie klubu książki zakończyło się w ciągu kilku minut. Skończyło się, zanim zdążyłam powiedzieć, że żaden człowieczy temat nie leży poza zasięgiem literatury. Nie potrzebuję zanurzać się w historii filozofii, żeby stwierdzić, że w sztuce nie ma zasad, że ziemia usuwa się spod stóp błaznów i głupców, którzy wierzą w istnienie zasad, reguł i zakazanych dziedzin, że nie ma prawa bytu hierarchia, która „szerokie” stawia nad „zawężonym”, a „męskie” uznaje za cenniejsze od „kobiecego”. W sztukach nie istnieje zakaz wyrażania jakiegokolwiek uczucia i opowiadania jakiegokolwiek historii; taki zakaz wynika tylko z uprzedzeń. Urok leży w odczuwaniu i opowiadaniu, to wszystko.

Daisy przysłała taką wiadomość:

Cześć, Mamo. Kolacja z Tatą była w porządku. Chyba jest z nim trochę lepiej. Przynajmniej był ogolony. Myślę, że jest strasznie speszony. Powiedział, że ma nadzieję, że spojrzysz na jego „interludium” w odpowiednim świetle. Wspomniał też o „przejęciowej niepoczytalności”. Powiedziałam, że to Ty na to cierpiałeś, a on odpowiedział, że może on także. Mamo, myślę, że jest szczerzy. Wiesz, to dla mnie okropne, że zwróciliście się przeciwko sobie.

Całusy i wyrazy miłości, Daisy

A jednak nie potrafiłam skwapliwie rzucić się na ojca Daisy. Rozmyślając nad naszą historią, zrozumiałam, że można się jej

przyglądać z wielu perspektyw. Cudzołóstwo jest zarówno zwyczajne, jak i wybacalne, taka jest również wściekłość zdradzonej strony. Nie jesteśmy przecież oderwani od rzeczywistości, prawda? Przecierpiałam swoją własną francuską farsę z moim niestałym, zmiennym mężem w roli głównej. Czyż nie nadszedł już czas „na wybaczenie i zapomnienie”, by użyć tego wyświechtanego komunału? Wybaczenie to jedno, a zapomnienie – drugie. Nie mogłam wywołać u siebie amnezji. Jak by się żyło z Borisem i wspomnieniem Przerwy czy też Interludium? Czy między nami byłoby teraz inaczej? Czy coś by się zmieniło? Czy ludzie mogą się zmienić? Czy chcę być taka jak dawniej? Czy może być tak samo? Nigdy nie zapomnę szpitala. Skrawki umysłu. Na dobre czy na złe, splotłam się z Borisem tak mocno, że jego odejście mnie złamało, krzycząca trafiłam do zakładu dla obłąkanych. I czyż ten strach, który odczuwałam, nie był stary, czyż nie był strachem przed odrzuceniem, dezaprobatą, byciem antypatyczną, czyż nie mógł być strachem starszym od mojej świadomej pamięci? Całymi miesiącami tonęłam w gniewie i żalu, ale w lecie mój umysł zaczął się nieświadomie stopniowo zmieniać. Doktor S. to dostrzegała. (Jak ja za nią tęskniłam, swoją drogą). Czytając wiadomość od Daisy, poczułam, że te podprogowe, jeszcze niewyartykułowane myśli wzrastają, przekształcają się w zdania i moszczą bezpiecznie gdzieś między moimi skrońmi: Jakaś część mnie zaczęła przyzwyczajać się do idei, że Boris jest stracony na zawsze. Nikt nie byłby bardziej zszokowany tą rewelacją niż ja.

A teraz kurtyna musi się unieść, by ukazać nadchodzący poniedziałek, kiedy to siedem skrępowanych dziewcząt i poetka usiłująca ukryć własny niepokój zasiadło wokół stołu w Gildii Sztuk. Wydawało się, że siedem młodych ciał ogarnęło odrętwienie, jakby w pomieszczeniu rozpylono jakiś niewidzialny, lecz silnie działający gaz, który szybko je usypiał. Peyton skrzyżowała ramiona na stole i ułożyła na nich głowę. Joan i Nikki siedziały jak zwykle obok siebie, w ciężkim milczeniu, z przymkniętymi powiekami podmalowanymi kredką. Jessie położyła łokcie na stole i oparła podbródek na dłoniach; miała bezmyślny wyraz twarzy. Emma, Ashley i Alice zdawały się zwiotczałe z wyczerpania.

Patrzyłam przez chwilę na każdą z nich i pod wpływem nagłego impulsu zaczęłam śpiewać. Zaśpiewałam im po niemiecku kołysankę Brahmsa: Guten Abend, gute Nacht, mit Rosen bedacht... Nie mam słodkiego głosu, ale dobre ucho już tak, pozwoliłam więc wybrzmieć vibrato, żeby stało się odpowiednio absurdalne. Wyraz zaskoczenia i konsternacji na ich twarzach zmusił mnie do śmiechu. Nie zawtórowały mi, ale przynajmniej wyrwałam je ze stanu apatii. Nadszedł czas na moją przemowę, więc ją wygłosiłam. Jej sednem było to, że jedna opowieść z siedmioma bohaterkami może stać się siedmioma opowieściami, w zależności od tożsamości narratorek. Każda z bohaterek będzie postrzegać te same wydarzenia na swój sposób, a motywacje jej postępowania będą nieco inne. Naszym zadaniem było zrozumienie prawdziwej historii. Nadałam jej tytuł „Sabat”. Spotkało się to z falą cichych pomruków. W tym tygodniu miałyśmy spotykać się codziennie, żeby odrobić stracone zajęcia. Dzisiaj każda z dziewcząt miała odczytać swój tekst, żebyśmy mogły go omówić, ale w ciągu kolejnych czterech dni miałyśmy zamieniać się miejscami i opisywać historię z cudzego punktu widzenia. Przykładowo Jessie miała stać się Emmą, Joan zająć miejsce Alice, Peyton wcielić się w Ashley, ja – w Nikki, i tak dalej. Oczy otworzyły się szerzej, nad stołem wymieniono zaniepokojone spojrzenia. Pod koniec tygodnia będziemy miały opowieść zredagowaną przez całą grupę. Cała sztuka polega na tym, że będziemy musiały do pewnego stopnia porozumieć się co do jej treści.

Szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia, czy to zadziała. Niosło też ze sobą pewne zagrożenia. Komentarz: słynny obecnie eksperyment psychologiczny, przeprowadzony na Uniwersytecie Stanforda w roku 1971. Grupa młodych mężczyzn, studentów tej uczelni, wcieliła się w role więźniów i strażników. W ciągu kilku godzin strażnicy zaczęli dręczyć swoich więźniów i eksperyment przerwano. Urzeczywistniony teatr okrucieństwa? Ucieleśniony spektakl? Jak podatna na wpływy była moja siódemka?

Zacząłam od krótkiego podsumowania moich doświadczeń: podejrzeń podczas zajęć, konsternacji na widok chusteczki higienicznej i mglistej świadomości, że rozgrywa się jakaś intryga. Wspomniałam również, że jako dziewczynka sama byłam zamieszana w podobną

historię. Nie powiedziałam, jaką odegrałam w niej rolę. Tobie, mój drogi przyjacielu, oszczędzę nudy większej części młodzieńczej prozy; jest nawet gorsza od poezji. (Żadna z dziewczynek nie zdecydowała się na opisanie wiedzimowego skandalu wierszem). Dość powiedzieć, że toporne i często niegramatyczne opowieści nie były jednobrzmiące. Po przeczytaniu każdej z nich odzywał się donośny refren: „Ja tak nie powiedziałam!”, „To był twój pomysł, nie mój!”, „Wcale tak nie było!”. Niektóre sprzeczki były bez znaczenia, chodziło o ustalenie kiedy, gdzie i kto. „To ty wrzuciłaś do mleka zdechłego świerszcza, a nie ja!”, „Zapytaj moją mamę. Widziała cię, jak wychodziłaś z łazienki z zakrwawionym ramieniem, pamiętasz?”. Niemniej jednak powracały także usprawiedliwienia dla całego spisku: Na początku wszystkie lubiły Alice, ale potem, z biegiem czasu, zaczęła się wyróżniać w sposób, który im się nie spodobał. Na historii była „pupilką” pana Abbota i zawsze podnosiła rękę, żeby odpowiedzieć na jego pytanie. Kupowała ubrania w Minneapolis w centrum handlowym, a nie w pasażu w Bonden. Cały czas czytała i to było „nudne”. Opis Ashley zawierał informację, że Alice powierzono główną rolę w szkolnym przedstawieniu i po tym „lucie szczęścia” stała się „okropną snobką”. To, co zaczęło się jako „niewinna zabawa”, która miała umożliwić spiskującym wiedzimom „odpłacenie” Alice, w jakiś tajemniczy sposób wymknęło się spod kontroli, samo się napędzało. W tej wersji opowieści nie było żadnych czynników sprawczych, tylko przyływy emocji, niczym fale, które miały dziewczętami. Kiedy dorastałyśmy z Beą, miałyśmy określenie, które dobrze pasuje do takich działań: „niechący umyślnie”. Kiedy o tym wspomniałam, na twarzach siedzących dookoła dziewczyn rozkwitły zakłopotane uśmiešky – oczywiście oprócz oblicza Alice, która uważnie badała powierzchnię stołu.

Ona czytała jako ostatnia. Pomimo szpetoty historii, którą miała do opowiedzenia, obsadziła się w roli bohaterki w stylu Jane Eyre lub Davida Copperfielda, tych ukrzywdzonych sierot, które tak bardzo kochałam, gdy byłam w jej wieku; mocno się napracowała nad swoją opowieścią. Chociaż opis był naszpikowany przymiotnikami i hiperbolami oraz niewolny od błędów stylistycznych („wydręczona” zamiast „udręczona”), oddawał zarówno jej silną potrzebę należenia do

grupy, jak i mękę bycia wyrzutkiem. Słuchając jej, doszłam do wniosku, że taka osoba dramatu wprawdzie nie zaskarbi jej sympatii wszystkich członkiń Sabatu, ale wybór ten był dla niej dobrodziejstwem. W jej wersji wydarzeń ofiara wyszła bardzo dobrze, choćby dlatego, że Alice umieściła swoje alter ego w konwencji gotyckiej, znakomicie wspartej pamiętną burzą, która rozdarła niebiosy, gdy leżałam w łóżku tamtej czerwcowej nocy. Najwyraźniej kiedy dziewczęta spędzały czas w domu Jessie, postanowiły wspólnie, że nie będą patrzeć na Alice ani jej odpowiadać, gdy mówi, i będą się zachowywać tak, jakby była niewidzialna i niesłyszalna. Po półgodzinie takiego traktowania nasza bohaterka uciekła w „ulewny deszcz, głośno łkając, z włosami rozwianymi na wietrze”, a „na niebie rozbłysła błyskawica”. Kiedy ta tragiczna postać dotarła do domu, była „przemoczona do suchej nitki i zmarznięta do szpiku kości, zaś jej zęby szaleńczo szczękały”. Co prawda, Alice nie podobała się sabatowa odmiana meidung, ale z pewnością czerpała przyjemność z jej opisywania. Alice – postać literacka – odegrała zbawczą rolę dla zwyczajnej Alice, która szła do siódmej klasy. Swoją opowieść zakończyła słowami: „Nigdy wcześniej nie doznałam tak dojmującej, nieznośnej rozpaczey”.

Nie uśmiechnęłam się. Pamiętałam.

Biedna Peyton, której skrucha dojrzała w pełni, płakała i pociągała nosem.

Jessie nie patrzyła na Alice, ale przeprosiła pełnym wstydu szeptem.

Nikki i Joan wierciły się nerwowo.

Ashley i Emma pozostały nieprzejednane.

Odesłałam je z pracą domową. Zamieniłam rolami Ashley i Alice i połączyłam w pary Peyton i Joan oraz Nikki i Emmę; ponieważ siódemka jest nieparzysta, wzięłam na siebie wcielenie się w Jessie, a ona otrzymała zadanie opisanie sytuacji z punktu widzenia dość nieświadomej nauczycielki poezji.

Boris o mnie zabiegał.

*Mio,
byłem pełnym bólu durniem.
Boris*

Tamże, s. 280.

* * *

(Przypis: T.R. Devlin odgrywany przez Cary'ego Granta do Alicii Huberman, w którą wcieliła się Ingrid Bergman, pod koniec Osławionej. Jeżeli dobrze pamiętam, bohater wypowiada te słowa, niosąc swoją oszołomioną trucizną ukochaną po schodach. Oglądaliśmy ten film z Borisem co najmniej siedem razy, a B.I. za każdym razem rozklejał się, słysząc to zwięzłe wytłumaczenie naprawdę koszmarnego traktowania, jakie pan Devlin zafundował boskiej pani Huberman. Ta odrobina zalecania się nie pozostawiła mnie nieporuszoną. Nie, nie będę się wykręcać: byłam poruszona. Cary'ego nie dałoby się zamienić w Borisa, a mnie w Ingrid. Kiedy wyobrażam sobie mojego nieco pulchnego neurobiologa w okularach, jak sapiąc i jęcząc, taszczy kędzierzawą, pięćdziesięciopięcioletnią wierszokletkę ogromną hollywoodzką klatką schodową, czar pryska. Nie o to jednak chodzi. Wszyscy musimy sobie od czasu do czasu pozwolić na fantazje, na szansę odziania się w wyobrażone suknie i fraki tego, co nigdy nie istniało i nigdy nie zaistnieje. To dodaje trochę blasku naszemu zmatowiałemu życiu; niekiedy możemy wybierać pomiędzy marzeniami i w tym wybieraniu odnajdujemy nieco wytchnienia od naszego powszedniego smutku. W końcu żadne z nas nigdy nie rozplącze wężła fantazji, które tworzą tę chwiejną rzecz, nazywaną przez nas jestestwem).

Od Bei, już poinformowanej o rozwoju sytuacji Borisa/Mii:

*Pamiętaj tylko, Mały Huey, że każdemu z nas zdarza się nawalić.
Wyraży miłości, B.*

W końcu od Nikogo:

Kamienie nerkowe.

Biedny Pan Nikt, mój ambitny rozmówca, sprowadzony na ziemię przez te nieznośne kamyki. Życzyłam mu szybkiego powrotu do zdrowia.

Nauczyłam się, że zapukawszy, muszę chwilę poczekać, aż Abigail pojawi się w drzwiach. Moje wizyty były całkiem regularne. Przychodziłam sama lub z matką i obie martwiłyśmy się o naszą wspólną przyjaciółkę od czasu jej upadku. Wydawała się słabnąć z dnia na dzień, jej osobowość pozostała jednak silna. Tak naprawdę to brak elastyczności Abigail przyciągał mnie do niej. Zazwyczaj nie postrzega się tej cechy jako pożądanej u istot ludzkich, lecz w jej przypadku wydawało się, że powstała jako forma oporu wobec szczególnego dla Środkowego Zachodu etosu zestrachanego konformizmu. Abigail szyła, haftowała i naszywała aplikacje w stanie cichej, lecz niewzruszonej rebelii. Teraz znałam już dzieje Osobistego Ogrodnika. Poślubiła go pod wpływem impulsu, tuż przed jego wyruszeniem na Pacyfik, ale kiedy wrócił z wojny, przywiózł ją ze sobą. Dręczony koszmarami sennymi, atakami szału i napadami morderczego pijaństwa aż do utraty przytomności mężczyzna, który wrócił do domu, w niewielkim stopniu przypominał chłopca, jakiemu przysięgała „miłość, szacunek i posłuszeństwo”; z drugiej strony, jak to ujęła: „Trzeba zacząć od tego, że tak naprawdę go nie znałam”. Pewnego dnia, ku jej bezbrzeżnej uldze, mążnek oddalił się samowolnie. Rok później otrzymała od byłego żołnierza list pełen skruchy, w którym prosił ją, by dołączyła do niego w Milwaukee. Sama myśl o takiej możliwości sprawiła, że Abigail stała się „zimna jak kostka lodu”, odmówiła więc, zażądała rozwodu i tak narodziła się nauczycielka plastyki w szkole podstawowej.

Haftu nauczyła ją matka, ale dopiero po fiasku małżeńskim Abigail dołączyła do grupy szwaczek, zrozumiała, że „musi to robić”, i rozpoczęła podwójne życie. Przez lata stworzyła wiele prac, zarówno konwencjonalnych, jak i wywrotowych czy też, jak je określiła, „podróbek” i „prawdziwych”. Podróbki sprzedawała. Prawdziwe pokazywała mi jedną po drugiej, a osobliwość przedsięwzięcia Abigail stawała się coraz widoczniejsza. Nie wszystkie prace miały wydźwięk złośliwy lub seksualny. Znalazł się wśród nich delikatny haft przedstawiający pełne smug krwi komary w różnych rozmiarach; było także radosne wyobrażenie postaci jakby żywcem wyjętej z Anatomii Graya, z obnażonymi organami, lecz tańczącej; dalej: gargantuiczna

kobieta odgryza fragment księżycy; ogromny i przedziwnie wzruszający obrus ukazujący bieliznę kobiecą: gorset, reformy, halkę, pończochy, rajstopy, solidny biustonosz w starym stylu, podwiązkę z pasem i skąpą koszulkę nocną; i na koniec: niezwykle autoportret wykonany na poduszce drobniotkami, cieniowanymi ściegami, który stworzyła wiele lat wcześniej – płacze, siedząc na krześle. Łzy oddała za pomocą cekinów.

Gdy moja przyjaciółka otworzyła drzwi, wydała mi się małeńka. Drżenie przeniosło się na jej głowę; stała przede mną z drgającym podbródkiem. Była pięknie ubrana: miała na sobie wąskie czarne spodnie i czarną bluzkę w czerwone róże. Krótkie, rzadkie włosy zaczesła za uszy, a wyglądające zza wąskich okularów oczy były jak zwykle maksymalnie skoncentrowane.

Tego popołudnia poczyniłyśmy z Abigail ustalenia. Wsparta na kanapie, rozmawiała ze mną o swojej śmierci. Miała tylko siostrzenicę, dobrą kobietę, która jednak nigdy nie zrozumiałaby jej przyjemności.

– Dostanie moje pieniądze, ile tam ich zostało. – Następnie zacytowała wers z mojego pierwszego tomiku wierszy: – „Rzucaliśmy się na cuda i koronkowe okręty”. To my, Mio – powiedziała. – Jesteśmy podobne jak dwie krople wody.

To mi pochlebiło, chociaż zmusiła mnie do ujrzenia nas w postaci dwóch okrągłych, mokrych obiektów na szybie kuchennego okna. Potem gwałtownie przeszła od metafor przyrodniczych do mechanicznych:

– Jestem budzikiem, Mio, gotowym, żeby zadzwonić, a kiedy zadzwonię, nie będzie już odwrotu. Słyszę swoje tykanie.

Powiedziała, że testament spisała zgodnie z prawem. Miałam otrzymać wszystkie sekretnie przyjemności i zrobić z nimi, co mi się żywnie podoba. Dokumenty znajdowały się w górnej szufladzie jej biurka. Powinnam to wiedzieć. Klucz leżał w porcelanowym pojemniku na jajka Limoges, miałam go teraz wyjąć i otworzyć szufladę; było w niej coś, co musiała mi pokazać, fotografia w szarej kopercie, leżącej na samym wierzchu.

Młode kobiety w smokingach stoją, obejmując się za ramiona, szeroko uśmiechnięte; zgadywałam, że ciemnowłosa to Abigail, druga miała jasne włosy. Blondynka trzymała w prawej dłoni papierosa.

Wyglądały na roztrzepane, dziarskie i beztroskie, tylko pozazdrościć.

Abigail uniosła głowę i pokiwała nią. Kiwała głową przez kilka sekund, zanim przemówiła.

– Nosiła to samo imię, co twoja matka. Miała na imię Laura. Kochałam ją. Byłyśmy w Nowym Jorku. To był rok trzydziesty ósmy. – Abigail uśmiechnęła się. – Trudno uwierzyć, że ta młódka to ja, co?

– Nie – odparłam. – Wcale nie trudno.

Obejmując ją przed wyjściem, wyczułam pod usianą różami bluzką jej kości, wydawały się nie większe od kostek kurczęcia; moja Abigail, która nie mogła już siedzieć prosto, która się trzęsła i kiedyś kochała dziewczynę o imieniu Laura w Nowym Jorku w roku 1938, niezwykła kobieta, artystka, która uczyła dzieci plastyki, artystka, która знаła Biblię. Ostatnie słowa, które do mnie powiedziała, brzmiały:

– „Niech będzie jak deszcz, który pada na łąkę skoszoną, jak ulewa zraszająca ziemię”¹.

Księga Psalmów, 72,6.

Bycie kimś innym to taniec wyobraźni. Bez niego jesteśmy niczym. Wykrzycz to! Tańcz, baw się, skacz. To była moja pedagogika, moja filozofia, moje credo, mój slogan, a dziewczęta się starały, muszę im to przyznać. Ich „ja” się pomieszały, starały się odnaleźć znaczenie, które kryje się w innej roli, innym ciele, innej rodzinie, innym miejscu. Rezultaty były różne, ale tego należało oczekiwać.

Jessie jako Mia napisała: „Do pewnego stopnia wyczuwałam problemy dziewczyn, ale nic mi o nich nie powiedziały. Pamiętałam, jak sama szłam do siódmej klasy i nieprzyjemne rzeczy, które mi się przydarzyły, ale to było bardzo, bardzo dawno temu...”. (No zgoda).

Peyton jako Joan napisała: „Jestem najlepszą przyjaciółką Nikki od pierwszej klasy i w zasadzie robię to co ona. Kiedy zobaczyłam, że nie boi się skaleczyć, postanowiłam też to zrobić, chociaż było to dla mnie obrzydliwe”.

Joan jako Peyton: „Chcę być fajną laską, ale jestem dziecinna. Wolę uprawiać sport, robiłam Alice złe rzeczy, ponieważ chciałam być fajna”.

Nikki jako Emma: „Podlizywałam się Ashley, ponieważ uważam, że dzięki niej czuję się lepiej, fajnie jest z nią być, bo tak naprawdę nie

boi się wpaść w tarapaty. Kiedy chciała, żebym połknęła kawałek ogonka zdechłej myszy, zrobiłam to, chociaż pomyślałam, że to ohydne. Jestem jak jej niewolnica. Rzuca ludziom wyzwania, a ja lubię podejmować wyzwania. Moja młodsza siostra choruje na dystrofię mięśni i ja bardzo się tym martwię, a przebywanie z przyjaciółkami i robienie głupot pomaga mi o tym nie myśleć”.

Emma jako Nikki napisała: „Lubię się popisywać i szaleć, nosić czarne ubrania i wariacki makijaż, który niepokoi moją mamę. Wredność wobec Alice to był sposób na popisanie się”.

Ashley napisała: „Jestem Alice, Pani Idealna. Lubię Chicago, ponieważ to duże miasto z mnóstwem sklepów i muzeów, mama prowadziła mnie do tych wykwintnych miejsc, a teraz nigdzie nie możemy pójść. Kiedyś przyjaźniłam się z Ashley, ale uważam, że jestem dla niej zbyt wyrafinowana. Jestem jedynaczką i rodzice mnie rozpieszczają, kupują mi drogie ubrania i posyłają mnie na lekcje baletu w St. Paul. Używam słów, których nie znają inne dzieciaki, tylko po to, żeby poczuły się głupie. Jestem tak obyczajna, że w ogóle nie potrafię się bawić, i wyglądam jak ukrzywdzona beksa, gdy tylko ktoś rzuci najmniejszą uwagę. Gdybym nie była taką oferumą, dziewczyny nie mogłyby mi nic zrobić”.

Alice napisała: „Nienawidzę Alice, ponieważ zagrała Charlene w sztuce. Przez to gniłam z zawiści. Nie odkryła moich oszustw i dzięki temu wszystko poszło gładko, gładziutko jak dżem w słoiku. Mogłam udawać, że ją lubię, a równocześnie potajemnie ranić ją dotkliwie. Moje rodzeństwo zawsze się kopie i bije, trzaska drzwiami, mój dom to jeden wielki chaos, muszę brać leki na zaburzenia nastroju, a mama zawsze na mnie wrzeszczy, że ich nie wzięłam...”.

Przez całą godzinę wypowiedzi dziewczyn przerywały wzajemne oskarżenia, zaprzeczenia i okrzyki, lecz najbardziej niepokojącą rewelacją był zdecydowanie fakt, że Ashley przypisała Alice swoje zaburzenia, na czymkolwiek by one polegały. Ani Alice, ani Ashley nie potrafiły przeniknąć swoich umysłów czy wykrzesać z siebie odrobiny współczucia dla drugiej strony, ale kiedy Alice – świadomie lub nie – wyjawiała tajemnicę Ashley, wszystkie dziewczęta zamilkły, aż w końcu Peyton wykrzyknęła:

– Ale Ashley, przecież mówiłaś, że to Alice ma zaburzenia nastroju, a nie ty!

Sztuczka z zamianą pierwszych osób zakręciła do punktu wyjścia. Okazało się, że Ashley grała już wcześniej w tę grę.

1) Będę sprawdzał, czy w lodówce nie brakuje soku i mleka i dokupował te produkty w razie potrzeby.

2) Obiecuję, że przeczytam całe Miasteczko Middlemarch (to dotyczy również Złotej czary).

3) Nie będę Ci przeszkadzał podczas pisania.

4) Będę częściej z Tobą rozmawiał.

5) Nauczę się gotować coś więcej niż jajka.

6) Będę Cię kochał.

Boris

Przeczytałam tę listę kilkakrotnie. Szczerze mówiąc, nie wierzyłam w pierwsze pięć punktów. To wymagałoby takiej rewolucji, w jakie już przestałam wierzyć. Zainteresował mnie punkt szósty, ponieważ, drogi czytelniku, Boris mnie kochał. Kochał mnie od dawna i nie chodziło w sumie o to, czy pisał szczerze – wierzę, że tak było – ale o to, czy w grę nie wchodziło okłamywanie samego siebie. Czy potrafiłby rzeczywiście zostawić na zawsze swoją wybuchową Przerwę, czy też jej widmo żyłoby z nami do końca naszych dni? Co gorsza, skoro Boris już raz wyrwał się z domu, to co mogłoby go powstrzymać od zrobienia tego ponownie? Właśnie o to zapytałam go w moim liście.

Regina powróciła do Rolling Meadows, ale nie do samodzielnego mieszkania. Umieszczono ją na drugim końcu placówki, na specjalnym oddziale dla pacjentów cierpiących na alzheimera, chociaż nie zdiagnozowano u niej tej choroby. Po wiadomym „incydencie” władze (zazwyczaj łaskawe, lecz wcale nie nieskończenie tolerancyjne) zdecydowały, że nie można jej ufać. Musiała znaleźć się pod obserwacją. Odnalazłyśmy ją z matką w małym, pustym pomieszczeniu – niemal identycznym z moim pokojem w szpitalu Payne Whitney, ale bez widoku na East River – siedzącą na nędznej polówce z niebieską

narzutą; jej piękne, długie włosy były potargane i zwisały wokół twarzy. Kiedy matka weszła do środka, Regina wykrzyknęła: „Laura!” i otworzyła przed przyjaciółką ramiona. Uściskały się, a potem, nadal w objęciach, kołysały się w tył i w przód przez jakąś minutę. Kiedy się rozdzieliły, Regina spojrzała na mnie, jakby czegoś poszukiwała, i pojęłam, że upadła Łabędzica zapomniała moje imię, może nawet w ogóle zapomniała o moim istnieniu, lecz matka uratowała przyjaciółkę, identyfikując mnie, gdy tylko zdała sobie sprawę, że nie występuję w mentalnym spichrzu Reginy.

Obie kobiety mówiły, ale Regina więcej. Trajkotała o swoich mękach – badaniach, lekarzu życzliwym i drugim, niemiłym, niekończących się pytaniach o prezydentów, porę roku i czy poczuła to ukłucie, i tak dalej, i tak dalej. Załamana się i zaczęła chlipać, ale szybko jej się polepszyło i w ciągu kilku sekund popadła w nostalgiczny nastrój. Czyż po drugiej stronie, w samodzielnych kwaterach, nie było wspaniale? Miała tam swoje mieszkanie ze wszystkimi „ślicznymi rzeczami”, dzielił je od siebie zaledwie krótki spacer, i – moja droga – przecież zielistka, czy ktoś ją podlał? A teraz patrzcie na nią, na wygnaniu z „wariatami” i ludźmi, którzy „się ślinią, sikają w majtki i brudzą bieliznę”. Gdyby tylko mogła wrócić na drugą stronę. Widziałam, że matka otworzyła i zamknęła usta. Jeżeli Regina chciała zapamiętać „dom” jako raj, którego nie znosiła, to kim była ona, by rozbijać te złudzenia? Kiedy wychodziłyśmy, staruszka uniosła głowę i odrzuciła zwichrzone loki, a na jej twarzy wykwitł promienny uśmiech. Posłała nam całusy i wykrzyknęła wysokim, łamiącym się głosem:

– Przyjdź jeszcze, Lauro. Przyjdiesz? Strasznie za tobą tęskniłam. Musisz pamiętać, żeby przyjść!

Tuż przed zamknięciem drzwi zerknęłam na Reginę po raz ostatni. Wyglądała na przybitą, jakby teatralne pożegnanie pozbawiło ją sił.

Na zewnątrz matka przystanąła na korytarzu. Przycisnęła dłonie do piersi, zamknęła oczy i powiedziała cichutko:

- Jakie to gorzkie.
- Co takiego, mamó?
- Starość.

*Biblia, to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu
z apokryfami, Warszawa 1990, s. 639.*

* * *

Opera mydlana Loli, Pete'a, Flory i Simona opierała się na powtórkach bez większych różnic, jak to przyznała sama Lola, lecz obecnie okoliczności przysięgły się, by coś zmienić, a różnicą były pieniądze. Bardzo podobały mi się moje budynki Chryslera i sprawiałam Loli przyjemność, wysłuchując opowieści o jej planach biznesowych, ale nie byłam optymistką. Nieszczęsna młoda kobieta miała bardzo mało czasu, który mogła poświęcić swojej biżuterii, a perspektywa sukcesu była, ogólnie rzecz biorąc, mglista. I wtedy, ni stąd, ni zowąd, tak jak to się dzieje w powieściach, szczególnie tych osiemnasto- i dziewiętnastowiecznych, umarła matka chrzestna Loli, samotna, oszczędna pani, która przepracowała pięćdziesiąt lat w kwesturze uczelni St. Joseph. Ta starsza deus ex machina zostawiła swojej chrześniaczce kompletny zestaw porcelany Wedgwooda i sto tysięcy dolarów. (Bądźmy szczerzy: w życiu w dwudziestym i dwudziestym pierwszym wieku zdarza się to ciągle, po prostu dzieje się rzadziej w powieściach dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku).

I tak Lola, przynajmniej na chwilę, miała forszę, była ważniejsza, pieniądze należały do niej, a nie do Pete'a. W tym samym tygodniu pewien sklepik w Minneapolis przyjął dzieła Loli na sprzedaż. Spodobały im się kolczyki związane z architekturą, szczególnie Krzywe Wieże z Pizy. U sąsiadów zapanowała radość. Po ciężkim tygodniu z wiedźmami świętowaliśmy w piątkową noc. (O wiedźmach opowiem później. Chronologia jako narzędzie narracyjne bywa często przeceniana). Obecna była moja matka, Peg, Lola i obydwaj brzdące. Zaprosiłam Abigail, lecz powiedziała, że jest zbyt słaba na taką wyprawę, chociaż zaproponowałyśmy jej podwiezienie te kilka metrów do domu Burdów.

Lola ubrała się na różowo. Matka przez większą część wieczoru nosiła Simona, doskonale się razem bawili. Mały człowieczek śpiewał. Kiedy matka do niego śpiewała, on odśpiewywał, wprawdzie w niekonwencjonalnej, może nawet cudacznej tonacji, ale jednak śpiewał, a jego podobne do dźwięków fletu popisy stały się źródłem wielkiej wesołości. Flora bez peruki biegała szaleńczo, szeptała do

Mokiego i opychała się ciastem. Pilnowałam, żeby się do niej łąsić i zagadywać ją, by nie czuła, że jej mały braciszek wygrywa wszystkie konkursy na słodycz. Peg promieniała. Na zgromadzeniu rodzinnym była w swoim żywiole, a jej obecność okazała się dodatkowym cukrem w i tak już słodkiej okazji.

Zapytałam Lolę, czy Pete jest w podróży, ale nie, jej mąż został w domu. Powiedział, że czułby się niezręcznie jako jedyny mężczyzna, i zachęcił ją, żeby poszła sama i dobrze się bawiła. Peg i matka zajmowały się jej dziećmi, a ja z Lolą przeszłam do sypialni, w której wszyscy przespaliśmy noc w wielkim łóżu. Powiedziała mi, że dzięki pieniądzom poczuła się inaczej.

– Nie zrobiłam nic, żeby je zarobić – stwierdziła – ale skoro są moje, czuję się ważniejsza, w jakiś sposób bardziej wolna, a Pete jest szczęśliwszy. Jakby mógł trochę odetchnąć i nie musiał się tak zamartwiać. No i jeszcze Stajnia Rzemieślnicza, nagle spodobały im się moje rzeczy, więc już nie twierdzi, że moja biżuteria to tylko bezużyteczna dłubanina.

Stałyśmy obok siebie i wyglądałyśmy przez okno. Przywiązałam się do tego widoku i do letniego nieba, szczególnie w momencie, gdy zachodzące słońce malowało je na błękitno, lawendowo i różowo, a ja mogłam oglądać płynące górą formacje chmur, pola, zagajnik, stodołę i silos, które z nadejściem wieczoru ciemniały i matowiały. Studium powtarzalności. Studium zmienności. Wtedy Lola powiedziała, że będzie za mną tęskniła, gdy wrócę do domu, a ja powiedziałam, że będę tęsknić za nią. Zastanawiała się, co zrobię z Borisem, opowiedziałam jej o jego zabiegach, a ona się uśmiechnęła. Z drugiego pokoju dobiegł mnie śmiech kobiet, pisk Flory, a po kilku sekundach płacz Simona.

Jeszcze przez kilka chwil pozostałyśmy jednak z Lolą nieruchome, po prostu wyglądałyśmy w milczeniu przez okno, po czym Lola wróciła na przyjęcie, żeby pocieszyć swojego synka.

Homo homini lupus. Człowiek człowiekowi wilkiem. To zdanie wyczytałam w pracy wielkiego pesymisty, starego Zygmunta Freuda, lecz najwyraźniej pochodzi od Plauta. Smutne, ale prawdziwe. Rozejrzyj się wokół. Spójrz choćby na te dziewczynki, ich pogoń za pozycją

i podziwem, bezwzględne metody, agresywne radości. W ciągu tygodnia ich „ja” przechodziło z jednego dziecka na drugie, i niekiedy traciłam rozeznanie, kto gra kogo, one jednak nie miały problemów z identyfikacją. Na światło dzienne wyszło wprawdzie kilka dalszych rewelacji, ale historia, którą zatytułowałam „Sabat”, zaczęła nabierać kształtów. Ashley została obalona. Poległa na swoim kłamstwie. Wątpię, żeby poczuła prawdziwą skruchę, gdyby jej nie przyłapano, lecz utratę władzy odczuła boleśnie. Przetrwiała jednak i zaczęła dostosowywać się do nowej roli w grupie: w środę oficjalnie przeprosiła swoją ofiarę, a czyn ten – szczerzy czy nie – poprawił jej opinię w oczach pozostałych. Emmę mocno uderzyła wzmianka o jej chorej siostrze, lecz współczucie, jakie dziewczęta wyrażały dla jej losu jako siostry zdrowej, ale ignorowanej, znacznie osłabiło cios; zaproponowała poprawki do swojej opowieści i roli, jaką w niej odegrała, co uznałam za odważne: „Cieszyłam się, gdy Alice płakała”. Narcystyczne frazesy Jessie zebrały baty. Zrozumiała, że zbyt mocno w siebie wierzyła. Niemal bez zastanowienia weszła w nikkzemny spisek. Z wpływem tygodnia Peyton płakała coraz rzadziej i zaczęła, jak pozostałe dziewczęta, coraz bardziej delektować się swoimi rolami. Katharsis teatru. W zasadzie w czwartek stało się jasne, że milczący scenariusz już powstał, a dziewczynki z entuzjazmem rzuciły się w sam środek własnego melodramatu. Alice utraciła nieco z pozy romantycznej bohaterki, lecz wszystkie uznały jej cierpienie, i weszła w życie swoich dręczycielek z takim zapalem, że w piątek Nikki wykrzyknęła:

– Mój Boże, Alice, ty lubisz być wredna!

Oczywiście Joan się z nią zgodziła.

Opowieść, którą wszystkie zabrały do domów w piątek, nie była prawdziwa; była wersją, z którą każda z nich mogła żyć, podobnie jak dzieje narodów, które zacierają, ukrywają i zniekształcają wydarzenia i ludzkie działania, żeby zachować ideę. Dziewczęta nie chciały nienawidzić samych siebie, chociaż uczucie to nie jest wcale rzadkie, a porozumienie, które osiągnęły na temat tego, co się między nimi stało, było znacznie łagodniejsze niż zacytowane powyżej stwierdzenie wiedeńskiego lekarza. Co do mnie, to pod koniec poczułam, że moja potyczka z Sabatem wyszła mi na dobre. Cała siódemka mnie uściskała,

wy ogłoszono peany na moją cześć i otrzymałam prezent: fioletowe pudełko wypełnione kostką wonnego mydła, emulsją do rąk w buteleczce o falistych kształtach i pojemniczkiem z dużymi kryształami soli kąpielowych, przewiązany liliową wstążeczką. Czego chcieć więcej?

A potem do miasteczka wpadła moja Daisy. Zmęczony wyraz twarzy, budzący skojarzenia z Dzikim Zachodem, mimo wszystko pasuje ukochanej potomkini. Ta dziewczyna ma w sobie coś z wichury i potrafi namieszać, praktycznie nie kiwnąwszy palcem. Wyskoczyła z taksówki z wielką skórzaną torbą na ramieniu, której zamek był rozsunięty i ukazywał chaotyczne wnętrze; odziana w skąpą koszulkę, męską kamizelkę, obcięte džinsy, kozaki, słomkową fedorę i ogromne okulary przeciwsłoneczne, wydawała się uosabiać wzburzenie i podniecenie – słowem: małe tornado. Ślicznotka z niej. To prawdziwa zagadka, jak Borisowi i mnie udało się ją stworzyć, lecz trzeba pamiętać, że genetyczne kości toczą się, jak chcą. Żadne z nas nie jest nieatrakcyjne, a jak wiesz, moja matka wierzy, że nadal jestem piękna, ale Daisy to autentyk, trudno oderwać od niej wzrok, gdy jest w pobliżu.

Jest też małą, czułą diabolicą, zawsze nią była, ściska, całuje, tuli się i głaszcze; kiedy wzięłyśmy się na progu w ramiona, ścisnęłyśmy się, całowały, tuliły i głaszały i rozdzieliłyśmy się dopiero po paru minutach. Jak to się czasem zdarza, dopiero wtedy zrozumiałam, jak bardzo mi jej brakowało, jak usychałam z tęsknoty za moją córką, lecz – co przyjmiesz z zadowoleniem – nie wybuchnęłam płaczem. Może pojawiło się troszkę wilgoci w moich kanalikach łzowych, ale nic ponadto.

Ten wieczór spędziłyśmy u mojej matki; pamiętam wprawdzie tylko strzępy naszej rozmowy, ale zapamiętałam ożywienie na twarzy matki, gdy słuchała opowieści Daisy o teatrze, Muriel, nocach spędzanych na łożeniu za ojcem, o tym, że nie odkrył swojego „ogona”, aż stanęła z nim twarzą w twarz przed hotelem Roosevelt ze słowami: „Do diabła, tato, co się dzieje?”. Pamiętam również, że matka miała więcej wiadomości o Reginie. Uratowała ją jedna z córek. Letty przyjechała i rozpoczęła przygotowania do przeniesienia matki do „domu opieki” w Cincinnati, bardzo blisko Letty i jej rodziny. Matka

wyznała, że nie wie, jak wszystko pójdzie, ale z pewnością było to lepsze od „koszmarnej celi więziennej” na oddziale dla pacjentów z alzheimerelem.

Już następnego dnia powiedziano nam, że Abigail przeszła rozległy udar. Przeżyła, ale kobieta, którą znałyśmy, zniknęła. Nie wiedziała, gdzie się znajduje ani kim jest. Budzik zadzwonił. To, co bardzo stare, marnieje i umiera. Wszyscy to wiemy, ale najstarsi wiedzą to o wiele lepiej niż pozostali. Żyją w świecie nieustannych strat i to, jak powiedziała moja matka, jest gorzkie.

Dwa dni później widziałam ją przez kilka minut w „centrum opieki”. Matka nie chciała tam iść. Rozumiałam, dlaczego: widmo utraty wszystkich zdolności, które czynią życie życiem, czaiło się zbyt blisko niej. Abigail leżała na boku, wygięty kręgosłup sprawił, że jej głowa znalazła się w pobliżu kolan, dlatego zajmowała tylko mały kawałek łóżka. Co chwilę mrugała oczami, lecz w tęczęwkach i źrenicach nie gościła żadna myśl; oddychając, głośno chrypiała. Cienkie siwe włosy mojej przyjaciółki były nieuczesane i wyglądały na nieco przetłuszczzone, miała na sobie kwiecistą koszulę szpitalną, której by nienawidziła. Przyglądałam jej włosy. Mówiłam do niej, powiedziałam, że pamiętam o wszystkim, wyjmę z szuflady testament, gdy nadejdzie czas, i poruszę niebo i ziemię, żeby umieścić sekretne przyjemności w jakiejś galerii. Przed wyjściem pochyliłam się i cichutko, tak jak śpiewałam Daisy, zanuciłam jej do ucha kołysankę, nie Brahmsa, inną. Pielęgniarka stanęła w drzwiach za moimi plecami i wystraszyła mnie; skrępowana zerwałam się na równe nogi, ale ona była pogodna i rzeczowa, powiedziała, że nic nie stoi na przeszkodzie, abym jeszcze została, jakoś jednak nie umiałam. Dwa dni później Abigail była martwa, a ja – zadowolona.

Napisałam o niej do Nikogo, o jej dziełach i dawno minionym romansie. Nie wiem, dlaczego mu o tym opowiedziałam. Może potrzebowałam odpowiedzi kogoś wielkiego. Otrzymałam ją.

Niektórzy spośród nas są skazani na życie w skrzyni, z której wyzwalają się tylko tymczasowo. My, potępione duchy pełne zawiedzionych uczuć, my o zamkniętych sercach i tłumionych myślach, marzymy o tym, by rozbrzmieć, wezbrać w powodzi wściekłości, radości czy nawet szaleństwa, lecz nie mamy dokąd się udać, nie ma takiego miejsca na świecie, ponieważ nikt nie chce nas takimi, jakimi jesteśmy, nic się nie da zrobić, możemy tylko cieszyć się sekretnymi przyjemnościami naszej wzniosłości, strukturą zdania, pocałunkiem rymu, wizerunkiem, który wylania się z papieru lub płótna, wewnętrzną kantatą, tajemnym haftem, mrocznym, onirycznym dziełem z piekła, nieba, czyśćca czy jeszcze skądinąd, musimy jednak zdobyć się na krzyk, na wściekłość, na brzęknięcie czyneli w pustce. Któż nam odmówi zwykłej pantomimy szaleństwa? Nam, aktorom przemierzającym w tę i z powrotem scenę pozbawioną widowni, wstrząsanym torsjami, potrząsającym pięścią? Twoja przyjaciółka była jedną z nas, nienamaszczoną, niewybraną, zdeformowaną życiem, płcią, przekłętą przez los, lecz nadal pilnie pracującą pod przykrywką, w miejscu, do którego zapuszcza się niewielu szczęśliwców, szyjącą pracowicie całymi latami, wyszywającą swój ból, mściwość, melancholię – dlaczego nie? Dlaczego? Dlaczego nie? Dlaczego? Dlaczego nie?

* * *

Mimo całej tej posępności poprawił mi nastrój, dziwne, ale poprawił. Dlaczego? Pierwszy raz zaczęłam się zastanawiać, czy Pan Nikt nie mógłby równie dobrze być Panią Nikt. Kto wie? Już nie byłam taka pewna, że to Leonard. Zdałam sobie jednak sprawę, że mnie to nie obchodzi. On – lub ona – był moim głosem z Nibylandii, znikąd, z Dłaczego, a nie Skąd, i to mi się podobało.

Jeżeli jeszcze kiedykolwiek zrobię coś tak głupiego, przybij mnie do ściany.

Twój Boris

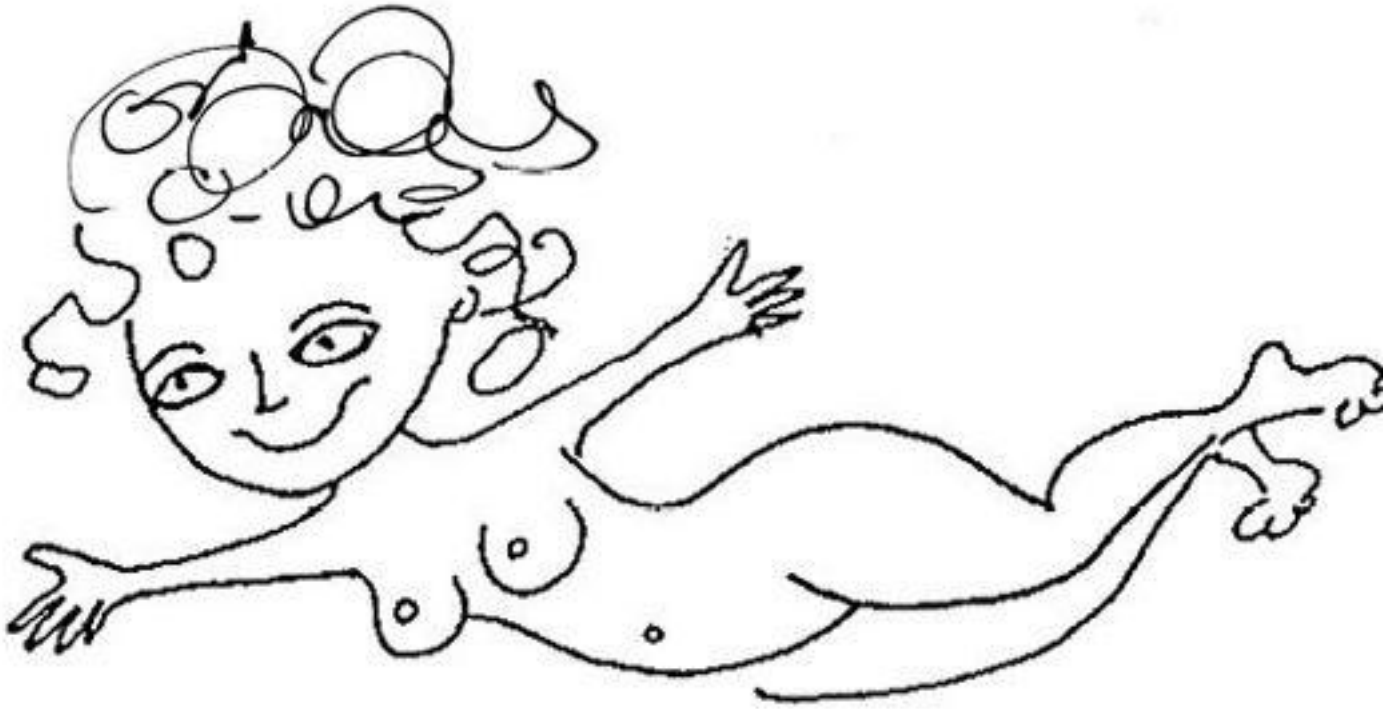
Gdy czytałam wiadomość, która pojawiła się na monitorze, Daisy stała za moimi plecami; poczułam jej dłonie na ramionach.

– Co mu odpowiesz, mamó? Powiedz mi, mamó.

– Naszykuję zszywacz tapicerski.

– Oj mamó – jęknęła. – On się stara, nie widzisz? Źle mu z tym.

Moja córka odwróciła krzesło, na którym siedziałam, wskoczyła mi na kolana, zaczęła się przymilać i wyłudzać ode mnie jakąś zachęcającą odpowiedź dla kochanego staruszka. Pociągała mnie za uszy, podszczypywała w nos i przeskakiwała na różne akcenty – koreański, irlandzki, rosyjski i francuski – żeby mnie ubłagać. Zeskoczywszy z moich kolan, odstawiła pokaz tańców, wymachiwała rękami i głośno wyrażała pragnienie ponownego zjednoczenia starzejącej się pary, mamusi i tatusia, słońca i księżycy (albo odwrotnie), dwóch planet na niebie jej dzieciństwa.



W dniu pogrzebu Abigail padało i pomyślałam, że tak właśnie powinno być. Deszcz spadł na skoszoną łąkę, a ja przypominałam sobie słowa, które wyszyła na hafcie: „Lecz pamiętaj, że moje życie to wiatr”. Tego popołudnia Rolling Meadows miało w ławach silną reprezentację, to znaczy znalazło się w nich mnóstwo kobiet, ponieważ to właśnie kobiety tam mieszkały, przynajmniej w większości, chociaż pojawił się także lubieżny Busley na swoim skuterze z napędem elektrycznym, który zatrzymał w tylnej części nawy. Dostrzegłam siostrzenicę, wyglądała staro, prawdopodobnie przekroczyła już siedemdziesiątkę. Moją matkę

poproszono o zabranie głosu. Treść swojej mowy przyciskała kurczowo do uda, wyczułam, że jest zdenerwowana. Przed wyjściem przymierzyła kilka czarnych strojów, zamartwiając się kołnierzykami, stopniem uprasowania i domniemaną plamką na spódnicy, aż w końcu zdecydowała się na bawełniany żakiet, dopasowane spodnie i niebieską bluzkę, która zawsze podobała się Abigail. Pastor, mężczyzna o przeredzonych włosach i odpowiednio poważnej postawie, raczej nie znał zbyt dobrze naszej wspólnej przyjaciółki, ponieważ wygłaszał łgarstwa, od których matka aż sztywniała: „Wierna członkini naszej wspólnoty, osoba wielkoduszna i łagodna”.

Moja drobna, elegancka matka wchodziła na ambonę uważnie, lecz bez trudności, a kiedy już przyjęła właściwą pozycję i włożyła okulary do czytania, pochyliła się ku słuchaczom.

– Abigail była wieloma postaciami – oznajmiła dobitnie drżącym, ochrypłym głosem – ale nie była osobą wielkoduszną i łagodną. Była dowcipna, wygadana, bystra i, mówiąc szczerze, bardzo często gniewna i drażliwa.

Usłyszałam za plecami śmiech kilku kobiet. Matka mówiła dalej i czułam, że z każdym zdaniem coraz bardziej emocjonuje się tematem. Spotkały się w klubie książki w dniu, gdy Abigail zszokowała jego pozostałe członkinie, potępiając nagrodzoną Pulitzerem powieść, którą czytały, jako „stek śmierdzących budżetów”; matka nie sprzeciwiała się tej ocenie, lecz ujęłaby ją w innych słowach. Potem wychwalała zdolności twórcze Abigail i mówiła o wielu dziełach, nad którymi pracowała przez lata. Nazwała je sztuką i określiła Abigail mianem artystki, a Daisy i ja byłyśmy dumne z takiej babci i matki. Wiedziałam, że mama nie będzie płakać nad Abigail. Myślę, że nie płakała nad ojcem. Była prawdziwym stoikiem: skoro nic się nie da zrobić, to dość o tym. Łabędzice umierały, jedna po drugiej. Wszyscy cuchniemy śmiertelnością i tego zapaszku nie można zmyć. Nic się na to nie poradzi, można chyba tylko zaintonować piosenkę.

Musimy nas na chwilę opuścić, zostawić mnie, Daisy, promienną Peg usadowioną obok Daisy, moją matkę dającą na ambonie świadectwo swojej przyjaźni. Opuścimy ją, chociaż tego dnia błyszczała, a potem wielu gratulowało jej serdecznie, że powiedziała to, co większość

uznawała za prawdę, ponieważ powszechnie wiadomo, iż zmarli często odchodzą do grobów spowici w kłamstwa. Zostawimy nas na pogrzebie, z ulewą szumiącą za witrażami, i pozwolimy wydarzeniom rozgrywać się tak, jak to było, lecz nie będziemy o nich opowiadać.

Czas wprawia nas w zakłopotanie, czyż nie? Fizycy wiedzą, jak sobie z nim radzić, lecz my, cała reszta, musimy zмагаć się z pędzącą terażniejszością, która staje się niepewną przeszłością; jakkolwiek by ta przeszłość była w naszych głowach pogmatwana, stale i nieubłagane zmierzamy ku końcowi. A jednak w naszych umysłach, dopóki żyjemy, a nasze mózgi nadal działają, możemy przeskakiwać z dzieciństwa do wieku średniego i z powrotem, rabować z każdego, dowolnie wybranego okresu, smakowity kąsek tu, cierpki tam. Nic nie może wrócić takie, jakie było, a tylko jako późniejsze wcielenie. Co kiedyś było przyszłością, teraz jest przeszłością, lecz przeszłość powraca jako terażniejsza pamięć, jest tu i teraz, w momencie pisania. I znowu opisuję siebie gdzie indziej. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby tak się działo, prawda?

Ślizgamy się z Beą na lodowisku przy szkole Lincolna i czekamy na ojca, który ma nas odebrać, widzimy, że nadjeżdża zielonym kombi. W drodze do domu pogwizduje Kanał Erie, a Bea i ja uśmiechamy się do siebie na tylnym siedzeniu. W domu mama czyta francuską książkę, leżąc na łóżku. Wskakujemy na łóżko, a ona sprawdza nasze stopy. Są takie zimne. Lód, wymawia słowo lód. Potem zdejmuje nasze cztery skarpetki i wkłada gołe łyżwiarskie stopy pod swój sweter, gdzie dotykają ciepłej skóry jej brzucha. Raj odzyskany.

Stefan siedzi na kanapie, gestykuluje i dowodzi swoich racji. Patrząc na niego, niepokoję się. Jest zbyt żywotny. Jego myśli rwą się naprzód za szybko, a jednak wtedy nie mam świadomości tego, co się stanie. Jestem nieświadoma przyszłości i tego stanu, tego obłoku niewiedzy nie mogę już odzyskać.

Doktor F. mówi, żebym parła. Przyj teraz! Prę z całej siły, a potem odkrywam, że popękały mi naczynka krwionośne na całej twarzy, ale co ja mogę o tym wiedzieć w tamtym momencie, zupełnie nic, więc prę i czuję jej główkę, a potem rozlegają się okrzyki, że wychodzi ze mnie jej główka, i tak się dzieje, potem nadchodzi to nagłe wyślizgnięcie się

jej ciała z mojego, ja/ona, dwa w jednym, i widzę między swoimi nogami czerwonego, oślizgłego cudzoziemca z kępką czarnych włosków, moją córkę. Nie pamiętam nic o pępowninie, prawda? Nic o odcinaniu. Jest tam Boris, płacze. Ja nie ronię ani jednej łzy. On – owszem. Teraz sobie przypominam! Powiedziałam, że w prawdziwym życiu nigdy się nie rozryczał, ale to nieprawda. Zapomniałam o tym! W moim umyśle płacze po narodzinach córki.

Wchodzę do galerii AIM na Brooklynie, kobiecej kooperatywy, gdzie wezmę udział w otwarciu wystawy o tytule „Sekretne Przyjemności”.

Stoję u boku Borisa w naszym mieszkaniu na Tompkins Place. „Czy ślubujesz mu miłość, pociechę, szacunek, opiekę w zdrowiu i w chorobie? Czy wyrzekasz się innych poza nim aż do śmierci?”

A więc? Przemów, tępy rudzielcu. To było wtedy. Powiedziałam „tak”. Powiedziałam „ślubuję”. Powiedziałam coś na potwierdzenie.

Moja matka skończyła dziewięćdziesiąt lat, świętujemy w Bonden. Kolana sprawiają jej kłopoty, ale nie używa balkoniku, a jej umysł jest sprawny. Jest tam także Peg, a matka przedstawia mnie Irene. Ostatnio wiele słyszałam o Irene przez telefon, potrząsam jej dłonią, żeby okazać swój entuzjazm. Ma dziewięćdziesiąt pięć lat.

– Razem z twoją matką – mówi – przeżyłyśmy mnóstwo naprawdę radosnych chwil.

Mama Mia pisze wiersze przy stole kuchennym. Maleńka Daisy wierci się w łóżeczku.

Mia jest teraz w szpitalu, zdiagnozowano u niej psychozę krótkotrwałą, przejściowe oderwanie od rozsądku, usterkę mózgu. Oficjalnie uznano ją za une folle. Skrobie w notatniku zatytułowanym „Skrawki umysłu”.

7.

Coś uporczywego –

lecz nieme,

nie tożsamość,

sen, z którego budzimy się bez wyobrażeń,

w męczarniach. Potrzebuję nazwy.

W tym białym świecie trzeba mi słowa.
Muszę to nazwać czymś, a nie niczym.
Wybrać obraz znikąd,
z jamy w umyśle.
Tylko spójrzcie – tam, na skalnym występie:
ukwiecony gnat.

11.

Płaczeję, krwam na patelrdzy,
Świentanum, cierpina i nieco troskoty,
Z iberofasolki toczą się pączyny,
Najczarmroczniejszy ton obłąkostwiny.

21.

Raz nad spokojem, miłością,
Dwakroć nad opryszkciem,
Szczynty i ocet.
Kupa i piwko.
I po co to wszystko?

Znów jest przy zdrowych zmysłach, w salonie Burdów czyta biografię wstydlwego, lecz namiętnego geniusza, duńskiego filozofa, który od wielu lat działa jej na nerwy, niepokoi ją i zadziwia. Jest dziewiętnasty sierpnia 2009 roku.

Jak widzisz, zatoczyłam koło i powróciłam do siebie. Od pogrzebu minęło zaledwie kilka dni. Powróciłam do osoby, którą byłam wtedy, podczas lata spędzonego z matką, Łabędzicami, Lolą, Florą, Simonem i młodymi wiedźmami z Bonden. Abigail leży w grobie na peryferiach miasteczka. Nie ma jeszcze nagrobka. Zrobią go później. W końcu nie było to aż tak dawno, nadal świetnie pamiętam ten czas. Daisy jest jeszcze przy mnie. W poprzednich dniach, szesnastego, siedemnastego i osiemnastego, Boris Izcovich zabiegał o mnie niezachwianie i gorliwie, a nawet przysłał mi koszmarny, ale wzruszający wiersz, który rozpoczynał się frazą: „Znałem dziewczynę imieniem Mia / nieobcy jej

rym i metrum / onomatopeja ją spowija”. Dalej był jeszcze gorszy, ale czegoż można oczekiwać od światowej sławy neurobiologa? Opis uczuć, który następował po tych wstępnych wersach, okazał się „najkliwszym sentymentalizmem”, jak to określiła Daisy. Fakt, ale tylko najwięksi zatwardziałcy spośród nas nie mają żadnego pożytku z sentymentalizmu, bajeru czy dawnych ballad o kochankach utraconych i zabranych z tego świata, tylko prawdziwe matoly nie potrafią czerpać przyjemności z opowieści o widmowych sylwetkach błędzących po trzęsawiskach, polach lub wprost w powietrzu. Któż z nas odmówi Jane Austen szczęśliwych zakończeń lub będzie się upierał, że Cary Grant i Irene Dunne nie powinni się z powrotem zejść pod koniec Nagiej prawdy? Są tragedie i są komedie, czyż nie? Często okazuje się, że mają więcej podobieństw niż różnic, trochę jak mężczyźni i kobiety, moim zdaniem. W komedii trzeba zatrzymać akcję w precyzyjnie określonym momencie.

Wyznam ci coś w najgłębszej tajemnicy, stary przyjacielu, bo teraz już nim jesteś, wierny czytelniku, sprawdzony, szczery i tak mi drogi. Powiem ci, że staruszek dopuszczał się, jak to mawiają, naruszeń, krążył coraz bliżej tego czegoś tam, we mnie, a wyjaśnieniem był czas, tak po prostu czas, czas spędzony wspólnie, i córka, narodzona i kochana, która wyrosła na szurnięte, życzliwe i utalentowane stworzenie, a także wszystkie rozmowy moje i wielkiego B., kłótnie i seks, wspomnienie wacka i mojego własnego nieba, którego nie musiał odkrywać żaden Kolumb, rękę za to. Przyznaję też, że w najgłębszych zakamarkach mojego serca ostała się odrobina starego sentymentalizmu, którego nie wyplenili ze mnie cierpienia ani szaleństwo. Chodziło również o historię jako taką, historię, którą napisaliśmy razem z Borisem, a w tej historii nasze ciała, myśli i wspomnienia splotły się tak ściśle, że trudno było dostrzec, gdzie kończy się jeden człowiek, a zaczyna drugi.

Wróćmy jednak do dziewiętnastego sierpnia 2009 roku, późne popołudnie, około piątej. Odwiedzili nas Flora z Mokim, Daisy zabawiała ich popisem taneczno-wokalnym. Flora klaskała żywiołowo i zachęcała Mokiego do tego samego. Pogoda była kiepska, wilgotny dzień, o ile w ogóle można nazwać to dniem, trzydzieści pięć stopni, parno, po deszczach na łowy wyruszyły komary. W całym tym

zamieszaniu miałam trochę problemów ze skoncentrowaniem się na książce, ale ostatecznie dotarłam do zerwanych zaręczyn Kierkegaarda. On ją kochał. Ona kochała jego, a on zrywa, tylko po to, by cierpieć groteskowe i wyrafinowane męki. Cóż to za smutna i perwersyjna przygoda. Kiedy zauważyłam, że Daisy przerwała śpiew, podniosłam głowę. Odwróciła się do okna.

– Jakiś samochód wjeżdża na podjazd. – Pochyliła się ku szybie. – Nie widzę kto to. Chyba nikogo się nie spodziewasz, prawda? Boże drogi, wysiada z samochodu. Podchodzi do schodów. Jest na schodach. Dzwoni. – Usłyszałam dźwięk dzwonka. – Mamo, to tata. To tata! No dalej, nie otworzysz? Co z tobą?

Flora objęła Daisy za uda i zaczęła podskakiwać z niecierpliwości.

– No dalej! – paplała. – Dalej!

– Ty otwórz – powiedziałam. – Niech on przyjdzie do mnie.

NIKNIEMY W CIEMNOŚCI